Hilaire Belloc

Państwo niewolnicze

chestertonpolska.org

Hilaire Belloc

Państwo niewolnicze

Servile State (1912)

Przekład: Maciej Wąs

Chesterton Polska

2017

CHESTERTONPOLSKA.ORG

Okładka: *The Ruins of Holyrood Chapel*

Autor: Louis Daguerre

Domena publiczna

Spis treści

Słowo od tłumacza

Właściwie, nie powinienem napisać tutaj ani słowa.

Oto bowiem na naszych oczach dokonuje się rzecz niemalże epokowa (w mini-, no – powiedzmy – mikro-skali, ale każda dusza jest centrum dziejów); oddajemy w ręce Czytelnika dzieło historyczne, pod wieloma względami przełomowe, dzieło fundamentalne dla całego ruchu dystrybucjonistycznego. Książkę-skandal, idącą całkowicie pod prąd wszystkich tendencji społecznych i dziejopisarskich swojego czasu.

I trudno nie odnieść wrażenia, że naszego również.

Nie mam zamiaru, rzecz jasna, niczego tutaj streszczać ani odbierać Czytelnikom przyjemności osobistych odkryć (sam Belloc robi to zresztą wystarczająco dobrze – i owszem, ta dwuznaczność jest zamierzona). Postaram się natomiast, prywatnym obyczajem, wskazać na jeden przynajmniej aspekt problemu, który – jak ufam – może stać się dla niektórych pewną inspiracją w procesie odbioru, który to, mimo mylącej nazwy, jest zawsze sprawą głęboko osobistą i głęboko twórczą.

Publikowaliśmy już w ramach inicjatywy Chesterton Polska świetne dzieło Artura Penty'ego (1875-1937), *Odrodzenie ustroju cechowego*. Penty, można powiedzieć, to zatem jedna strona medalu; Belloc zaś – to druga strona medalu.

Penty wywodził się z ruchu fabiańskiego (angielski socjalizm ewolucyjny, powiedzmy) i choć potem wykonał – że tak powiem – „gwałtowny skręt w prawo", to metodologicznie, jak każdy człowiek, czerpał głównie z tych dzieł, które go intelektualnie ukształtowały. Dlatego też zawsze podkreślał swój duży szacunek do dzieł Karola Marksa – i zawsze patrzył na rozwój życia społecznego przede wszystkim z perspektywy „bazy materialnej". Dla niego, wszystko, co najistotniejsze, rozgrywało się na płaszczyźnie zmian w dziedzinie metod produkcyjnych. Stąd też brał się jego relatywny optymizm. Kapitalizm zaczął się wraz z niekontrolowaną produkcją maszynową, a więc skończy się wraz z niekontrolowaną produkcją maszynową. Regulacja zasad korzystania z „wielkiej maszynerii" odbierze mentalności kapitalistycznej fundament, na którym się ona opiera, koncentracja kapitału się skończy, i społeczeństwo wejdzie na drogę uzdrowienia, I istotnie, takie właśnie diagnozy znaleźć można choćby w innej książce tegoż autora, pt. *Post-industrializm* (1922). Ustanowienie tzw. „cechów narodowych" (termin własny angielskich zwolenników korporacjonizmu) i porządkujący wpływ, jaki wywrą na sferę wytwórczą, pozwoli uwolnić się naturalnym ludzkim energiom, dążącym przecież do szczęścia i dobrobytu, przekształcić życie zbiorowe tak, by na powrót stało się bardziej znośne.

W tym momencie właśnie, na scenę wchodzi Belloc, i mówi: „Wszystko jest spójne, i wydaje się proste, ale takie – mianowicie: proste – nie jest".

Autor ten postrzegał bowiem życie społeczne z zupełnie innej perspektywy. To zresztą niezmiernie pouczająca lekcja na temat subtelności głębinowych różnic idei. „Materialnie" bowiem,

programy obu panów były bardzo podobne. Ale wobec optymistycznych diagnoz Penty'ego, Belloc wytoczyłby zapewne jeden kontrargument, zmieniający radykalnie oblicze rzeczy: być może to i prawda, że przywrócenie systemu cechowego mogłoby znacznie uzdrowić życie społeczno-gospodarcze Anglii; tylko cały *witz w* tym, że Anglii nie interesuje przywrócenie ustroju cechowego. Interesuje ją natomiast inna opcja, do realizacji której zmierza pełną parą. Na poły nieświadomie, fakt. Ale jednak realnie.

Cóż to za opcja? I dlaczego wydaje się ona Anglii kapitalistycznej tak bardzo atrakcyjna? Znalezienie odpowiedzi na te dwa pytania to jedno z najważniejszych zadań, jakie wyznaczył sobie Belloc w niniejszym dziele.

Stroniąc zatem od „marksizujących" metod badań dziejowych, osiąga Belloc niezwykłe rezultaty, które dla wielu mogą okazać się (jak dla mnie się okazały, na przykład) bardzo odkrywcze. Znajdziemy tutaj zatem znakomite syntezy historyczne, ukazujące prawdopodobny schemat rozwoju instytucji niewolnictwa w świecie antycznym; proces kształtowania się gospodarki średniowiecznej; proces rozkładu tej gospodarki, ze wszystkimi jego konsekwencjami; wreszcie – proces rozkładu gospodarki kapitalistycznej. To tu właśnie Belloc błyszczy i ujawnia niespotykaną bystrość umysłu; tak też warto, wydaje mi się, na tę książkę spojrzeć. Często oskarża się Belloca o to, że stawiał trafne diagnozy, ale nie proponował rozwiązań. W sumie prawda – tylko że to nie jest zarzut. Nie proponował rozwiązań, ponieważ zwyczajnie nie wiedział, jakie mogłyby być; szczegółowa akcja polityczna, to rzecz zależna od niepoliczalnych uwarunkowań chwili, sytuacji społecznej, międzynarodowej, charakteru oddolnych ruchów obywatelskich – a także, co tu kryć, od praktycznego geniuszu poważnego polityka. Reformę dystrybucjonistyczną można by przeprowadzić na tysiące sposobów, o większości z których nawet nam się nie śniło. Natomiast reforma taka to zawsze tylko *skutek* – skutek ogólnej mentalności społecznej. Średniowieczny „proto-dystrybucjonizm" pojawił się zanim zaczęła towarzyszyć mu powszechniejsza odnowa prawna; nigdy się zresztą w pełni nie dokonała, co przesądziło ostatecznie o klęsce tego ustroju. Kapitalizm (i jest to jedna z najcenniejszych obserwacji zawartych w tym dziele) zaczął się *przed* rewolucją przemysłową – i to *on* zadecydował o *jej* kształcie, a nie na odwrót. Dlatego też tym, czym Belloc zajmuje się tutaj przede wszystkim, jest właśnie praca nad zmianą mentalności; chodzi o to, aby pokazać, że dystrybucjonizm nie jest utopią, ale realną możliwością, systemem, który naprawdę kiedyś istniał, i który może istnieć znowu. O ile ludzie zrozumieją, jakie są tego warunki – no i o ile będzie się im chcieć. I jakże zależy Bellocowi, żeby im się chciało.

Oczywiście, nie oznacza to, że czynniki materialne nie mają dla Belloca żadnego znaczenia; absolutnie nie. W pełni uznaje ich wpływ na życie społeczne i analizuje go również z niezrównaną biegłością, jasno wykazując jego znaczenie i siłę (szczególnie w kontekście zagadnienia, które zajmuje go zdecydowanie najbardziej, i zajmowało zresztą całe życie – upowszechnienia, czy *dystrybucji,* własności prywatnej). Cały problem polega bowiem na tym, że rozwoju historii nie da się analizować w odniesieniu do jednego ledwie typu przyczyn. Zachodzi tutaj niezwykle złożona interakcja różnych żywiołów (idei, środków produkcji, podziału własności, prawa, obyczaju itd.) – i mniemam, że samo to, sama ta perspektywa i umiejętność przybliżania w jakiś sposób tej niezwykle skomplikowanej rzeczywistości może przekonać wielu do przyjęcia za swój tego właśnie sposobu myślenia i analizy, tej „dystrybucjonistycznej metodologii", antycypującej (i pod wieloma względami przerastającej) późniejsze wytwory chrześcijańskiej filozofii społecznej.

Jak napisałem, nie chcę zdradzać za wiele, tutaj zatem pozwolę sobie zakończyć ten i tak przydługi już wywód. Pewne jest jedno – warto czytać Belloca; warto czytać tę konkretną książkę Belloca. I choć od 1912 do teraz zmieniło się sporo, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że wiele z zawartych tutaj przepowiedni, jeszcze niekoniecznie prawnie (choć również), ale na pewno mentalnościowo, spełnia się na naszych oczach. Oczywiście, Belloc nie miał charyzmatu proroctwa; nie przewidział, jak pokrętne i wyrafinowane formy może przybierać niewolnictwo, jeśli tylko dążący do jego wprowadzenia wykażą się odrobiną sprytu i zrobią użytek z dominujących instynktów społecznych. Tym bardziej wszakże zatem miejmy więc oczy szeroko otwarte i róbmy użytek z doświadczenia wieków, by zmieniać nasze wspólne życie – na lepsze; i rozdmuchać ogień wielkiego chrześcijańskiego dziedzictwa, które, jak wierzę, wciąż tli się jeszcze gdzieś w sercu Europy.

***

Można jeszcze powiedzieć słowo o sprawach samego przekładu.

Powiedział ktoś „styl to sam człowiek"; w wypadku Belloca, maksyma ta sprawdza się w całej rozciągłości. Autor niniejszego dzieła był człowiekiem nerwowym i trudnym, w związku z czym czytelnik może odnosić podczas lektury przedziwne wrażenie, jakby obcował z czymś, by tak rzec, nieco przytłaczającym; mnie (nie mam pojęcia czemu) kojarzy się to z waleniem pięścią w stół. Belloc w każdym zdaniu, w każdy słowie czasami niemal, stara się być tak dobitny, jak to tylko możliwe, i nie zostawiać pola wątpliwościom. Jest to zatem, właśnie, styl *ciężki*. Natomiast na pewno nie jest to styl *słaby*. Przeciwnie; angielszczyzna Belloca celuje w precyzji i bogactwie wyrazu, obfituje w środki i metody. Oczywiście, dla tłumacza tym gorzej, niemniej pocieszająca wiadomość jest taka, że od czasu ostatnich moich zmagań z panem B. (*Wolna prasa,* może ktoś pamięta) znacznie poszerzyłem znajomość kwestii i udało mi się, jak mam nadzieję, znaleźć zestaw nowych rozwiązań, pozwalających nieco „zjadliwiej" oddać w polszczyźnie co bardziej indywidualne elementy pisarskiej „Bellokiady". Lecz jeśli nawet ktoś się nie przekona, i książka wyda mu się czasami za bardzo męcząca, niech pamięta, jak zrecenzował ją człowiek sprawie dystrybucjonistycznej średnio (powiedzmy) życzliwy, niejaki pan Orwell: „styl jest niesamowicie męczący, ale wszystko, co napisał, się sprawdziło".

I to jest zresztą właśnie naczelna zaleta tego dziełka: prawda. A dla prawdy, jak można mniemać, warto sporo wycierpieć.

Maciej Wąs,
Sosnowiec,
28 sierpnia 2017 r.,
św. Augustyna, doktora Kościoła

Wstęp – Przedmiot niniejszej książki

Książka niniejsza napisana została celem obrony i udowodnienia następującej prawdy: że nasze nowoczesne społeczeństwo ludzi wolnych, w którym środki produkcji stanowią własność nielicznych, jako takie stanowi równowagę chwiejną i dąży do osiągnięcia równowagi stałej *przez ustanowienie systemu pracy przymusowej, do którego prawnie można by zmusić tych, którzy nie posiadają środków produkcji, z korzyścią dla tych, którzy je posiadają.* Z wprowadzeniem w stosunku do nieposiadających zasady przymusu musi wiązać się zmiana statusowa; i w oczach społeczeństwa i w świetle jego praw pozytywnych, ludzie podzieleni zostaną na dwie kategorie; pierwszą ekonomicznie i politycznie wolnych, będących w posiadaniu środków produkcji i cieszących się bezpieczeństwem tego posiadania; i drugą, ekonomicznie i politycznie niewolnych, ale (z początku przynajmniej) właśnie ze względu na ten brak wolności zabezpieczonych życiowo w kwestii pewnych podstawowych potrzeb i pewnego minimum dobrobytu, poniżej którego nigdy nie spadną.

Z osiągnięciem tego stanu, społeczeństwo uwolnione zostałoby od trapiących ją obecnie napięć wewnętrznych i przyjęłoby formę cechującą się stabilnością: to znaczy, taką, którą da się utrzymać bez zmian przez czas nieokreślony. Różne czynniki destabilizacyjne, z rosnącą siłą niepokojące tę formę społeczną, jaką nazywamy *kapitalizmem*, zostałyby w nim zniesione, a ludzie z zadowoleniem przyjęliby nowe urządzenie i byliby w stanie w nim dłużej funkcjonować.

Takie stabilne społeczeństwo, z przyczyn, które opisze się w następnym rozdziale, określam mianem państwa niewolniczego.

Nie podejmuję się osądzić, czy ta nadchodząca zmiana organizacji społecznej będzie dobra, czy zła. Ograniczę się wyłącznie do opisu od dawna istniejącej i koniecznej tendencji rozwojowej w kierunku jej przeprowadzenia oraz tych spośród najnowszych zabezpieczeń socjalnych, które świadczą, że już się rozpoczęła.

To nowe państwo spodoba się mniej lub bardziej wszystkich tym, którzy – świadomie czy tylko w implikacji – pragną przywrócenia różnicy statusu między posiadającym a nieposiadającym: tym, którzy na rozróżnienie takie patrzą ze wstrętem bądź przerażeniem, wyda się ono odrażające.

Nie chodzi mi o to, aby angażować się w dyskusję między tymi dwoma typami myślicieli współczesnych, ale tylko pokazać im obu i każdemu z osobna, że to, czego jeden oczekuje, a drugi się obawia, jest już bardzo blisko.

Dowody moje sformułuję przede wszystkim z przykładu społeczeństwa przemysłowego Wielkiej Brytanii, wliczając tutaj jeszcze ów mały, wyobcowany i wyjątkowy zakątek Irlandii, który zbiera obecnie wstrętne względnie wspaniałe żniwo życia w warunkach przemysłowych.

Postępować będę według następującego porządku:

(1) Nakreślę kilka definicji.

(2) Potem, opiszę instytucje państwa niewolniczego i niewolnictwa, stanowiącego jego podstawę, tak, jak funkcjonowały one w świecie starożytnym.

Następnie:

(3) W wielkim skrócie przedstawię proces, dzięki któremu istniejąca od wieków instytucja niewolnictwa stopniowo zniknęła w wiekach chrześcijańskich oraz wyjaśnię dlaczego będący skutkiem tego procesu system średniowieczny, oparty na zaawansowanym podziale własności, został

(4) zniweczony w pewnych rejonach Europy dokładnie w tym momencie, w którym zbliżał się do pełni i zastąpiony, w praktyce acz nie teorii prawnej, społeczeństwem opartym na gospodarce kapitalistycznej.

(5) Następnie, pokażę, że kapitalizm był ustrojem z natury niestabilnym, bo pozostającym w sprzeczności ze wszystkimi istniejącymi lub tylko możliwymi kodeksami prawa, i ponieważ jego zasadnicze skutki, jakie stanowiło odebranie ludziom *wystarczalności i bezpieczeństwa* okazały się nie do zniesienia; jak będąc zatem ustrojem *niestabilnym*, w konsekwencji stał się źródłem *problemu,* który wymagał rozwiązania: mianowicie, ustanowienia jakieś stabilnej formy społecznej, której prawa i praktyka, zapewniając ludziom *wystarczalność i bezpieczeństwo,* byłyby znośne dla naszej natury.

(6) Potem, przeanalizuję jedyne trzy możliwości tegoż rozwiązania:

(a) Kolektywizm, albo: przekazanie środków produkcji w ręce funkcjonariuszy politycznych danej społeczności.

(b) Własność, albo: restaurację państwa dystrybucjonistycznego, w którym środki produkcji stanowiłyby własność indywidualną ogółu obywateli.

(c) Niewolnictwo, albo: państwo niewolnicze, w którym nieposiadający środków produkcji staną się prawnie zobowiązani pracować dla tych, którzy je mają, otrzymując w zamian zabezpieczenie życiowe.

Biorąc pod uwagę ogólną odrazę, jaką długie wieki naszej chrześcijańskiej tradycji wytworzyły w nas w stosunku do otwartego popierania trzeciej opcji i śmiałego nawoływania do restauracji niewolnictwa, reformatorom pozostają w zasadzie tylko dwa wyjścia: (1) reakcja mająca przywrócić stan zdrowego podziału własności względnie *państwo dystrybucjonistyczne*; (2) próba budowy idealnego *państwa kolektywistycznego*.

(7) Łatwo można udowodnić, że drugie rozwiązanie w naturalny sposób wyda się społeczeństwu kapitalistycznemu bardziej atrakcyjne i łatwiejsze – ze względu na wielki wysiłek, jaki społeczeństwo takie musiałoby podjąć aby wykrzesać z siebie energię, wolę i wizję niezbędne do realizacji pierwszego rozwiązania.

(8) Następnie pokażę, jak dążenie do budowy idealnego państwa kolektywistycznego na bazie warunków kapitalistycznych sprawia, że jego orędownicy przekształcają państwo kapitalistyczne *nie w* państwo kolektywistyczne, nawet nie w coś podobnego, ale w coś trzeciego o zupełnie odmiennej naturze – w *państwo niewolnicze.*

Do tej ósmej sekcji włączę dodatek, w którym wyjaśnię, dlaczego próba realizacji postulatów kolektywistycznych stopniowo, metodą tzw. wykupu publicznego, to czcza iluzja.

(9) Uznając, że sam argument teoretyczny, choć intelektualnie bez zarzutu, nie wystarczy do udowodnienia mojej tezy, zakończę podaniem kilku przykładów współczesnej angielskiej legislacji, które to przykłady jasno pokazują, że państwo niewolnicze nadchodzi.

Taki jest zatem plan, jaki opracowałem dla niniejszej książki.

Rozdział I – Definicje

Człowiek, jak każdy inny organizm, żyje wyłącznie dzięki przekształcaniu środowiska stosownie do własnych potrzeb. Musi przekształcać środowisko ze stanu, w którym służy ono jego potrzebom gorzej do stanu, w którym służy im lepiej.

Specjalny, świadomy i rozumny proces transformacji środowiska, właściwy wyłącznie wyjątkowej inteligencji i twórczym zdolnościom człowieka, nazywamy wytwarzaniem bogactwa.

Bogactwo to materia, świadomie i rozumnie przekształcona ze stanu, w którym gorzej służy potrzebom człowieka, do stanu, w którym lepiej służy potrzebom człowieka.

Człowiek nie może żyć bez bogactwa. Wytwarzanie go to dla niego rzecz konieczna – i choć na ogólne bogactwo składają się rzeczy bardziej i mniej niezbędne, a nawet takie odmiany produktów, którym nadajemy nazwę towarów luksusowych, to w każdej wspólnocie ludzkiej istnieje pewien określony *rodzaj i* pewna określona *ilość* bogactw, bez których życie staje się niemożliwe: w Anglii współczesnej są to na przykład różnorakie formy żywności, ubioru, paliwa i zamieszkania, uzyskiwane w drodze bardzo skomplikowanego procesu produkcji.

Tak też, kontrola nad środkami produkcji to kontrola nad życiem. Odmówić komuś prawa do wytwarzania bogactwa to odmówić mu prawa do życia; i, ogólnie biorąc, oficjalne uregulowanie kwestii wytwarzania bogactw determinuje całkowicie egzystencję prawną obywateli danego kraju.

Bogactwo można wytwarzać wyłącznie na drodze zastosowania ludzkiej energii, mentalnej i fizycznej, do otaczających nas sił przyrody oraz materiału, w którym działają.

Tę energię ludzką, którą da się zastosować do świata materialnego oraz działających w nim sił, będziemy nazywać pracą. Co do materiału i sił naturalnych zaś, będziemy gwoli zwięzłości używać do ich zbiorczego określenia niedoskonałego, ale uznanego powszechnie terminu *ziemia*.

Wydaje się zatem, że we wszystkich podstawowych problemach związanych z wytwarzaniem bogactwa – a więc i dyskusji, które powodują – występują ledwie dwa podstawowe i zasadnicze czynniki, mianowicie – praca i ziemia. Tak się jednak składa, że świadomy, sztuczny i rozumny wpływ człowieka

na przyrodę, skorelowany z jego wyjątkową pozycją wśród innych bytów stworzonych, wprowadza tutaj jeszcze trzeci czynnik o pierwszorzędnym znaczeniu.

Człowiek tworzy bogactwo świadomie opracowanymi metodami różnorodnej – i częstokroć rosnącej – złożoności, posiłkując się własnoręcznie wytworzonymi narzędziami. Te zaś stają się w każdej nowej gałęzi produkcji czymś równie niezbędnym jak praca i ziemia. Co więcej, każdy proces produkcyjny zabiera określoną ilość czasu; przez ten czas, produkujący musi jeść, nosić ubrania, mieć gdzie mieszkać i tak dalej. Koniecznie zatem musi występować rezerwa bogactwa z przeszłości, stworzona specjalnie celem podtrzymania pracy w jej wysiłkach wytwórczych, nakierowanych na przyszłość.

Niezależnie, czy chodzi o wytworzenie narzędzia względnie instrumentu pracy, czy też gromadzenie zapasów, tak w pierwszym jak i drugim wypadku praca zastosowana do ziemi nie wytwarza bogactwa przeznaczonego do natychmiastowej konsumpcji. Chodzi o to, by nieco odłożyć i zachować na przyszłość – i owo *nieco* jest zawsze ściśle konieczne, przy czym konkretna ilość zasobów waha się tutaj proporcjonalnie do prostoty bądź złożoności procesów odpowiedzialnych w danej społeczności ekonomicznej za wytwarzanie bogactwa.

Taką rezerwę bogactwa, zgromadzoną na potrzeby przyszłej produkcji, a nie celem natychmiastowej konsumpcji, nieważne, czy to w formie narzędzi, względnie instrumentów pracy, czy też zapasów mających podtrzymywać pracę w trakcie procesu produkcyjnego, określamy mianem kapitału.

Takie są zatem trzy czynniki, które grają rolę w produkcji każdego rodzaju bogactwa człowieka, i które konwencjonalnie określić możemy jako: ziemię, kapitał i pracę.

Gdy mówimy o środkach produkcji, mamy na myśli ziemię i kapitał razem wzięte. Tak też, gdy mówimy o kimś, że jest „pozbawiony środków produkcji", albo że nie może wytwarzać bogactwa, chyba że za zgodą kogoś innego, kto „dysponuje środkami produkcji", mamy na myśli tyle, że taki człowiek jest panem wyłącznie swojej pracy i nie ma żadnej kontroli nad najmniejszą choćby względnie produktywną ilością kapitału, ziemi, czy tych dwóch rzeczy razem wziętych.

Człowieka politycznie wolnego, to znaczy: cieszącego się w świetle prawa możliwością użytkowania swojej energii kiedy tylko zechce (albo i nigdy, jeżeli nie zechce), ale takiego, któremu

prawo to nie gwarantuje w żaden sposób posiadania jakiejkolwiek względnie użytecznej ilości środków produkcji, nazywamy proletariuszem – każdą zaś większą klasę ludzką złożoną z takich jednostek nazywamy proletariatem.

Własność to termin, którego używamy na oznaczenie takiego urządzenia społecznego, które zapewnia konkretnej osobie bądź korporacji kontrolę nad ziemią i bogactwem pozyskiwanym z ziemi, wliczając w to zatem także wszystkie środki produkcji. Tak też możemy powiedzieć o jakimś budynku, a także ziemi, na której stoi, że to „własność" tego to a tego obywatela, rodziny, szkoły, czy też państwa, mając na myśli to, że ci, którzy „posiadają" tę własność, mają gwarantowany prawnie tytuł do robienia z niej swobodnego użytku – bądź też wstrzymywania się od tego. Własność prywatna oznacza zaś takie bogactwo (ze środkami produkcji włącznie), które – w zgodzie z urządzeniami społecznymi – może pozostawać pod kontrolą osób lub korporacji *innych* od ciał politycznych, do których owe osoby lub korporacje pod innymi względami przynależą. Tym, co odróżnia własność prywatną od innych jej form nie jest to, że jej właścicielem jest jednostka mniejsza od państwa, albo stanowiąca ledwie część państwa (bo w takim wypadku również własność miejską musielibyśmy określać mianem prywatnej) – ale raczej to, że jej właściciel może posługiwać się nią dla własnych korzyści, a nie jako powiernik społeczeństwa, czy element hierarchii instytucji politycznych. Tak też pan Jones może być mieszkańcem Manchesteru, ale swojej własności nie posiada jako mieszkaniec Manchesteru; tylko właśnie pan Jones; podczas gdy w wypadku, w którym dom w jego sąsiedztwie stanowi własność manchesterskiego magistratu, magistrat dysponuje nim wyłącznie jako ciało polityczne, reprezentujące całą społeczność. Pan Jones może nie tracąc swojej własności w Manchesterze przeprowadzić się do Glasgow – ale dla manchesterskiego magistratu własność w sposób konieczny łączy się z całością politycznego życia miasta.

Społeczeństwo idealne, w którym środki produkcji znajdowałyby się w rękach funkcjonariuszy politycznych danej społeczności nazywamy kolektywistycznym, czy – bardziej ogólnie – socjalistycznym[*].

Społeczeństwo, w którym własność prywatna ziemi i kapitału, to znaczy: posiadanie środków produkcji, zarezerwowana jest dla określonej grupy wolnych obywateli, nie dość dużej, by wywierała decydujący wpływ na kształt masy społecznej państwa, podczas gdy reszta społeczeństwa pozbawiona

* Poza tym specjalnym wypadkiem, w którym oznacza „kolektywizm", słowo „socjalizm" nie ma jasnego znaczenia, albo też używa się go synonimicznie z różnymi starszymi i lepiej znanymi terminami (wszystkie przypisy „pod gwiazdką" pochodzą od Belloca).

jest takiej własności, stanowiąc zatem warstwę proletariacką, określamy mianem kapitalistycznego; w społeczeństwie takim zaś, jedyna możliwa metoda produkcji bogactwa to zastosowanie pracy ludzkiej – której znaczna większość ma naturę proletariacką – do ziemi i kapitału w taki sposób, by z całości wyprodukowanych bogactw pracujący proletariat otrzymał ledwie określoną część.

Naturę państwa kapitalistycznego określają zatem dwa elementy: (1) to, że jego obywatele są politycznie wolni, to jest: mają prawo wedle woli nie robić użytku ze swojej własności albo nie pracować, ale też (2) – podzieleni na posiadaczy i proletariat w takich proporcjach, że cechę państwa jako całości stanowi nie upowszechnienie instytucji własności pośród ogółu obywateli, ale raczej przeciwnie – zastrzeżenie jej tylko dla takiej ich grupy, która jest w znaczącym stopniu mniejsza od ogółu, a nawet wprost stanowi ledwie nieliczną mniejszość. Obywatele państwa kapitalistycznego, choć wszyscy politycznie wolni, dzielą się zatem z konieczności na dwie klasy, jedną: kapitalistyczną względnie posiadającą, i drugą: nieposiadającą względnie proletariacką.

Ostatnia z mych definicji dotyczy państwa niewolniczego, i ponieważ idea ta jest nie tylko poniekąd nowa, ale stanowi także właściwy przedmiot niniejszej książki, nie tylko ją sformułuję, ale jeszcze rozwinę.

Definicja państwa niewolniczego brzmi jak następuje:

„Ustrój społeczny, w którym liczba rodzin i jednostek zmuszonych na mocy prawa pozytywnego do pracy na rzecz innych rodzin i jednostek jest tak znaczna, że praca taka odciska swoje piętno na sposobie funkcjonowania całego społeczeństwa, określamy mianem państwa niewolniczego".

Zwróćmy uwagę po pierwsze na pewne elementy negatywne powyższego sformułowania, które koniecznie musimy dobrze zrozumieć, jeśli chcemy nie stracić jasności myślenia pośród mgieł metafory i retoryki.

Społeczeństwo, w którym panuje inteligentny przymus pracy wynikający ze zbiorowego entuzjazmu, dogmatów religijnych, niebezpośrednio z obawy przed nędzą, czy bezpośrednio z miłości zysku, czy też ze zdrowego rozsądku, który mówi, że praca prowadzi do zwiększenia dobrobytu, nie jest niewolnicze.

Między pracą wolną a niewolniczą przebiega jasno określona granica, i warunki panujące po obydwu jej stronach zasadniczo różnią się od siebie. Gdzie występuje *przymus* narzucany za pośrednictwem *prawa pozytywnego* ludziom o pewnym *statusie, i* gdzie przymus ten egzekwuje się w ostateczności siłą, przy pomocy typowych instrumentów państwowych, tam też jest instytucja niewolnictwa; i jeśli instytucja owa dostatecznie się upowszechni, można powiedzieć, że opiera się na niej funkcjonowania całego państwa – i państwo takie staje się w związku z tym państwem niewolniczym.

Gdzie tego formalnego, prawnego statusu brak, tam warunki pracy nie są niewolnicze; i różnica między życiem niewolnika a życiem wolnego, możliwa do uchwycenia w tysiącach elementów codzienności, bezwzględnie najwyraźniej zaznacza się w tym: że człowiek wolny może odmówić wykonania pracy i użyć tej odmowy jako argumentu w *negocjacjach*; podczas gdy niewolnik nie dysponuje żadnym zgoła argumentem czy władzą, dzięki którym mógłby cokolwiek negocjować, ale dobrobyt jego zależy zupełnie od zwyczajów społeczeństwa, znajdujących utrwalenie w tych spośród jego praw, które chronią i zabezpieczają byt niewolnika.

Następnie, zauważmy, że niewolniczy charakter państwa nie wynika z tego, że gdzieś w jego obrębie istnieje grupka niewolników. Państwo – całe państwo – zyskuje charakter niewolniczy wyłącznie w wypadku, w którym ilość ludzi przymuszanych do pracy przez prawo jest bardzo duża i wpływa to wyraźnie na naturę całego społeczeństwa.

Podobnie, państwo nie jest niewolnicze jeśli *wszyscy* jego obywatele muszą dysponować swoją energią życiową zgodnie z regulacjami prawa pozytywnego i pracować wedle uznania funkcjonariuszy politycznych. Dając się ponieść metaforze i dla celów czysto retorycznych, ludzie, który nie przepadają za kolektywizmem (na przykład) albo dyscypliną regimentu wojskowego, często opowiadają o ich „niewolniczej” organizacji. Ale dla ścisłości definicji i jasności myślenia koniecznie należy pamiętać o tym, że niewolnicze warunki pracy istnieją wyłącznie w kontraście do warunków pracy człowieka wolnego. Stan niewolniczy obecny jest w społeczeństwie wyłącznie wtedy, jeśli istnieją w nim także wolni obywatele, dla których niewolnicy pracują pod przymusem prawa.

I znów, zauważmy, że słowo „niewolnicze” w żadnym wypadku nie konotuje najgorszego, a nawet niekoniecznie złego, ustroju społeczeństwa. Jest to kwestia tak jasna, że nie powinniśmy się nad nią zatrzymywać; ale pomieszanie retorycznego i precyzyjnego sposobu użycia słowa „niewolniczy”, jak

się przekonałem, utrudnia publiczną dyskusję nad problemem do tego stopnia, że po raz kolejny muszę wyjaśnić tutaj zupełną oczywistość.

Dyskusja nad tym, czy instytucja niewolnictwa jest bezwzględnie dobra czy zła, czy też względnie lepsza czy gorsza od innych, alternatywnych rozwiązań, nie ma żadnego związku z próbą sformułowania jej ścisłej definicji. Tak też monarchia zasadza się na przekazaniu odpowiedzialności za losy społeczeństwa jednostce. Można wyobrazić sobie jakiegoś Rzymianina z pierwszego wieku, który wychwalałby nową władzę cesarską, ale ze względu na jakąś głupią tradycję niechęci do „królów" zarzekał się także, że nigdy nie zgodzi się na ustrój „monarchiczny". Taki jegomość byłby bardzo nędznym krytykiem życia publicznego z czasów Trajana[1] – ale nie nędzniejszym od kogoś, kto zarzeka się, że nigdy nie pozwoli zrobić z siebie „niewolnika", ale chętnie godzi się na wszelkie prawa, które zmuszają go do pracy bez jego zgody, pod przymusem państwowym, i na warunkach określonych przez kogoś innego.

Wielu utrzymywałoby, że ktoś zmuszony do pracy na takich zasadach, zabezpieczony od niepewności losu i problemów z jedzeniem, ubraniem i mieszkaniem, z obietnicą emerytury na stare lata i gwarancją tych wszystkich korzyści dla swoich potomków, miałby się znacznie, znacznie lepiej, niż człowiek wolny, pozbawiony podobnych udogodnień. Niemniej, nie ma to najmniejszego wpływu na definicję niewolnictwa jako taką. Żarliwy chrześcijanin, o nieskazitelnym życiorysie, dryfujący na krze w głęboką arktyczną noc, bez prowiantu i nadziei na pomoc, istotnie, znajduje się w warunkach poniekąd mniej komfortowych niż egipski kedyw[2]; ale głupotą byłoby brać ten kontrast pod uwagę przy definiowaniu znaczenia słów „chrześcijanin" i „mahometanin".

Musimy zatem, w całym toku niniejszego wywodu, trzymać się ściśle ekonomicznego aspektu sprawy. Wyłącznie gdy tutaj wszystko się wyjaśni i gdy współczesna tendencja do restauracji niewolnictwa stanie się całkiem jawna, będziemy mogli przedyskutować swobodnie wszelkie za i przeciw w sprawie rewolucji, którą właśnie przechodzimy.

Dalej, należy koniecznie zrozumieć, że istotą instytucji niewolnictwa nie jest to, że konkretny niewolnik stanowi własność konkretnego pana. Że pod wpływem różnorakich sił składających się na naturę człowieka i społeczeństwa niewolnictwo rzeczywiście zazwyczaj przybiera właśnie taką formę, to

---

1 Cesarz rzymski w latach 98-117, prowadzący politykę „podboju (m.in. na Bliskim Wschodzie) i rozwoju". Władca uznany w Rzymie za niezwykle udanego [wszystkie przypisy „pod cyfrą" pochodzą od tłumacza].

2 Tytuł wicekrólów Egiptu z lat 1864-1914.

rzecz całkiem prawdopodobna. Że w Anglii, jeśli lub gdy niewolnictwo zostanie przywrócone, konkretny pracownik okaże się niewolnikiem nie tyle kapitalizmu w ogólności, co trustu naftowego Shell w szczególności, to wielce realna perspektywa; i wiemy przecież, że w społeczeństwach, w których niewolnictwo funkcjonowało od niepamiętnych czasów, tego typu bezpośrednie posiadanie konkretnych niewolników przez ludzi wolnych lub ich korporacje stanowiło regułę. Mnie wszakże chodzi dokładnie o to, że nie ma tutaj koniecznego związku. I zupełnie łatwo można sobie wyobrazić, że we wstępnej fazie rozwoju tej instytucji – ale także nawet w jego fazie ostatecznej, mogącej istnieć potencjalnie w nieskończoność – sprawa mogłaby mieć charakter klasowy: że istniałaby po prostu klasa niewolników, zmuszona prawnie do pracy na rzecz klasy ludzi wolnych, bez bezpośrednich relacji własnościowych między jednostkami.

Ostateczne rozróżnienie między niewolnikami a wolnymi można by przeprowadzić na drodze ustawodawstwa państwowego, gwarantującego *niewolnym* bezpieczeństwo socjalne, *wolnym* zaś: pewność własności, profitów, czynszów i procentów. W takim społeczeństwie, niewolnika czyniłaby przynależność do takiego stanu czy też grupy o takim statusie, który zobowiązywałby ją (obojętnie jak) do pracy na rzecz drugich – i całkowita separacja od innego stanu względnie grupy o innym statusie, niezobowiązanej do pracy, ale wolnej pracować bądź nie pracować wedle własnego uznania.

Znów, istnienie państwa niewolniczego byłoby niewątpliwe nawet w sytuacji, w której niewolny miałby obowiązek pracować tylko przez określony czas, w czasie wolnym zaś, dysponował pełną wolnością negocjacji a nawet akumulacji. W zamierzchłych czasach, funkcjonowało wśród prawników rozróżnienie na pańszczyznę „en gros" i „warunkową". Pańszczyzna „en gros" oznaczała poddaństwo chłopa zawsze i wszędzie, a nie tylko w stosunku do konkretnego pana. Pańszczyzna „warunkowa" oznaczała poddaństwo chłopa wyłącznie w stosunku do konkretnego pana. W stosunku do innych, taki chłop był wolny. I można przecież wyobrazić sobie niewolników, by tak rzec, „warunkowych", zmuszonych do pracy w określonym zawodzie przez określoną ilość godzin na dzień. Niemniej – i tak byliby to niewolnicy, i gdyby ich liczba stała się dostatecznie duża, państwo opierające się na ich pracy można by określić mianem państwa niewolniczego.

Na koniec, pamiętajmy, że niewolnictwo można uznać za instytucję państwową w każdym wypadku, w którym przez pewien określony czas stanowi trwałą i niezniszczalną część życia społecznego – niezależnie, czy kryterium jest tutaj pewien zestaw ustalonych odgórnie *warunków*, czy też przynależność do określonej klasy, której członkowie żyją w niewolnictwie od narodzin aż do śmierci. Tak też prawa świata pogańskiego pozwalały panu na wyzwolenie swego niewolnika: trochę później zaś

– zaczęły dopuszczać możliwość sprzedawania w niewolę dzieci i jeńców wojennych. Instytucja niewolnictwa, choć podlegająca nieustannym zmianom co do swych elementów składowych, stanowiła niezmienny i trwały czynnik funkcjonowania państwa. Podobnie, nawet gdyby państwo zdecydowało się nadać status niewolników tylko tym, których zarobki nie przekraczają pewnego określonego progu, pozostawiając wszakże procedury pozwalające obywatelom – dzięki odziedziczeniu znaczniejszego spadku na przykład, czy jakąkolwiek inną metodą – opuścić klasę niewolniczą, albo też włączające ich pod przymusem – choćby ze względu na nagłą utratę majątku – w jej ramy, klasa niewolnicza jako taka, choć w stanie nieustannej fluktuacji co do składu osobowego, i tak byłaby czymś trwałym i niezmiennym.

Tak też na przykład, jeśli nowoczesne państwo przemysłowe uchwali prawa, według których statusu niewolnika nie otrzymają ci, którzy zdolni są własną pracą zarobić ponad pewną ustaloną sumę – ale tylko ci, którzy nie są do tego zdolni; albo, powiedzmy, zdefiniuje pracę fizyczną w jakiś konkretny sposób i pod przymusem zobowiąże jakąś grupę osób do wykonywania jej w określonych godzinach, zostawiając im wszakże również pełną swobodę zajmowania się w czasie wolnym czymkolwiek zechcą – bez wątpienia skutkiem wprowadzenia podobnych regulacji, choć związanych z pewnym *zestawem warunków*, a nie konkretną *klasą* społeczną, będzie ustanowienie instytucji niewolnictwa.

Pod definicję pracownika fizycznego z konieczności musi podpadać spora grupa ludzi – i członkowie tej grupy, tak długo, jak długo podpadaliby pod tę definicję, byliby nie kim innym, tylko niewolnikami. W tym wypadku również, szczegółowy skład stanu niewolniczego podlegałby fluktuacji, ale instytucja jako taka byłaby trwała i dostatecznie powszechna, by odciskać piętno na całym społeczeństwie. Nie muszę chyba tłumaczyć praktycznych skutków tego stanu rzeczy: że taki warunkowy status, raz ustanowiony, w wypadku znacznej większości objętych nim jednostek dąży do tego, aby się utrwalić, i proporcja między tymi, którzy stają się niewolnikami w pewnym momencie życia lub też przestają nimi być a ogółem masy niewolniczej stopniowo się zmniejsza.

W związku z tą definicją trzeba nam rozważyć jeszcze jedną sprawę. Mianowicie: skoro, z natury rzeczy, społeczeństwo ludzi wolnych musi narzucać obywatelom instytucję wolnej umowy względnie wolnego kontraktu (bo społeczeństwo ludzi wolnych nie zasadza się na niczym innym, tylko właśnie na tym: przymuszeniu obywateli do zawierania wolnych umów), na ile można nazwać niewolnictwem stan rzeczy, wpływający właśnie z nominalnie przynajmniej, albo nawet rzeczywiście wolnej umowy? Innymi słowy – czy umowa o pracę, jakkolwiek wolno zawarta, z natury swojej nie ma charakteru niewolniczego, jeżeli wymusza ją państwo?

Na przykład: nie mam jedzenia ani ubrań, i nie posiadam żadnych środków produkcji, przy pomocy których mógłbym wytworzyć nieco bogactwa na wymianę, i je pozyskać. Okoliczności są takie, że posiadacz środków produkcji nie da mi do nich dostępu, o ile nie podpiszę z nim umowy, zobowiązującej mnie do tygodnia pracy za wynagrodzenie, która ledwo co pozwoli mi przeżyć. Czy państwo, wymuszając zawarcie takiej umowy, na tydzień robi ze mnie niewolnika?

Oczywiście – nie. Jako iż instytucja niewolnictwa zakłada pewne nastawienie umysłowe – zarówno u niewolnika, jak i u wolnego, stały obyczaj życia, związany z funkcjonowaniem tak w jednym, jak i drugim stanie, i realny wpływ obydwu tych obyczajów na kształt społeczeństwa. Kontrakt zawarty na długość jednego tygodnia na pewno nie będzie miał podobnie daleko idących skutków. Długość życia ludzkiego, a także perspektywa życia przyszłych pokoleń, sprawia, że wypełnienie takiej umowy w żadnym wypadku nie gwałci poczucia wolności i wyboru.

A co, jeśli chodzi o miesiąc, rok, dziesięć lat, całe życie? Weźmy wypadek najbardziej ekstremalny i załóżmy, że ktoś podpisze kontrakt, zobowiązujący jego i wszystkiego jego małoletnie dzieci do pracy za wynagrodzenie ledwie pozwalające przeżyć aż do dnia jego śmierci, względnie do momentu, w którym większość jego dzieci osiągnie dojrzałość, cokolwiek wydarzy się wcześniej; czy państwo, wymuszając zawarcie podobnej umowy, czyniłoby tego człowieka niewolnikiem?

Nie ma wątpliwości, że tak jak nie czyniłoby go ono niewolnikiem w pierwszym z opisanych wypadków, w drugim – kategorycznie tak.

Jedyne, co można odpowiedzieć na starożytne, sofistyczne zagrywki tego rodzaju, to tyle, że ludzki rozsądek potrafi określić dla siebie właściwe granice wszystkich rzeczy, w tym wolności. Czym wolność jest, a czym nie jest, w perspektywie czegoś tak prozaicznego, jak pomiar czasu (choć oczywiście gra tutaj rolę znacznie więcej istotnych czynników), determinuje obyczaj; ale zawarcie umowy o świadczenie określonych usług na takich zasadach, które zapewniają stronom po jej wygaśnięciu przynajmniej prawdopodobieństwo wyboru, nie przeczy wolności. Wymuszenie na kimś podpisania kontraktu prawdopodobnie zobowiązującego kogoś na całe życie, przeczy wolności. A przymusowe zobowiązywanie do czegokolwiek przyszłych pokoleń, to rzecz absolutnie z tej perspektywy nie do zaakceptowania.

Weźmy inny, odwrotny wypadek. Pewien człowiek zobowiązuje się i swoje dzieci pracować dla kogoś innego w maksymalnych granicach czasowych dopuszczanych przez prawo tej konkretnej społeczności, ale nie za grosze ledwie starczające na przeżycie, tylko za wynagrodzenie tak znaczne, że za kilka lat stanie się bogatym człowiekiem, jego potomstwo zaś, w momencie wygaśnięcia umowy, jeszcze bogatsze. Czy państwo, wymuszając zawarcie podobnego kontraktu, czyni naszego szczęśliwca niewolnikiem? Nie. Bo do istoty niewolnictwa należy dokładnie to, że za pracę otrzymuje się tyle, by starczało tylko na przeżycie, ewentualnie troszeczkę więcej. Niewolnictwo istnieje po to, by ludzie wolni czerpali z jego istnienia profity, i konotuje sytuację życiową, w której ludziom podpadającym pod tę kategorię wolno domagać się wyłącznie zabezpieczenia socjalnego, ale niczego więcej.

Gdyby ktoś chciał wyznaczyć dokładną granicę, i powiedzieć, że umowa na całe życie, zawierana wobec przymusu państwowego, zaczyna być niewolnicza od tylu to a tylu szylingów tygodniowo, ale przestaje być niewolnicza po przekroczeniu tej sumy, od razu mógłby sobie tę głupotę darować. Niemniej, w każdym społeczeństwie istnieje pewne minimum, za które można przeżyć – i jeśli zawierana pod przymusem umowa gwarantuje jednej stronie tylko to minimum, ewentualnie troszeczkę więcej, zaczyna się niewolnictwo – jeśli zaś gwarantuje sporo więcej, nie ma niewolnictwa.

Tę żonglerkę werbalną można kontynuować. Ten typ czysto werbalnych trudności nieodmiennie narzuca się w każdej debacie profesjonalnemu dyskutantowi – ale na umysł szczerego badacza, zainteresowanego prawdą, a nie sofistyką, nie wywiera zgoła żadnego wpływu.

Zawsze istnieje możliwość przekrojowego zestawienia zbioru różnych definicji tej samej rzeczy celem wywołania wrażenia, jakoby w jakiejś sprawie zachodził nierozwiązywalny problem stopnia, ale tego typu sztuczki nie dotykają w żaden sposób *meritum* debaty. Wiemy, na przykład, co oznacza termin „tortury" i rozumiemy, o co chodzi, gdy stanowią one część danego systemu prawnego, bądź gdy się ich zakazuje. I żadne wyimaginowane problemy stopnia, jakie mogłyby uniemożliwiać komuś ustalenie jednoznacznej różnicy między wyrwaniem komuś włosa a oskalpowaniem go, między ogrzaniem człowieka przy ogniu a spaleniem go żywcem na stosie, nie zmącą sumienia porządnego reformisty, który obrał sobie za cel wyrugowanie tortur z kodeksu karnego.

Na tej samej zasadzie, wiemy czym jest, a czym nie jest praca przymusowa, i czym są, a czym nie są, niewolnicze warunki życia. Probierzem jest tutaj, powtarzam, odebranie człowiekowi prawa wyboru, czy chce pracować, czy nie pracować, a jeśli tak, to gdzie, kiedy i za co; i przymuszenie go, mocą zapisów prawa pozytywnego, do pracy na rzecz innych, których zapisy te nie obejmują.

Gdzie jest *to* wszystko, tam jest i niewolnictwo: ze wszystkimi złożonymi, duchowymi i politycznymi skutkami, jakie ta starożytna instytucja ze sobą przynosi.

Gdzie niewolnictwo dotyka grupy ludzi tak licznej, że staje się znakiem i determinantą całości życia państwowego, tam powstaje państwo niewolnicze.

Podsumowując, niniejszym: państwo niewolnicze to takie, w którym istnieje na tyle duża grupa rodzin i jednostek różniących się od *wolnych obywateli* zobowiązaniem do pracy przymusowej, że odciska to wyraźne piętno na sposobie funkcjonowania całego społeczeństwa – i nieważne, czy niewolnik będzie własnością swojego pana w sensie osobistym, czy też tylko pośrednio, dzięki procedurom aparatu państwowego, czy też na jakiejś trzeciej zasadzie, przez przypisanie do poszczególnych korporacji czy gałęzi przemysłu, można mieć pewność, że żadna dziedzina życia takiego państwa nie będzie wyjęta spod przemożnego wpływu najważniejszych cech społecznych, dobrych i złych, jakie od zawsze towarzyszą starożytnej instytucji niewolnictwa. Niewolnik będzie odcięty od własności środków produkcji i prawnie zobowiązany pracować dla tych, którzy je posiadają, czy to dla wszystkich, czy tylko dla jednej osoby. Znak szczególny niewolnika stanowi zaś wyjątkowa rola, jaką odgrywają w jego życiu zapisy prawa pozytywnego, regulujące metody zawierania umów przez podzielenie społeczeństwa na dwie prawnie istniejące grupy – jedną, obdarzoną mniejszą dozą wolności, i drugą, obdarzoną większą dozą wolności.

Trzeba powiedzieć jedno: my, Europejczycy, wywodzimy się z cywilizacji o czysto niewolniczej koncepcji produkcji i ustroju społecznego. Od najbardziej zamierzchłej przeszłości, historia Europy związana jest z niewolnictwem. Przez kilka wieków, przenikniętych wpływem Kościoła, przez Kościół zapoczątkowanych i kształtowanych, Europa stopniowo uwolniła się bądź oczyściła od tej prastarej i fundamentalnej koncepcji społecznej; i do tej właśnie koncepcji, do tej instytucji, nasze przemysłowe względnie kapitalistyczne społeczeństwo powolutku wraca. Niewolnik staje się znowu częścią społeczeństwa.

Zanim przejdę do dowodów na potwierdzenie tej tezy, poczynię na kilku następnych stronach krótką dygresję i pokażę, bardzo ogólnie, w jaki sposób starożytne społeczeństwo niewolnicze pogan przekształciło się w ciągu kilku wieków w społeczeństwo wolnych ludzi. Następnie zaś – jak później to nowe, pozbawione instytucji niewolnictwa społeczeństwo – w pewnych regionach Europy, a zwłaszcza w Anglii – zrównano z ziemią w czasie reformacji. Stopniowo, zastąpiono je przejściową formą

społeczną (teraz już nieomal całkiem wyczerpaną), generalnie określaną mianem kapitalizmu bądź państwa kapitalistycznego.

Dygresja ta, jako natury czysto historycznej, nie jest dla rozważenia sprawy logicznie konieczna, będzie ona jednak z wielką korzyścią dla czytelnika, ponieważ wiedza na temat tego jak zmieniały się, konkretnie i faktycznie, pewne rzeczy, pozwala lepiej uchwycić procesy logiczne, mocą których zmierzają one do osiągnięcia w przyszłości tych a nie innych celów.

Że istnieje w Anglii tendencja do restauracji państwa niewolniczego można by dowieść nawet komuś, kto nie wiedziałby o przeszłości Europy zupełnie nic; niemniej, tendencja owa wyda się mu czymś znacznie bardziej prawdopodobnym, w znacznie większym stopniu kwestią doświadczenia, a nie tylko czczej dedukcji, gdy dowie się, czym nasze społeczeństwo niegdyś było – i w jaki sposób stało się tym, czym znamy je dzisiaj.

Rozdział II – Nasza cywilizacja pierwotnie była niewolnicza

Niezależnie od tego, jaką część europejskiej historii zdecydujemy się badać, wszędzie natrafiamy, od dwóch tysięcy temu lat wzwyż, na jedną instytucję o kapitalnym znaczeniu, stanowiącą absolutną podstawę bytu społecznego; instytucją ową jest niewolnictwo.

Nie ma różnicy, czy mowa o wysoce cywilizowanym mieście-państwu Śródziemnomorza, z całą jego literaturą, sztuką plastyczną i kodeksami prawnymi, słowem: ze wszystkim, co czyni cywilizację – a są to w wypadku Śródziemnomorza rzeczy starsze, niż najdawniejsze nawet świadectwa historyczne, którymi dysponujemy – nie ma zatem różnicy, czy mowa o tej wspólnocie prastarej i cywilizowanej, czy o północnych i zachodnich szczepach celtyckich, czy praktycznie nieznanych nam, dzikich hordach, przemierzających bezdroża Germanii. *Wszystkie* te społeczności opierały się na niewolnictwie. Wszędzie obecne, nigdzie dyskutowane, stanowiło ono fundamentalną koncepcję społeczną.

Pewna różnica (a przynajmniej tak się wydaje) zachodzi w tym względzie między Europejczykami i Azjatami. Religia i moralność jednego z tych ludów tak bardzo różniły się co do samych swych korzeni od religii i moralności drugiego, że nie było w ich życiu społecznym takiej sfery, w której kontrast ów by się w pewien sposób nie zaznaczył – i niewolnictwo nie stanowiło wyjątku.

Tym wszakże, nie musimy się tutaj zajmować. W tym momencie chodzi mi wyłącznie o to, że nasi europejscy przodkowie, ludzie, od których pochodzimy i których krew, z niewielką obcą domieszką, krąży w naszych żyłach, brali niewolnictwo za zupełną oczywistość, uczynili z niego oś gospodarczą, wokół której obracał się każdy etap procesu produkcji, i nigdy nie wątpili, że to rzecz normalna dla całej ludzkości.

Zrozumienie tej sprawy ma znaczenie absolutnie kluczowe.

Tego typu ustrój nie mógłby przetrwać bez żadnych wstrząsów (i, istotnie, bez żadnych wątpliwości) tych wszystkich długich wieków, przez które się utrzymywał, i nie wyrastałby – w pełni dojrzały – z owej wielkiej przestrzeni niespisanych dziejów, gdy barbarzyństwo i cywilizacja istniały w Europie tuż obok siebie, gdyby nie było w nim czegoś, co – dobre czy złe – bliskie jest naszej krwi.

Żadna z owych starożytnych społeczności, od których pochodzimy, nie znała praktyki zniewalania podbitych plemion. Wszystkie tego typu teorie, to ledwie uniwersyteckie zgadywanki. Nie tylko nie ma na ich potwierdzenie żadnych dowodów, ale wszystkie istniejące dowody wskazują na coś dokładnie przeciwnego. Grek miał za niewolnika Greka, Latyn – Latyna, Germanin – Germanina, Celt – Celta. Teoria, jakoby „wyższe rasy" najeżdżając dane terytorium albo wypierały mieszkające na nim plemiona, albo zaprzęgały je do pracy niewolniczej, nie broni się żadnym argumentem, ani z naszej obecnej wiedzy o naturze umysłu ludzkiego, ani z jakichkolwiek źródeł. Istotnie, najbardziej uderzającą cechą owej niewolniczej podstawy, na której opierał się społeczny ład pogaństwa, stanowi powszechne uznanie równości ludzkiej, zachodzącej między panem a niewolnikiem. Oczywiście, pan miał prawo zabić swego niewolnika – ale obydwaj byli z jednej krwi i obydwaj uznawali wzajem swoje człowieczeństwo.

Ta wartość duchowa nie była natomiast, jak wyobrażają to sobie autorzy innych zwodniczych zgadywanek, kwestią „wzrostu" czy „postępu". Przekonanie o równości ludzkiej nurtowało w najżywotniejszej tkance antyku – podobnie jak wciąż nurtuje w życiu tych społeczności, które nie straciły ciągłości tradycji.

Możemy założyć, że barbarzyńcom z północy uchwycenie tej wielkiej prawdy przychodziło nieco trudniej – bo barbarzyństwo zawsze łączy się z degeneracją sił intelektualnych; jednoznaczny dowód na to, że niewolnictwo opierało się raczej na pewnej konwencji społecznej, niż rozróżnieniu typów naturalnych, stanowi wszakże fakt, że zawsze i wszędzie towarzyszyła mu także praktyka emancypacji. Pogańska Europa uważała niewolnictwo za naturalną konieczność społeczną – ale nie miała żadnych wątpliwości, że każdy niewolnik po wyzwoleniu w równie naturalny sposób wkomponuje się, choć być może dopiero po upływie kilku pokoleń, w swoich potomkach, w funkcjonowanie społeczności wolnych. Wielkim poetom i wielkim artystom, wielkim żołnierzom i mężom stanu, pamięć o niewolniczych korzeniach nie mąciła przesadnie spokoju ducha.

Z drugiej strony, do stanu niewolniczego trwała swego rodzaju nieustająca rekrutacja – podobnie jak trwała z niego nieustające emancypacja – i świeża krew napływała bez przerwy, miesiąc po miesiącu i rok po roku; a naturalną i moralną metodę tej rekrutacji możemy niezbicie ustalić na podstawie danych, jakich dostarcza nam obserwacja cywilizowanych pogan świata współczesnego.

To ubóstwo czyniło niewolnika.

Jeniec wojenny, wzięty w honorowej walce, był jednym typem kandydata, do czego dołączał się jeszcze proceder wypraw pirackich, bardzo powszechny na rubieżach, podczas których również porywano ludzi i sprzedawano ich potem na targach niewolniczych południa. Pierwotną wszakże, bezpośrednią przyczynę niewoli zawsze stanowił niedostatek kogoś, kto się w nią sprzedawał – *albo się w niej urodził*; bo jedną z zasad niewolnictwa pogańskiego było właśnie to, że niewolnik rodził niewolnika, i nawet gdy jedno z rodziców było wolnym człowiekiem, dziecko zawsze należało do stanu niewolniczego.

Społeczeństwo starożytne, zatem, w warunkach normalnych dzieliło się (jak z konieczności musi dzielić się społeczeństwo każdego państwa niewolniczego) na jasno określone grupy: z jednej strony, istniał w nim obywatel, którego głos liczył się w sprawach państwowych, który również często pracował – ale pracował z własnej nieprzymuszonej woli – i który zazwyczaj dysponował pewną dozą własności; z drugiej strony zaś, istniała masa pozbawiona zupełnie dostępu do środków produkcji i pracująca na polecenie panów, pod przymusem prawa pozytywnego.

Prawda, że w czasach późniejszych, gromadzenie przez niewolników prywatnych oszczędności stało się rzeczą społecznie tolerowaną, i że zdarzały się wypadki, w których jakiś podobnie uprzywilejowany niewolnik kupował sobie wolność.

Prawda również, że w czasie ogólnego zamętu, jaki wkradł się w życie ostatnich pokoleń pogańskiego świata, pojawiła się w wielkich miastach wcale liczna klasa ludzi, którzy – choć wolni – pozbawieni byli własności środków produkcji. Niemniej, ta ostatnia grupa nigdy nie istniała w proporcji dostatecznej aby realnie odcisnąć na całym społeczeństwie piętno proletariackiego bytu. Aż do swego końca, świat pogański pozostał światem wolnych właścicieli, dysponujących, w różnym stopniu, ziemią i kapitałem potrzebnymi do produkcji bogactwa, i stosującymi w procesie produkcji bogactwa do tej ziemi i tego kapitału pracę *przymusową*.

Tytułem zakończenia, powinno się tutaj zwrócić baczną uwagę na niektóre przynajmniej cechy owej pierwotnej wersji państwa niewolniczego, z której wszyscy się wywodzimy.

Po pierwsze, choć dzisiaj wszyscy zgodnym chórem uznają wolność za rzecz ewidentnie i pod każdym względem lepszą od niewolnictwa, w przeszłości wielu ludzi mając do wyboru niewolę lub nędzę, z pełną świadomością wybierało niewolę.

Po drugie (i jest to punkt najważniejszy dla naszej oceny niewolnictwa w ogóle, a także aktualnych szans na jego powrót), przez wszystkie te wieki nie natrafiamy nawet na ślad jakiejkolwiek formy zorganizowanego oporu, więcej (co tym bardziej znaczące) – nawet na ślad jakiegokolwiek *sprzeciwu sumienia* wobec instytucji, która skazywała wielką masę ludzką na pracę przymusową.

W literaturze tamtego okresu znajdzie się postaci niewolników, którzy opłakując swój los – ale i takich, którzy się z niego śmieją; ten lub tamten filozof sarknie niekiedy, że w społeczeństwie idealnym niewolników być nie powinno; inni, będą usprawiedliwiać tę instytucję z tych lub tamtych pobudek, zastrzegając wszakże, że – istotnie – sprzeciwia się ona godności człowieka. Ale większa część będzie zgodnie utrzymywać, że natura państwa musi być niewolnicza. I absolutnie nikomu, czy to niewolnikowi, czy wolnemu, nawet nie śni się o zniesieniu tej instytucji. Sprawa „wolności" przeciw „niewolnictwu" nie ma męczenników. Tak zwane „wojny niewolnicze" stanowiły zbrojny opór tej części zbiegłych niewolników, którzy nie chcieli dać się ponownie schwytać – ale nie miały one związku z żadną świadomą, intelektualną doktryną o wrodzonej niegodziwości niewolnictwa jako takiego; i nigdzie nie słychać zgoła zupełnie dźwięku tej struny – od niepamiętnych początków, do katolickiego końca pogańskiego świata. Niewolnictwo jest przykre, wstrętne, odrażające; ale należy również – dla tych ludzi – do natury rzeczy.

Można powiedzieć, gwoli zwięzłości, że ten ustrój społeczny stanowił w pogańskim antyku samo powietrze, którym oddychano.

Jego wielkie dzieła, czas wolny i życie domowe, humor i zasoby sił – wszystko to opierało się ściśle na niewolniczym charakterze społeczeństwa.

I ludzie byli w tym układzie szczęśliwi – na tyle, na ile człowiek szczęśliwy być może.

Żadna samodzielna próba wyjścia z niewolniczych warunków życia, czy na drodze osobistej oszczędności, czy na drodze przygody, czy na drodze konsekwentnego przypochlebiania się własnemu panu, nie odznaczała się determinacją choćby podobną nieco do tej charakteryzującej niektóre przynajmniej współczesne próby przebicia się z klasy pracujących do klasy posiadaczy. Niewolnictwo nie wydawało się tamtym ludziom piekłem, którego należy uniknąć bądź zginąć w walce, albo z którego należy wydostać się za wszelką cenę, niezależnie od wielkości ofiary. Był to normalny stan rzeczy, akceptowany w równym stopniu przez tych, którym był przykry, jak i tych, którym się bardzo podobał – konieczna i zwyczajna część wszystkich ludzkich działań i myśli.

Nie znajdzie się nigdzie w źródłach ani jednego barbarzyńcy, który przybyłby do Rzymu z jakiejś krainy wolności i dla którego instytucja niewolnictwa byłaby czymś szokującym; nie znajdzie się ani jednego niewolnika, który wskazywałby na jakiś nieznający niewolnictwa kraj jako na szczęśliwsze miejsce do życia. Naszym przodkom, nie tylko w ciągu tych kilku wieków, z których mamy źródła, opowiadające nam o ich życiu, ale według wszelkich znaków także w ciągu całej naszej niepamiętnej przeszłości, podział społeczeństwa na tych, którzy muszą pracować pod przymusem i tych, którzy czerpią z tej pracy korzyści, stanowił jedyny racjonalny projekt państwa – bez którego samo istnienie społeczeństwa wydawałoby im się średnio możliwe.

Należy to dobrze uchwycić. To sprawa absolutnie fundamentalna dla zrozumienia problemu, którym musimy zająć się w następnej kolejności. Instytucja niewolnictwa nie jest w historii Europy doświadczeniem nowym; i gdy ktoś mówi, że Europejczycy byliby w stanie znów się na nią zgodzić, to nie tylko jakieś dziwne majaczenia. Niewolnictwo stanowiło część najżywotniejszej tkanki europejskiego życia przez tysiące i tysiące lat, dopóki kontynent nasz nie zdecydował się przeprowadzić owego nadzwyczajnego wprost, moralnego eksperymentu, jaki nazywamy *wiarą*, o którym wielu mniema dzisiaj, że skończył się i wypalił, i wobec klęski którego prastara i pierwotna instytucja niewolnictwa – jak wszystko na to wskazuje – musi powrócić.

Bo oto nastał w życiu nas, Europejczyków, po tych wszystkich wiekach i wiekach stabilnego porządku społecznego, który wznieśliśmy na mocnej podwalinie niewolnictwa, ów przedziwny eksperyment dziejowy, zwany Kościołem.

Jednym z produktów ubocznych tego eksperymentu, który z wielkim trudem wyrastał na gruzach pogańskiego świata, i ostateczną dojrzałość osiągnął ledwie na krótko zanim cywilizacja chrześcijańska sama o mało co nie zawaliła się w gruzy, była nadzwyczajnie powolna i stopniowa transformacja państwa niewolniczego w nową jakość: społeczeństwo gospodarzy. I w jaki sposób ta nowa jakość zastąpiła stare urządzenia pogańskie, wyjaśnię w następnym rozdziale.

Rozdział III – O tym, jak instytucja niewolnictwa na pewien czas zniknęła

Proces, na drodze którego instytucja niewolnictwa zniknęła w ludzie chrześcijańskim, choć bardzo długi (trwał około tysiąca lat) i w szczegółach bardzo skomplikowany, co do swych najważniejszych elementów łatwy jest tak do uchwycenia, jak i opisania.

Na wstępie wyjaśnijmy sobie jedną rzecz: rewolucja, którą umysł europejski przeszedł na przełomie wieków trzeciego i czwartego (ta rewolucja, którą często określa się mianem nawrócenia świata na chrześcijaństwo, choć z punktu widzenia ścisłości historycznej należałoby mówić po prostu o rozwoju Kościoła), jako taka nie miała z bezpośrednim atakiem na niewolnictwo żadnego związku.

Żaden z dogmatów Kościoła nie denuncjował niewolnictwa jako rzeczy niemoralnej, czy sprzedaży i kupna ludzi jako grzechu, czy zaprzęgania chrześcijanina do pracy przymusowej jako pogwałcenia przyrodzonych praw człowieka.

Wyzwalanie niewolników istotnie uznawano wśród wiernych za szlachetny uczynek: ale podobnie postrzegano je przecież także wśród pogan. Stanowiło to, z pozoru przynajmniej, dobro świadczone drugiemu człowiekowi. Sprzedawanie chrześcijan poganom w późnym okresie imperium, to jest w czasie inwazji barbarzyńskich, traktowano jako rzecz obrzydliwą – nie dlatego wszakże, że zaczęto potępiać niewolnictwo jako takie, ale dlatego, że wyrzucanie ludzi poza obręb cywilizacji i skazywanie na życie w barbarzyństwie wydawało się zdradą cywilizowanego świata. Ogólnie mówiąc, nie natrafi się w źródłach na żadną wypowiedź przedstawicieli Kościoła, która potępiałaby niewolnictwo w sensie instytucjonalnym, ani jedną definicję prawdy moralnej, która by je atakowała – przynajmniej jeśli mowa o tych wszystkich długich wiekach, w toku których zaczęło ono mimo wszystko rzeczywiście zanikać.

Sposób, w jaki zanikało, wart jest szczególnej uwagi. Zaczęło się od tego, że w Europie Zachodniej rolę kluczowych jednostek produkcyjnych zaczęły pełnić duże posiadłości ziemskie, zazwyczaj pozostające w ręku jednego posiadacza, nazywane powszechnie „willami".

Istniały, rzecz jasna, także skupiska ludzkie wielu innych rodzajów: małe majątki rolne, stanowiące absolutną własność swych ubogich gospodarzy; grupy wolnych, których miejsce życia

stanowiło charakterystyczne osiedle, znane jako *vicus*[3]; manufaktury, w których znaczne i wysoce zorganizowane zespoły niewolników pracowały dla swojego pana; i – jako siatka centrów administracyjnych – doskonały system rzymskich miast.

Spośród tych wszystkich wszakże, to wille odgrywały rolę dominującą; i w miarę, jak społeczeństwo antyku przechodziło od stanu wysokiej cywilizacji pierwszych czterech stuleci do kulturowej prostoty wieków ciemnych, willa, jednostka produkcji rolnej, stawała się w coraz większym i większym stopniu modelem dla całego społeczeństwa.

Willa zaś, z początku stanowiła spory obszar ziemi, z pastwiskiem, polami ornymi, źródłem wody, lasem i ugorem względnie nieużytkiem (czyli coś bardzo podobnego do współczesnej posiadłości angielskiej). Właścicielem willi był *dominus* albo *pan*, mogący dysponować nią z absolutną swobodą – sprzedać, zapisać w spadku, cokolwiek, czego akurat by sobie życzył. Pracowali na niej niewolnicy, wobec których nie miał on najmniejszych zobowiązań moralnych, i których opłacało mu się po prostu utrzymywać przy życiu, pozwalając do tego na rozmnażanie, by nie zabrakło nigdy rąk do pomnażania jego bogactw.

Na tych właśnie niewolnikach, owej potężnej większości ludzi zamieszkujących tereny wiejskie, koncentruję się w sposób szczególny, ponieważ chociaż w wiekach ciemnych, czasie transformacji społeczeństwa Cesarstwa Rzymskiego w społeczeństwo średniowieczne, rozwinął się w willach także inny czynnik życia społecznego – grupa ludzi wolnych, pracujących dla pana na innych zasadach, w której dało się też – okazjonalnie – znaleźć niezależnych obywateli, zatrudnionych na wolnej umowie, którą sami mogli wedle chęci rozwiązać – to jednak właśnie postać niewolnika stanowi znak społeczeństwa tamtego czasu.

U swego zarania, zatem, rzymska willa stanowiła własność osobistą w sensie absolutnym, i wytwarzanie bogactwa polegało w niej na zastosowaniu pracy niewolniczej do surowców naturalnych miejsca; i praca owa stanowiła własność osobistą pana w takim samym stopniu, jak ziemia.

Pierwszą modyfikacją, wprowadzoną do tego urządzenia w nowym społeczeństwie, którego rozwój związany był nierozerwalnie z ustanowieniem i wzrostem w świecie rzymskim instytucji Kościoła, było swego rodzaju prawo zwyczajowe, wnoszące pewne zmiany do starej i determinowanej konwencją sytuacji społecznej niewolnika.

3 Z łac. wioska, osiedle.

Niewolnik pozostawał wprawdzie niewolnikiem, ale w epoce ogólnego rozpadu kanałów komunikacyjnych i instrumentów władzy publicznej czymś bardziej praktycznym, i bardziej zgodnym z duchem życia zbiorowego tamtego czasu, było zabezpieczenie ciągłości produkcji przez zmniejszenie obciążeń do pewnego stałego, zwyczajowo ustalonego poziomu. Niewolnik i jego potomstwo stali się mniej lub bardziej przywiązani do konkretnego miejsca. Niektórych niewolników wciąż kupowało się i sprzedawało, ale liczba dotkniętych tym losem stale malała. W miarę upływu pokoleń coraz więcej i więcej niewolników żyło tam, gdzie żyli ich ojcowie, ich obciążenia zaś, przybierały coraz wyraźniej i wyraźniej formę pewnej stałej, zadowalającej dla pana daniny, ponad którą niczego już nie wymagał. Taki układ był znacznie łatwiejszy do utrzymania, ponieważ zostawiał niewolnikowi całą resztę owoców jego pracy. Stanowiło to swego rodzaju „umowę domyślną", zapewniającą stabilność wobec braku władz publicznych i zanikania starego, wysoce scentralizowanego i skutecznego systemu państwowego, w którym jedynym ich dysponentem był pan i tylko pan. Umowa polegała na tym, że jeśli niewolnicza społeczność pracowników willi godziła się wytwarzać dla swego pana pewną zwyczajowo określoną ilość dobór, owoców jego ziemi, pan dbał o podtrzymanie tego stanu rzeczy zostawiając jej całą nadwyżkę, która mogła wszak rosnąć, jeśli sami zainteresowani tego chcieli, właściwie w nieskończoność.

Do wieku dziewiątego, gdy proces ów był w toku już od mniej więcej trzystu lat, w zachodnim chrześcijaństwie zaczęła się widoczna dominacja jednego typu jednostki produkcyjnej.

Stary model posiadłości, pozostającej w absolutnej dyspozycji właściciela, zaczęto dzielić na trzy części. Jedną z nich stanowiły pola orne i pastwisko, zarezerwowane na prywatny użytek pana, a nazywane potocznie *domeną*: to znaczy, dziedziną pana. Drugą zajmowali się, i prawie że posiadali (w sensie praktycznym, acz nie prawnym) niegdysiejsi niewolnicy. Trzecia była własnością wspólną, do której prawa – z wielką pieczołowitością pamiętane i przekazywane, i uświęcone powagą wiekowego obyczaju – mieli zarówno pan, jak i niewolnicy. Mogło to wyglądać choćby tak: jeśli w pewnej wiosce znajdowało się pastwisko z zagajnikiem bukowym, zdolne wyżywić trzysta świń, pan mógł dostarczyć, powiedzmy, pięćdziesięciu: dwie i pół setki, na mocy tych praw, należało do „wioski".

Na pierwszej spośród rzeczonych trzech części, domenie, gwarantem produkcji bogactwa było posłuszeństwo niewolnika, który musiał przepracować tam określoną ilość godzin. Musi przyjść w tyle to a tyle dni na tydzień, czy w takim to ta takim wypadku (warunki były stałe i determinowane

obyczajem), by orać na domenie swego pana – i w pańskie ręce muszą trafić *wszystkie* owoce tej pracy – choć, rzecz jasna, istniało także coś w rodzaju dniówki, bo robotnik musi żyć.

Na drugiej części, „ziemi dzierżawnej", niemal w każdym wypadku zajmującej większość pastwisk i gruntów ornych danej willi, niewolnicy pracowali stosownie do zasad i obyczajów, które stopniowo sami sobie wytworzyli. Pracowali pod własnym nadzorcą, czasem nominowanym, a czasem wybieranym: niemal zawsze, w praktyce, człowiekiem, który im pasował i którego popierali; choć pracę tej kooperatywy, która zajęła miejsce dawnej społeczności niewolniczej, regulowało także ogólniejsze prawo obyczaju całej wsi, obowiązujące tak pana, jak i niewolnika, a zasadniczą zwierzchność nad obydwoma częściami willi sprawował pański namiestnik.

Z bogactwa wytworzonego w ten sposób przez niewolników, pewną stałą proporcję (pewnego ustalonego pierwotnie rodzaju) płaciło się rządcy – i stawała się ona własnością pana.

Wreszcie, na trzeciej części ziemi, „nieużytku", „lesie", „ugorze" i kilku wspólnych pastwiskach, źródło bogactwa stanowiła, jak w poprzednich wypadkach, praca niegdysiejszych niewolników, ale bogactwo to rozdzielano zwyczajowo pomiędzy ich, a pana. Tak też, dane pastwisko mogłoby wyżywić tyle to a tyle wołów; ich liczba byłaby zawsze ściśle określona – i z tej liczby, tyle to a tyle należałoby do pana, a tyle to a tyle do wieśniaków.

W toku wieków ósmego, dziewiątego i dziesiątego, system skrystalizował się i stał dla ludzi czymś tak naturalnym, że pierwotny, niewolniczy charakter pracy robotników willi, uległ kompletnemu zapomnieniu.

Dokumenty z tego czasu są niezmiernie rzadkie. Te trzy wieki, to dla Europy próba ognia i wody – i istotnie, większość źródeł spłonęła bądź zniknęła w głębinach. Wszelkie badania nad warunkami społecznymi, które w nich panowały – szczególnie w okresie późniejszym – to kwestia domysłów raczej, niż materiału dowodowego. Ale praktyka kupowania i sprzedawania ludzi, bardzo rzadka już u początku tego czasu, u jego końca właściwie nie istnieje. Poza instytucją niewolnika domowego, pracującego w obejściu, niewolnictwo w starym sensie tego słowa, nadanym mu przez antyk pogański, uległo stopniowym, ale daleko idącym przekształceniom i ulotniło się niezauważalnie ze świadomości ludzi, a gdy w wieku jedenastym z gleby wieków ciemnych zaczęły wyrastać pierwsze kiełki średniowiecza, i rodziła się nowa cywilizacja, to choć stary łaciński termin *servus* („niewolnik" po łacinie) wciąż pozostaje w użyciu na określenie kogoś, kto utrzymuje się z pracy na roli, to jednak

w rosnącej liczbie dokumentów status takiego człowieka ulega zasadniczej zmianie; i na pewno nie możemy już tłumaczyć tego terminu słowem *niewolnik*; potrzebujemy zupełnie nowego rozwiązania, z zespołem zupełnie innych konotacji: i jest nim słowo *kmieć*.

Kmieć wczesnych wieków średnich, wieku jedenastego i początku dwunastego, czasu krucjat i inwazji normańskiej, to prawie że wolny chłop. W teorii prawnej istotnie, przywiązany jest wciąż do ziemi, na której się urodził. W praktyce społecznej wszakże, wszystko, do czego jest zobowiązany, to tyle, by jego rodzina uprawiała przydzieloną jej działkę ziemi, i by daniny na rzecz pana nie ustały ze względu na zaprzestanie pracy. Przy spełnieniu powyższych warunków, kmieć może i, istotnie, często postanawia, wstąpić na przykład do stanu duchownego, czy też porzucić stare życie; i stać się praktycznie wolnym człowiekiem wchodząc w system rozwijającej się gospodarki miast. Z każdym następnym pokoleniem, starożytna, niewolnicza koncepcja pracownika coraz bardziej i bardziej zaciera się w pamięci Europejczyków, i tak w sądach, jak i w praktyce społecznej, traktuje się go coraz bardziej i bardziej jako człowieka zobowiązanego co prawda do płacenia różnorakich danin oraz pracy o ustalonych porach w swojej jednostce produkcyjnej, ale poza tym – zupełnie wolnego.

W miarę rozwoju cywilizacji średniowiecza, stałego przyrostu bogactwa oraz postępującego rozkwitu sztuki, wolność owa staje się coraz bardziej widoczna. Pomimo różnych prób – podejmowanych w latach chudszych (lub po okresie zarazy) – powrotu do starych praw, zobowiązujących robotników do pracy przymusowej, zwyczaj zastępowania tych praw zespołem danin pieniężnych staje się zbyt powszechny, by dało się temu przeciwstawić.

Gdybyśmy w wieku, powiedzmy czternastym, bądź na początku piętnastego, odwiedzili jakiegoś francuskiego czy angielskiego magnata w jego posiadłości, powiedziałby nam, wskazując gestem na całość swego wielkiego majątku: „to moja ziemia”. Ale żyjący na niej chłop (bo kmieć naprawdę stał się do tego czasu chłopem) również powiedziałby nam, wskazując ręką na swą małą działkę: „to moja ziemia”. Nie wolno go było z niej usuwać. Daniny, które obowiązany był obyczajem płacić, stanowiły już ledwie bardzo niewielką część tego, co produkował. Nie zawsze mógł swoją ziemię swobodnie sprzedawać, ale własność jej zawsze przechodziła z ojca na syna; i, ogólnie mówiąc, u końca tego długiego, tysiąc lat przeszło trwającego procesu, niewolnik stał się w każdym możliwym sensie, jaki nadaje się temu określeniu w codzienności praktyki społecznej, wolnym człowiekiem. Kupował i sprzedawał. Oszczędzał wedle uznania, inwestował, budował, osuszał ziemię stosownie do własnego sądu, a jeśli ją w jakiś sposób użyźnił, wszystkie profity zostawały w jego kieszeni.

W tym samym czasie, równolegle do tego procesu emancypacji prowadzącego w prostej linii od niewolniczej społeczności wilii rzymskiej, której członkowie stanowili osobistą własność swojego pana, do nowego społeczeństwa ludzi wolnych, zaczęła pojawiać się w wiekach średnich cała armia różnorakich instytucji, z których każda sprzyjała dystrybucji własności i każda przyczyniała się wybitnie do zniszczenia nawet ostatnich skamielin pozostałych po kompletnie zapomnianym już wtedy państwie niewolniczym. Tak też każda gałąź gospodarki, czy to wytwórczość miejska, czy transport, czy rzemiosło, czy handel, zaczyna organizować się na zasadzie cechowej. Cech zaś (czy gildia), było to stowarzyszenie, częściowo mające charakter kooperatywy, ale w głównej mierze zrzeszające prywatnych właścicieli kapitału, o charakterze korporacyjnym i samorządnym, powołane celem ograniczania konkurencji między jego członkami: zapobiegania sytuacji, w której jeden bogaciłby się kosztem drugiego. Przede wszystkim, szczególnie zazdrośnie strzegły cechy zdrowego podziału własności, tak by nie dopuścić do wytworzenia się w ich ramach klasy proletariackiej z jednej, a klasy monopolistycznych kapitalistów z drugiej strony.

Aby wstąpić do gildii, należało przejść przez etap terminowania, podczas którego uczeń zdobywał doświadczenie pracując pod okiem majstra; ale każdy uczeń mógł w swoim czasie samemu zostać majstrem. Istnienie tego typu korporacji jako normalnych jednostek produkcji, podmiotów przedsięwzięć handlowych, czy dostarczycieli środków transportu, samo w sobie stanowi wystarczające świadectwo tego, jaki był ów duch społeczny, który uwłaszczył gospodarza na jego ziemi. I gdy instytucje tego typu zaczęły rozkwitać tuż obok pozbawionych już zupełnie charakteru niewolniczego społeczności wiejskich, włościaństwo, czy też absolutna własność ziemi, forma posiadania inna od dzierżawy u pana która czyniła kmiecia, również stawało się coraz powszechniejsze.

Te trzy formy organizacji pracy – kmieć, pewny swego położenia, obciążony jedynie regularnymi daninami stanowiącymi ledwie niewielką część jego zbiorów; włościanin, człowiek zupełnie wolny, zobowiązany wyłącznie do płacenia danin pieniężnych będących bardziej formą podatku, niż czynszu; i wreszcie cech, w którym zdrowo zdekoncentrowany kapitał pracował na zasadzie kooperacji w dziedzinach produkcji rzemieślniczej, handlu i transportu – te trzy zatem, wspólnymi siłami kształtowały społeczeństwo, oparte na *principium* własności. Wszyscy, czy większość – każda normalna rodzina – powinni być właścicielami. I własność ta, powinna stanowić kamień węgielny wolności państwowej.

Państwo, jak ujmował je umysł ludzki u końca tego procesu, stanowiło aglomerację rodzin różnego poziomu zamożności, ale w przeważającej większości znajdujących się w posiadaniu środków

produkcji. W rzeczonej aglomeracji, funkcję gwarantów stabilności tego *dystrybutywnego* (jak go nazwałem) systemu podziału dóbr pełniły ciała kooperatywne, zrzeszające ludzi pracujących w jednym fachu czy zamieszkujących w jednej wiosce; zabezpieczając drobnego posiadacza przed utratą niezależności ekonomicznej, a jednocześnie chroniąc społeczeństwo przed powstaniem proletariatu. Jeśli zdarzały się ograniczenia swobody kupna i sprzedaży, zaciągania hipoteki i dysponowania spadkiem, celem ich było nieodmiennie zapobiegnięcie powstaniu oligarchii gospodarczej, mogącej wyzyskiwać resztę społeczeństwa. Wszelkie ograniczenia wolności były opracowane dokładnie z zamysłem obrony wolności; i każda akcja zbiorowa społeczeństwa średniowiecznego, od rozkwitu wieków średnich do ich ostatecznej katastrofy, zawsze zorientowana była na budowę takiego państwa, w którym ludzie cieszyliby się prawdziwą niezależnością ekonomiczną dzięki własności ziemi i kapitału.

Choć ostatnie pozostałości po niej dało się jeszcze znaleźć rozsypane tu i tam po różnorakich formułach prawnych, bądź w tym lub innym regionie kontynentu, wyizolowanym i dziwnym, instytucja niewolnictwa właściwie zupełnie zaniknęła; nie trzeba też wcale zaraz podejrzewać, że to, co ją zastąpiło, było w jakikolwiek sposób bliskie kolektywizmowi. Istniała instytucja wspólnej własności ziemi – ale instytucji owej najbardziej zazdrośnie strzegli ci, którzy cieszyli się także prywatną własnością ziemi. Własność wspólna w wiosce stanowiła ledwie jedną z różnych form własności, i traktowano ją raczej jako swego rodzaju koło zamachowe, pozwalające utrzymać właściwy rytm pracy kooperatywnej machiny gospodarczej, niż szczególnie uświęcony typ posiadania. Cechy również miały własność wspólną, ale tylko taką, która była niezbędna dla życia wspólnoty: sale kolegialne, fundusze pomocowe, oszczędności gromadzone na potrzeby jałmużny czy wsparcia dla Kościoła. Co zaś do narzędzi pracy, to stanowiły one własność indywidualną członków cechu, a *nie* cechu jako takiego, z wyjątkiem tych wypadków, w których były one zbyt drogie, by móc zostawić ich używanie bez korporacyjnej kontroli.

Tak właśnie przedstawiała się transformacja, którą przeszły społeczeństwa Europy w wiekach chrześcijańskich. Niewolnictwo przeminęło, a jego miejsce zajął ustrój oparty na własności prywatnej, tak normalnej dla ludzi tamtego czasu, i tak dobrej dla szczęśliwego życia. Nie znaleziono wtedy dla niego żadnej osobnej nazwy. Dzisiaj, gdy przeminął, musimy ukuć własną, niezbyt udaną, i stwierdzić, że wieki średnie instynktownie zrozumiały i powołały do istnienia państwo dystrybucjonistyczne.

To doskonałe zwieńczenie ludzkiego życia wspólnego przeminęło – jak wiemy – i w niektórych prowincjach Europy, a szczególnie w Brytanii, zostało doszczętnie zniszczone.

Społeczeństwo, w którym decydująca większość rodzin dysponowała własnością ziemi i kapitału; w którym produkcję regulowała samorządna korporacja drobnych posiadaczy; któremu nieznane były udręki i niepewność proletariatu, zastąpione zostało przerażającą anarchią moralną, przeciwko której kierują się wszystkie wysiłki obecnego czasu, a którą znamy pod nazwą kapitalizmu.

Jak w ogóle mogła nastąpić podobna katastrofa? Dlaczego na to pozwolono, i jakimi procesami dziejowymi karmiło się to zło? Co takiego przemieniło Anglię wolności gospodarczej w Anglię, którą znamy dzisiaj, gdzie jedna trzecia społeczeństwa żyje w nędzy, gdzie dziewiętnaście dwudziestych nie posiada ani ziemi, ani kapitału, i gdzie cały przemysł i całe życie narodu kontroluje pod względem gospodarczym kilku przypadkowych milionerów, kilku panów antyspołecznych i nieodpowiedzialnych monopoli?

Odpowiedź, jakiej zazwyczaj udziela się na to pytanie w naszym dziejopisarstwie – i zarazem ta, którą najchętniej się przyjmuje – brzmi, że nieszczęście to sprowadził na nas czysto materialny proces zwany rewolucją przemysłową. Wykorzystywanie drogich maszyn, koncentracja przemysłu i środków produkcji, całkowicie zawładnęło – jak to sobie niektórzy wyobrażają – zupełnie na ślepo i wbrew woli człowieka, działaniami angielskiego narodu.

To wyjaśnienie jest zupełnym fałszem. Żadna materialna przyczyna nie mogła spowodować owej straszliwej degradacji, z której biorą się nasze obecne cierpienia.

To świadome, ludzkie działanie, zła wola jednostek i apatia wielu, ściągnęło na nas tę katastrofę, ludzką zarówno co do przyczyn i początków, jak i plugawych skutków.

Kapitalizm nie był owocem postępu przemysłowego, ani żadnych przypadkowych odkryć materialnych. Nieco znajomości historii i nieco bezpośredniości w jej wykładzie wystarczyłoby, aby tego dowieść.

Wzrost systemu przemysłowego stanowił skutek, a nie przyczynę kapitalizmu. Kapitalizm zaczął się w Anglii na długo przed narodzinami industrializmu – zanim zaczęto używać węgla i nowej, niezwykle drogiej maszynerii, i zanim zaczęto koncentrować środki produkcji w kilku wielkich miastach. Gdyby rewolucja przemysłowa nie natrafiła w Anglii na kapitalistyczny grunt, mogłaby ona okazać się dla Anglików równie dobroczynna, jak okazała się katastrofalna. Kapitalizm wszakże – to jest, skupienie płodnych źródeł życia w ręku wąskiej grupy wybranych – zadomowił się tutaj na długo przed

pierwszym z wielkich odkryć epoki industrializmu. Wypaczył on znaczenie owych odkryć i nowych wynalazków, i zmienił dobro w zło. To nie maszyneria odebrała nam wolność tylko zniewolenie umysłu.

Rozdział IV – Jak upadło państwo dystrybucjonistyczne

U końca wieków średnich, społeczeństwa chrześcijaństwa zachodniego, w tym Anglii, były ekonomicznie wolne.

Własność stanowiła instytucję normalną dla normalnego państwa – i dla wielkiej rzeszy jego obywateli. Kooperatywne instytucje, dobrowolna zgoda na regulację pracy, ograniczały zupełną swobodę dysponowania własnością wyłącznie po to, aby chronić jej strukturę, i zapobiec wchłanianiu własności małej przez wielką.

Ten znakomity stan rzeczy, który osiągnęliśmy po długich wiekach chrześcijańskiego rozwoju społecznego, i w którym instytucja niewolnictwa została wreszcie z chrześcijaństwa ostatecznie wyrugowana, nie przetrwał wszędzie. W Anglii, szczególnie, został kompletnie zrujnowany. Pierwsze ziarna kataklizmu zasiano w wieku szesnastym. Pierwsze widoczne owoce zaczęły pojawiać się w siedemnastym. W toku wieku osiemnastego, Anglia oparła się wreszcie na jednolitej, acz bardzo niestabilnej podstawie proletariackiej, to jest, stała się społeczeństwem podzielonym na dwie grupy: niezmiernie bogatych ludzi, dysponujących środkami produkcji z jednej, i przygniatającą większość pozbawioną dostępu do środków produkcji z drugiej strony. W wieku dziewiętnastym, plugawe drzewo osiągnęło dojrzałość i Anglia stała się przed końcem tego okresu krajem czysto kapitalistycznym, typem i modelem kapitalizmu dla całego świata: w którym środki produkcji dzierżyła w swym żelaznym ręku maleńka grupka wybranych, cała zaś konstytutywna masa narodu pozbawiona była ziemi i kapitału – a zatem, w każdym wypadku stabilności życia, w wielu zaś także samych środków do życia. Znaczna większość Anglików, wciąż ciesząc się wolnością polityczną traciła coraz więcej elementów wolności gospodarczej i znajdowała się w sytuacji gorszej, niż jacykolwiek wolni obywatele Europy kiedykolwiek wcześniej.

Jakimi etapami spadała na nas ta przerażająca katastrofa?

Pierwszy element tego procesu stanowiło wypaczenie wielkiej rewolucji ekonomicznej, stanowiącej znak szczególny wieku szesnastego. Ziemia i nagromadzone bogactwa zakonów zostały wydarte z rąk ich dotychczasowych posiadaczy, przy czym pierwotna intencja była taka, by przekazać je w ręce korony – faktycznie jednak, nie przeszły one w ręce korony, ale już wtedy bardzo zamożnej, małej części społeczeństwa, która – gdy zmiana ta się dokonała – stała się w ciągu następnych stu lat najważniejszą siłą polityczną w Anglii i jej rzeczywistym rządem.

Oto, co się wydarzyło: Anglia wczesnego wieku szesnastego, Anglia z jej silną koroną, odziedziczoną przez Henryka VIII w latach młodości, choć istotnie stanowiła kraj, w którym masa społeczna posiadała na własność ziemię, którą orała, czy narzędzia przy pomocy których wykonywała swoją pracę, niemniej również i kraj, w którym dobra owe, choć szeroko rozdystrybuowane, rozdystrybuowane były nierówno.

Wtedy, podobnie jak dzisiaj, podstawę wszelkiego bogactwa stanowił grunt i wzniesione na nim nieruchomości, niemniej między wartością gruntu i nieruchomości a innych środków produkcji (narzędzi, zapasów żywności i odzieży itp.) zachodziła zupełnie inna niż obecnie proporcja. Ziemia i wzniesione na niej nieruchomości stanowiły znacznie większą część całości środków produkcji niż w dzisiejszych czasach. Dzisiaj to ledwie nie cała połowa środków produkcji, jakimi dysponujemy w tym kraju; i choć są one zawsze niezbywalnym fundamentem wszystkich innych form wytwarzania bogactw, niemniej łączna wartość naszych wielkich maszyn, naszych zapasów żywności i odzieży, naszego węgla i naszej ropy, naszych okrętów i całej reszty jest większa, niż wartość gruntu i innych nieruchomości: niż wartość naszych pól ornych i pastwisk, oraz wartość konstrukcyjna naszych domów, nadbrzeży, doków i tak dalej. Na początku wieku szesnastego, grunt i wzniesione na nim nieruchomości miały, przeciwnie, wartość znacznie większą, niż wszystkie inne formy bogactwa razem wzięte.

Otóż, znaczną część tego rodzaju bogactwa – większą, niż w jakimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej – już pod koniec średniowiecza skupiała w swym ręku zamożna klasa posiadaczy ziemskich.

Nie da się, rzecz jasna, dostarczyć precyzyjnych statystyk, i jedyne co możemy zrobić to uciec się do pewnych uogólnień, opartych na mieszaninie badań i domysłów. Niemniej, ze sporą dozą prawdopodobieństwa możemy stwierdzić, że z całości gruntu i wzniesionych na nim nieruchomości, nieco więcej niż ćwierć – choć mniej niż jedna trzecia – pozostawało w rękach tej zamożnej klasy.

Anglia tamtego czasu była krajem w znacznej większości rolniczym, zamieszkanym przez więcej niż cztery – choć mniej niż sześć – milionów Anglików, i w każdej spośród jej licznych społeczności rolniczych dało się znaleźć przynajmniej jednego lorda, jak nazywano tych ludzi w administracji państwowej (w codziennych rozmowach używano określenia „pan"), który miał w posiadaniu domeny większe, niż w jakimkolwiek innym kraju. Zazwyczaj wyglądało to tak jak powiadam, że dysponował on w ten właśnie absolutny sposób trochę więcej niż ćwiercią, może jedną

trzecią gruntów danej wioski: w miastach dystrybucja była bardziej wyrównana. Czasami chodziło o osobę prywatną, czasem o korporację, ale niezależnie od tego w każdej, ale to każdej wiosce głowa jej dysponowała taką właśnie mniej więcej domeną, stanowiącą znaczną część jej areału rolnego. Z reszty, choć rozdystrybuowanej pomiędzy tę część populacji, która miała w życiu mniej szczęścia, i obejmującej także domy i narzędzia, których żaden właściciel nie mógł być pozbawiony, należało płacić lordom pewne daniny – i, co więcej, to lordowie faktycznie stanowili w tym układzie wymiar sprawiedliwości. Przedstawiciele tej niezmiernie bogatej klasy ziemiańskiej przez sto lat pełnili także rolę sędziów, na których opierała się lokalna administracja.

Nie było żadnego powodu, dla którego ten stan rzeczy nie miałby doprowadzić do stopniowego wzrostu chłopstwa i upadku arystokracji. To właśnie stało się we Francji – i na pewno mogło stać się i tutaj. Chłopstwo skore do zakupu mogło było pomalutku poszerzać stan swego posiadania kosztem arystokratycznych domen, i do systemu dystrybucji własności, już wtedy całkiem przyzwoitego, dodany mógł zostać jeden niezwykle ważny element, mianowicie: większa równość w posiadaniu ziemi. Ale cokolwiek zaczęło się w tym kraju z procesu wykupywania wielkich majątków przez drobnych gospodarzy, który wydaje się przecież dla wrodzonego usposobienia Europejczyków czymś tak naturalnym, i który dokonał się przecież od tamtego czasu we wszystkich krajach wolnych do działania w zgodzie z instynktem ludu, to przerwane zostało przez sztuczną rewolucję o zawrotnym stopniu brutalności. Rewolucja ta zasadzała się na przejęciu majątków klasztornych przez koronę.

Ważne, by uchwycić jaśniej naturę tej operacji, ponieważ to ona właśnie zaważyć miała na całej gospodarczej przyszłości Anglii.

Spośród owych danin, a także kontroli nad administracją lokalną, jaka z nich wypływała (rzecz wielkiej wagi, jak się później okaże), nieco więcej niż ćwierć pozostawała w rękach kościoła; kościół był zatem „lordem" nad trochę nieco ponad 25, powiedzmy: 28, albo nawet 30 procentami angielskich osiedli rolniczych – i nadzorcą nad taką samą częścią angielskiej produkcji rolnej. Dalej, kościół dysponował absolutną własnością około 30 procent powierzchni domen wiejskich – a zatem miał prawo do około 30 procent tradycyjnych danin itp., które właściciele mniejsi zobowiązany byli płacić większym. Do 1535 roku cała ta ekonomiczna potęga spoczywała w rękach kapituł katedralnych, stowarzyszeń zakonnych męskich i żeńskich, ośrodków kształcenia prowadzonych przez księży i tak dalej.

Konfiskata ziem zakonnych nie zdławiła tego wielkiego wypływu gospodarczego w całości. Bogactwo duchowieństwa diecezjalnego pozostało nietknięte, większość zaś z ośrodków edukacyjnych, choć splądrowana, zachowała część źródeł dochodu; ale choć nie skonfiskowano całych 30 procent, to jednak nieco ponad 20 – i rewolucja wywołana przez tę wielką operację była jak dotąd najzupełniejsza, najbardziej błyskawiczna i najdonioślejsza spośród wszystkich, jakie tylko dokonały się w historii gospodarczej jakiegokolwiek europejskiego ludu.

Pierwotną *intencją* było tutaj odzyskanie tej wielkiej masy środków produkcji dla korony: i musi o tym pamiętać każdy badacz angielskiej historii, i każdy, kto nie potrafi zrozumieć różnicy między Anglią starą a nową.

Gdyby intencję ową udało się utrzymać, państwo angielskie i jego rząd stałyby się najpotężniejsze w całej Europie.

Egzekutywa Anglii (w tamtych dniach po prostu król) miałaby większe możliwości zmiażdżenia oporu bogatych, oparcia swej siły politycznej na sile ekonomicznej, oraz realnego kierowania losami poddanych, niż jakakolwiek inna egzekutywa chrześcijaństwa.

Gdyby Henryk VIII i jego następcy utrzymali w swoich rękach skonfiskowaną ziemię, potęga monarchii francuskiej – do dziś dla nas zadziwiająca – byłaby niczym w porównaniu z potęgą monarchii angielskiej.

Król angielski miałby w ręku instrumenty kontroli możliwie najbardziej absolutnego rodzaju. Prawdopodobnie wykorzystałby je, jak to silna władza centralna zawsze zresztą czyni, do osłabienia klas bogatszych i pośredniego wzmocnienia pozycji mas ludowych. Niezależnie od tego wszakże, na pewno Anglia wyglądałaby w takim wypadku zupełnie inaczej, niż ta, którą znamy obecnie, gdyby tylko król powalczył po kasacie zakonów o swoje.

W tym właśnie momencie dochodzimy do kluczowego punktu tej wielkiej rewolucji. *Król nie zdołał utrzymać w swoim ręku ziemi, którą skonfiskował.* Klasa wielkich posiadaczy ziemskich, już wtedy istniejąca i kontrolująca coś między ćwiercią a jedną trzecią własności rolnej w Anglii, okazała się dla monarchii zbyt silna. Przedstawiciele jej dokonywali wszelkich starań, by cała ta ziemia przypadła na własność im i tylko im – czasem za darmo, czasem za absurdalnie niskie sumy; i mieli dość siły w parlamencie, i wystarczająco dobrze potrafili korzystać z władzy administracyjnej, którą dzierżyli, aby

upewnić się, że ich roszczeniom stanie się zadość. Nic, co korona wypuściła wtedy z rąk nigdy już do niej nie wróciło, i rok za rokiem coraz więcej z tego, co niegdyś stanowiło majątek klasztorny, przechodziło w absolutne posiadanie wielkich ziemian.

Przyjrzyjmy się skutkom tego wszystkiego. W każdym zakątku Anglii ludzie, którzy już dysponowali przecież właściwie absolutną własnością między ćwiercią a jedną trzecią gruntu, pługów i gumien każdej wsi, w kilka lat weszli w posiadanie kolejnej znaczącej części środków produkcji kraju, przez co szala definitywnie przechyliła się na ich korzyść. Do tej jednej trzeciej, dodali nową jedną piątą. W jedno okamgnienie, stali się posiadaczami *połowy* angielskiej ziemi! W wielu punktach kluczowych – *więcej* niż połowy. W wielu regionach, nie tylko że stali niekwestionowanie wyżej, niż reszta społeczności, ale jeszcze pełnili rolę jej gospodarczych panów. Działali ściśle na zasadzie *konkurencji* i wyciskali ze swych czynszowników ile się dało, do ostatniego szylinga – podczas gdy starzy „lordowie" kościelni trzymali się *obyczaju*, i pozwalali im całkiem sporo zatrzymać. Zaczęli zapełniać uniwersytety i gmachy sądowe. Korona przestawała pełnić funkcję rozjemcy między wielkim i małym. Wielcy mieli coraz więcej możliwości, by wszystkie spory rozstrzygać na swoją korzyść. Dzięki tego typu operacjom w krótkim czasie przejęli znaczą większość środków produkcji, po czym natychmiast rozpoczęli proces pożerania małych, niezależnych gospodarstw i formowania owych gigantycznych majątków, które w krótkim czasie zajęły miejsce wsi. Każdy widzi przecież, że wszystkie posiadłości ziemiańskie Anglii wybudowano albo w trakcie trwania tej rewolucji, albo po niej. Stary dworek, domostwo znaczącej osobistości – takie, jakim znano je w średniowieczu – przetrwało jeszcze tu i tam, świadcząc dobitnie o kolosalnych skutkach, jakie ta rewolucja przyniosła. Niski, drewniany dom z polem i budynkami gospodarczymi, ledwie większe gospodarstwo pośród wielu gospodarstw, po reformacji (i już na zawsze) staje się pałacem. Z wyjątkiem tej jej części, która mieszkała w zamkach (których się nie posiadało, a tylko dzierżawiło od korony), szlachta prereformacyjna żyła jak bogatsi sąsiedzi, ale nie panowie zamieszkujących wokół gospodarzy. *Po* reformacji natomiast, wszędzie w Anglii zaczęły pojawiać się owe ogromne „rezydencje wiejskie", które w krótkim czasie zaczęły pełnić funkcję centrów życia społeczności rolniczych.

Gdy Henryk umierał, proces ów szedł pełną parą. Niestety dla Anglii, król ten zostawił po sobie bardzo chorowitego potomka, podczas sześciu lat panowania którego – od 1547 do 1553 – społeczna grabież osiągnęła odrażające rozmiary. Pojawiła się masa nowych rodzin, bogatych nieproporcjonalnie do niczego, na co kiedykolwiek spoglądały oczy starej Anglii, i związanych wspólnotą interesów ze starszymi rodami, które też chciały ucapić nieco z puli. Żaden z zasiadających w parlamencie posłów – niezależnie od tego jaki region reprezentował – nie chciał głosować za kastą

zakonów za darmo; i żaden nie głosował za darmo. Lista członków „parlamentu kasacyjnego" wystarczy, by tego dowieść, i, prócz wpływów parlamentarnych, klasa owa dysponowała jeszcze setkami innych środków realizacji swych zamiarów. Howardowie (już wtedy ród o sporej tradycji), Cavendishowie, Cecilowie, Russelowie i z pięćdziesiąt innych rodów wznieśli swoją potęgę na ruinach religii; i proces ten toczył się nieubłaganie ta długo, aż – około sto lat po jego rozpoczęciu – oblicze Anglii kompletnie się odmieniło.

W miejsce potężnej korony i o dochodach znacznie przekraczających możliwości jakiegokolwiek ze swoich poddanych, pojawiła się korona potrzebująca stawać na głowie, byle tylko zdobyć pieniądze, i zdominowana przez poddanych, z których część dorównywała jej bogactwem i którzy, szczególnie dzięki wpływom w parlamencie (zupełnie już przez nich kontrolowanym), mogli robić z rządem niemal co tylko chcieli.

Innymi słowy, nim upłynęła jedna trzecia wieku siedemnastego, w latach 1630-40, rewolucja gospodarcza osiągnęła swój cel i wiekowym angielskim tradycjom przyszło mierzyć się z nowym zagrożeniem, z nowymi realiami ekonomicznymi, z których najważniejsze stanowiła potężna oligarchia ziemiańska, górująca nad zubożałą i skarlałą koroną.

Na ten pożałowania godny stan rzeczy złożyły się jeszcze różne inne przyczyny. Zmiana wartości waluty, którą korona odczuła szczególnie dotkliwie*; historia własna rodu Tudorów, ich brutalność i namiętność, brak zdecydowania i ciągłości polityki, w pewnym stopniu także osobiste usposobienie Karola I – i jeszcze wiele, wiele innych dodatkowych czynników. Lecz najpoważniejszym, zasadniczym faktem, z którego cała rzecz się wzięła, było właśnie to, że ziemie zakonne, co najmniej jedna piąta bogactwa kraju, przeszły w ręce wielkich posiadaczy – i transfer ów przechylił szalę społeczną całkowicie na ich korzyść i całkowicie na niekorzyść chłopstwa.

Skarlała i zubożała korona nie mogła już dłużej stawiać oporu. Starła się z nowym bogactwem w długich wojnach domowych; poniosła druzgocącą klęskę; i gdy w roku 1660 udaje się wreszcie zawrzeć trwały pokój, cała realna władza spoczywa w rękach wąskiej klasy zamożnych i wpływowych ludzi, król zaś – choć wciąż otoczony mrowiem tradycyjnych form i rytuałów, związanych z jego dawną

* Siła nabywcza pieniądza spadła w ciągu tego wieku do około jednej trzeciej pierwotnego standardu. Artykuły pierwszej potrzeby za Karola I kosztujące (powiedzmy) trzy funty, za Henryka VIII kosztowałyby jednego funta. Prawie wszystkie *przychody* korony determinował obyczaj. Większość jej *wydatków* – konkurencyjny rynek. Wpływy jej zatem, wciąż wynosiły funta – gdy wydatki coraz wyraźniej ciążyły w kierunku trzech.

pozycją – w praktyce staje się regularnie opłacaną marionetką. I w prawdziwym świecie życia społecznego, który zawsze kryje się za fasadą politycznych pozorów, zasadę stanowiło dokładnie to, że kilka wielkich rodów stało się właścicielami większości angielskich środków produkcji, jednocześnie dzierżąc pełnię władzy administracyjnej, pełniąc funkcje sędziów i generałów, mając pełną kontrolę nad edukacją wyższą. Cokolwiek zostało w tym kraju z rządu centralnego, nie mogło się z nimi równać.

Przyjmijmy za datę wyjściową tego, co nastąpiło potem, rok 1700. Do tego czasu, ponad połowa narodu angielskiego pozbawiona została własności ziemi i kapitału. Nawet jeden Anglik na dwóch – a wliczamy w to także posiadaczy bardzo, bardzo drobnych – nie mógł cieszyć się bezpieczną własnością domu, w którym mieszkał, czy pewnością, że nikt nie wyrzuci go z ziemi, którą orał.

Takie proporcje wydaję się nam dziś prawdziwym rajem wolności, i na pewno, gdyby połowa populacji dysponowała środkami produkcji, bylibyśmy w zupełnie innej sytuacji, niż jesteśmy. Tym wszakże, co należy dobrze rozumieć jest fakt, że choć całe nasze zło w roku 1700 lub okolicach dalekie było od pełnego urzeczywistnienia, niemniej – do mniej więcej tamtego czasu Anglia stała się kapitalistyczna. Pozwoliła już znacznej części swego społeczeństwa popaść w proletaryzm i to właśnie, a *nie* tak zwana rewolucja przemysłowa, rzecz sporo późniejsza, winne jest straszliwej sytuacji społecznej w jakiej się obecnie znajdujemy.

Jak bardzo jest to prawdziwe niechybnie dowiedzie to, co mam jeszcze do powiedzenia w niniejszym rozdziale.

Taka to Anglia zatem, już wtedy dotknięta przekleństwem licznej klasy sproletaryzowanych, już wtedy zdominowana całkowicie przez klasę kapitalistów władających środkami produkcji, stała się areną niespotykanego dotąd rozwoju przemysłowego.

Gdyby rozwój ów przytrafił się ludowi ekonomicznie wolnemu, przybrałby formę kooperatywną. Niemniej, skoro przytrafił się ludowi, który zdążył już swoją ekonomiczną wolność utracić, u samego zarania przybrał formę kapitalistyczną – i w takiej formie podtrzymywano go, dynamizowano i udoskonalano przez przeszło dwieście lat.

To w Anglii narodził się system industrialny. To w Anglii uformowały się wszystkie jego obyczaje i tradycje; i dokładnie dlatego, że Anglia, w której się narodził, była krajem kapitalistycznym, wszędzie, gdzie z niej przywędrował i zapuścił korzenie, rozwijał się według kapitalistycznego modelu.

Pierwszy w pełni funkcjonalny silnik parowy – silnik Newcomena[4] – puszczono w ruch w roku 1705. Życie jednego pokolenia musiało upłynąć, zanim wynalazek ów, dzięki zastosowaniu przez Watta[5] skraplacza, stał się owym wielkim narzędziem produkcji, które odmieniło oblicze naszego przemysłu – ale to właśnie gdzieś na przestrzeni tych sześćdziesięciu lat należy szukać źródeł systemu industrialnego. Tuż zanim Watt opatentował swoje odkrycie, pojawiła się „przędąca Joaśka" Hargreavesa[6]. Trzydzieści lat później, Abraham Darby[7] z Calebrook Dale, wieńcząc długą serię eksperymentów, ciągnącą się przez ponad wiek, po raz pierwszy wytopił rudę żelaza paląc koksem. Mniej niż dwadzieścia lat później, król zezwolił na używanie w tkactwie czółenka szybkobieżnego[8], pierwszego wynalazku znacznie doskonalącego krosno ręczne; i ogólnie mówiąc, czas życia takiego na przykład dra Johnsona[9], który urodził się tuż po tym, jak po raz pierwszy udało się uruchomić silnik Newcomena, zmarł zaś siedemdziesiąt lat później, gdy system przemysłowy rozwijał się pełną parą, pokrywa się dokładnie z okresem owej wielkiej angielskiej transformacji. Ktoś, kto pamiętał jeszcze – z lat dziecinnych – ostatnie momenty panowania królowej Anny[10], i kto dożył przedednia Rewolucji Francuskiej, na własne oczy mógł oglądać ową wielką zmianę, która odmieniła oblicze angielskiego społeczeństwa i doprowadziła do jego rozrostu i nieszczęść, które widzimy dzisiaj.

Co stanowiło cechę szczególną tego półwieku – i wszystkich lat późniejszych? Dlaczego nowe wynalazki wydały z siebie tę formę społeczną, którą znamy obecnie i nienawidzimy pod nazwą industrializmu? Dlaczego ten potężny wzrost mocy produkcyjnej, populacji i bogactwa zamienia masy

4 Tomasz Newcomen (1663-1729) – angielski kowal i wynalazca, nazywany „ojcem rewolucji przemysłowej".

5 Jakub Watt (1736-1819) – szkocki inżynier, wynalazca, człowiek o nieocenionych zasługach dla rozwoju technologii parowej.

6 Mechaniczna przędzarka, skonstruowana w 1765 roku przez Jakuba Hargreavesa (1720-78), człowieka o niezwykłej biografii, prostego tkacza o bystrym umyśle, ale niestety pozbawionym „sprytu" (nie „umiał sobie radzić", bidaczek), ze względu na co swojego wynalazku nie opatentował i inni, „sprytniejsi", zgarnęli co jego. Zmarł w ubóstwie.

7 Abraham Darby (1678-1717) – angielski wynalazca, metalurg, kwakier, syn chłopa.

8 Ang. *flying shuttle*. Wynalazek Jana Kaya (1704-79), syna chłopskiego i tkacza. „Król" bierze się stąd, że istotnie, społeczność tkacka w Anglii słała do króla petycje o zakazanie używania w produkcji jego wynalazku, które to król jednak zdecydował się odrzucić. Swoją drogą, fakt, że wszyscy ci wynalazcy pochodzili „z ludu" zdaje się potwierdzać tezę Belloca, że przy lepszym ustroju społecznym rewolucja przemysłowa mogła stać się prawdziwym błogosławieństwem, w różnych sensach tego słowa.

9 Samuel Johnson (1709-84) – angielski pisarz, i leksykograf, eseista, autor słynnego słownika języka angielskiego. Jedna z największych postaci literatury angielskiej. Potocznie nazywany właśnie „doktorem Johnsonem".

10 Królowa Anna I Stuart (1665-1714) – córka Jakuba II, pierwsza monarchini Wielkiej Brytanii, która objęła rządy po detronizacji ojca w toku tzw. „chwalebnej rewolucji". Żona Wilhelma Orańskiego.

Anglików w skazany na nędzę proletariat, separuje zamożnych od reszty narodu, i doprowadza do rozkwitu całe to zło, które nieodłącznie kojarzy nam się dziś z państwem kapitalistycznym?

Na to pytanie udziela się zazwyczaj tylko jednej, i skrajnie nieinteligentnej odpowiedzi. Odpowiedź ta jest nie tylko nieinteligentna, ale jeszcze fałszywa – i będę starał się tutaj z całych sił ukazać, o jak skrajnym fałszu mówimy. Otóż odpowiedź owa, obecna w niezliczonej ilości podręczników, i traktowana na uniwersytetach niemal jak zupełna oczywistość, brzmi, że nowe metody produkcyjne – nowe maszyny, nowe narzędzia – same z siebie, mocą jakiegoś fatum, wydały na świat państwo kapitalistyczne, w którym środki produkcji należą do garstki wybrańców, masy zaś skazane są na proletaryzm. Nowe wynalazki, wykazuje się, były nieporównanie większe, niż stare, nieporównanie droższe, w związku z czym szary człowiek zwyczajnie nie miał szans na nie zarobić; natomiast człowiek zamożny, który mógł na nie zarobić, pożerał na wolnym rynku, i przerabiał drobnego właściciela w uzależnionego od comiesięcznej płacy najmitę, swojego nie dość utalentowanego konkurenta, beznadziejnie próbującego dawać mu odpór przy pomocy starszych i tańszych narzędzi pracy. Prócz tego (jak się nam mówi), szalę zwycięstwa na stronę wielkich posiadaczy przechyliły jeszcze dodatkowo korzyści płynące z koncentracji. Nowe wynalazki nie tylko że były niemalże równie drogie, co wydajne, ale co więcej – ich wydajność osiągała najwyższy poziom, szczególnie po wprowadzeniu energii parowej, jeśli skupiło się je w kilku konkretnych miejscach i dało pod kontrolę nielicznych nadzorców. Mocą tego typu kompletnie błędnych argumentów nauczono nas wszystkich, jakoby koszmar systemu przemysłowego stanowił ledwie naturalny i konieczny owoc ściśle materialnych i bezosobowych sił, i że gdziekolwiek, gdzie pojawiał się tylko silnik parowy, krosno mechaniczne czy wielki piec[11], tam niby za ślepym wyrokiem niebios natychmiast pojawiały się małe grupki posiadaczy wyzyskujące rzesze pozbawionych własności biedaków.

Zadziwiające, że równie ahistoryczne twierdzenie mogło uzyskać równie szeroką aprobatę. Istotnie, gdyby dzisiejsze szkoły i uniwersytety przekazywały uczniom zasadnicze prawdy angielskich dziejów, gdyby ludzie wykształceni posiadali pewną znajomość najistotniejszych faktów przeszłości swojego narodu, nikt nie zwróciłby nawet uwagi na podobne głupstwa. Szybki rozrost proletariatu, koncentracja środków produkcji w rękach kilku posiadaczy i wyzysk, jakiego posiadacze owi dopuszczali się na reszcie społeczeństwa, nie miały żadnego fatalnego czy koniecznego związku z odkryciem nowych i ciągle udoskonalanych metod produkcyjnych. Bowiem całe to zło wynikało w prostej linii historycznej – w sposób jawny i dający się zbadać – z faktu, że Anglia, matecznik systemu

11 Terminologia hutnicza.

industrialnego, została przechwycona przez bogatą oligarchię *zanim* zaczęła się w niej seria wielkich odkryć technicznych.

Zastanówmy się: w jaki sposób system przemysłowy przybrał formę kapitalistyczną? Dlaczego kilku zamożnych z taką łatwością zaczęło stosować nowe metody produkcji? Dlaczego nie widzieli żadnego problemu w tym, że nowe bogactwo wytwarzali pracując przy maszynach odarci z wszelkiej własności proletariusze? Po prostu dlatego, że Anglia, w której pojawiły się nowe wynalazki techniczne, *wcześniej* już dostała się co do swej ziemi i zasobów w posiadanie nielicznej mniejszości: *wcześniej* skazała połowę swej populacji na proletaryzm, czyniąc z tych ludzi doskonały cel potencjalnego wyzysku, czekający tylko na tego, kto pierwszy wykorzysta okazję.

Każdą nowa gałąź przemysłu, jaka się wtedy pojawiła, trzeba było z początku kapitalizować; to znaczy: trzeba było znaleźć to lub inne źródło nagromadzonego uprzednio bogactwa, które mogłoby podtrzymywać proces produkcji do jego zakończenia. Zawsze musi się znaleźć ktoś, kto dostarczy zboże, mięso i dach nad głową celem zabezpieczenia bytu – w okresie między pozyskaniem surowca a początkiem konsumpcji wytworzonych produktów – tych, którzy przetwarzają dany surowiec i wytwarzają z niego ukończony wyrób. Gdyby zatem własność była w Anglii dobrze rozdystrybuowana, chroniona przez cechy działające na zasadzie kooperacji, obwarowana i podparta obyczajem i autonomią wielkich korporacji rzemieślniczych, owe zasoby bogactwa konieczne dla wdrożenia nowych metod produkcyjnych i wszystkich ich ewentualnych udoskonaleń znalazłyby się w kiesach całego mrowia drobnych posiadaczy. *Ich* korporacje, *ich* niewielkie majątki stałyby się, dzięki wspólnemu działaniu źródłem kapitalizacji tak potrzebnym dla rozpoczęcia nowych procesów produkcji, i tak też społeczeństwo angielskie – społeczeństwo posiadaczy – w miarę pojawiania się coraz to nowych odkryć szybko zwiększałoby swój dobrobyt bez zaburzenia równowagi dystrybucji. Nie istnieje, tak w perspektywie logiki jak doświadczenia, żaden konieczny związek, który łączyłby procedurę kapitalizacji procesu produkcyjnego z ideą, że właściciele powinni stanowić wąską i ekskluzywną klasę, zaś masa nieposiadających pracować u nich za wynagrodzenie. Osiemnastowieczne wynalazki, gdyby pojawiły się w społeczeństwie zorganizowanym na zasadach wieku trzynastego, stałyby się dla ludzkości źródłem bogactwa i prawdziwym błogosławieństwem. Niemniej, ponieważ pojawiły się w warunkach zarazy moralnej wieku dziewiętnastego, okazały się przeklęte.

Do kogo mogły zwrócić się nowe zakłady przemysłowe z prośbą o kapitalizację? Drobny właściciel właściwie kompletnie wyginął. Życie korporacyjne i wzajemna odpowiedzialność, które chroniły jego istnienie i zapewniały mu pewność posiadania, zostały starte w proch – nie przez żaden

„postęp ekonomiczny”, ale świadome działanie zamożnych. Był ignorantem, ponieważ odebrano mu szkoły i zamknięto przed nim uniwersytety. I, tym bardziej że życie wspólne, niegdysiejsze źródło jego zmysłu społecznego oraz ustrój kooperatywny, jego niegdysiejsza obrona, zniknęły. Gdy zatem szukało się wtedy zasobów zboża, odzieży, mieszkań, paliwa – absolutnie koniecznego warunku rozwoju nowej gałęzi przemysłu; gdy szukało się kogoś dysponującego zasobem bogactwa potrzebnym do przeprowadzenia tych wszystkich szeroko zakrojonych eksperymentów, trzeba było zwrócić się o pomoc do klasy, która zmonopolizowała już większość angielskich środków produkcji. Tylko bogaci mogli dostarczyć tutaj odpowiednich środków.

Ale i to nie wszystko. Gdy fundusze się już znalazły i przedsięwzięcie zostało „kapitalizowane”, formą energii ludzkiej, którą najlepiej dało się w tym wypadku wykorzystać, zdecydowanie podatną na wyzysk, słabą, ciemną i zdesperowaną, gotową pracować na niemal każdych warunkach i cieszyć się niezmiernie, jeśli tylko starczałoby jej na przeżycie, stanowił właśnie istniejący już proletariat, stworzony przez nową plutokrację gdy ta przechwyciwszy spekulacyjnie po reformacji większość krajowego bogactwa, pozbawiła masę Anglików własności narzędzi pracy, domów, i ziemi.

Klasa zamożna, gdy zawłaszczała jakiś nowy proces produkcyjny dla własnych zysków, natychmiast zaczynała dostosowywać go do wymogów niczym nieskrępowanej konkurencji, którą wydała z siebie ich niczym nieskrępowana chciwość. Tradycja współpracy gospodarczej była kompletnie martwa. Gdzie zatem mógł znaleźć przemysł najtańszą siłę roboczą? W oczywisty sposób wśród proletariatu – a nie wśród niedobitków drobnych posiadaczy. Jaka klasa powiększyłaby się w związku z nowym wzrostem bogactwa? Oczywiście, znów: proletariat – bez odpowiedzialności za nic, bez niczego, co mógłby zostawić swoim dzieciom; i w miarę, jak dzięki pracy tych ludzi kieszenie kapitalisty coraz to bardziej pęczniały od pieniędzy, miał on coraz większe możliwości wykupywania drobnych posiadaczy, od których pęczniała potem coraz to bardziej masa proletariacka.

Z tego to właśnie względu rewolucja przemysłowa, jak się ją nazywa, u samego zarania przyjęła formę czyniącą z niej dla nieszczęsnego społeczeństwa w którym rozkwitła, niemalże totalną katastrofę. Bogaci, wcześniej już dysponujący całością zasobów koniecznych do przeprowadzenia tej gospodarczej zmiany, przechwycili także wszystkie zasoby nowych narzędzi pracy, jakie wytworzyła, wespół ze stale rosnącymi zasobami środków do życia. System fabryczny, budując na fundamencie podziału społeczeństwa na kapitalistów i proletariuszy, rozwinął się w sposób logicznie wynikający z warunków początkowych. Z każdym nowym wynalazkiem kapitalista ruszał na poszukiwanie kolejnych porcji proletariackiego mlewa dla potężniejących młynów produkcji. Każdy element życia

tego społeczeństwa, forma ustalania praw rządzących bogactwem i zyskiem, wzajemne zobowiązania partnerów w interesach, relacje „panów" z „ludźmi"[12], w bezpośredni sposób torowały drogę dla nieskończonego potencjalnie rozwoju poddańczej i amorficznej klasy najmitów, kontrolowanej przez wąską klasę posiadaczy, która z konieczności stawałaby się coraz węższa i coraz bogatsza, a także zdobywała coraz większą i większą władzę, w toku rozwoju tych fatalnych wypadków.

Oligarchia ekonomiczna zaczęła pojawiać się wszędzie, nie tylko w przemyśle. Wielcy właściciele ziemscy rozmyślnie, celowo i dla swoich własnych korzyści zniszczyli wspólne prawa do wspólnej ziemi[13]. Nieliczna plutokracja, z którą byli w ścisłym sojuszu, i z której merkantylnymi elementami od tamtej pory nierozerwalnie się spletli, przeprowadziła wszystko po ich myśli. Silny rząd centralny, który powinien był bronić społeczeństwa przed pazernością kliki, skończył się pokolenia wcześniej. Tryumfujący kapitalizm miał pełną kontrolę nad całością maszynerii legislacyjnej, a także informacyjnej. Wciąż ją zresztą ma; i nie istnieje jeden przykład tak zwanej reformy społecznej, który nie sprzyjałby ewidentnie (choć często ledwie podświadomie) dalszemu umocnieniu i ugruntowaniu społeczeństwa industrialnego, w którym przyjmuje się za pewnik, że tylko nieliczni będą mieć, ogromna większość zaś będzie u nich pracować za wynagrodzenie, i że jedyne, na co liczyć mogą rzesze współczesnych Anglików to tyle, że z czasem przyniesie im jakąś poprawę losu ustawodawstwo i odgórna kontrola – ale nie własność; ale nie wolność.

Wszyscy czujemy wyraźnie – ci zaś spośród nas, którzy przeanalizowali tę kwestię dokładniej, nie tylko czują, ale i wiedzą – że społeczeństwo kapitalistyczne, które w ten właśnie sposób rozwinęło się stopniowo z pierwszej fazy, jaką stanowiło przechwycenie własności gruntowej czterysta lat temu, dobiega kresu. Czymś niemal oczywistym wydaje się, że nie może już dłużej funkcjonować w formie, której doświadczyły do dzisiaj trzy pokolenia Anglików – i czymś równie oczywistym, że na niemożliwą do zniesienia i wciąż zwiększającą się niestabilność, jaką zatruło ono nasze życie, trzeba coś poradzić. Zanim jednak będziemy mogli przyjrzeć się propozycjom rozwiązań wysuwanym przez różnorakie

---

12 Ang. *„master and man"*. Jest to dosyć typowe wyrażenie angielskie, niestety do końca nieprzekładalne („man" ma tu zupełnie inne konotacje, niż „człowiek"), niemniej warte bólu dosłowności, bo doskonale oddające realia epoki.

13 Lawirując i pocąc się niesmacznie staram się jak ta książka długa i szeroka oddać coś, co w angielskim znajduje wyraz w pięknym słowie *„commons"*; chodzi o swego rodzaju „grunta wspólne", faktycznie pozostające w ręku ziemianina, ale mocą prawa zwyczajowego pozostawiane do użytku najbiedniejszym ze wsi. „Grodzenie" tych-że, zapoczątkowane (na większą skalę) w wieku XVI, a największy dynamizm osiągające w XVII, XVIII i XIX, stało się przyczyną gigantycznego kryzysu społecznego w Anglii oraz Irlandii.

szkoły myśli politycznej, pokażę w następnym rozdziale jak i dlaczego angielski system przemysłowy* wykazuje taką właśnie nieznośną niestabilność, w związku z czym okazuje się także poważnym problemem, który musimy rozwiązać pod groźbą śmierci społecznej.

* Należy zauważyć, że industrializm rozprzestrzenił się także w wielu innych częściach Anglii. Wszędzie odznacza się dokładnie tym zespołem cech, jakie odcisnęły na nim pierwotne warunki społeczne, w których rozwinął się w tym kraju.

Rozdział V – Państwo kapitalistyczne staje się niestabilne proporcjonalnie do stopnia rozwoju

Zakończywszy dygresję historyczną, wprowadzoną w dwóch poprzednich rozdziałach celem lepszego zobrazowania sensu mojej myśli, wracam do ogólnego omówienia tezy niniejszej książki i procedury logicznej, dzięki której można udowodnić jej prawdziwość.

Państwo kapitalistyczne jest po prostu niestabilnym, a ściślej mówiąc przejściowym stadium rozwoju pomiędzy dwoma stabilnymi i trwałymi modelami społeczeństwa.

Aby to dobrze zrozumieć, musimy przypomnieć sobie, jak definiujemy państwo kapitalistyczne:

„Społeczeństwo, w którym własność prywatna ziemi i kapitału, to znaczy: posiadanie środków produkcji, zarezerwowana jest dla określonej grupy wolnych obywateli, nie dość dużej, by wywierała decydujący wpływ na kształt masy społecznej państwa, a reszta społeczeństwa pozbawiona jest takiej własności, stanowiąc zatem warstwę proletariacką, określamy mianem kapitalistycznego".

Zauważmy kilka ważnych elementów tego stanu rzeczy. Otóż, istnieje własność prywatna; ale nie rozdystrybuowana pomiędzy wielu, a więc *de facto* instytucjonalnie społeczeństwu obca. Kolejno, większość pozbawiona jest własności, ale ma również status obywateli, to jest, stanowi grupę politycznie wolną do działania, niemniej ekonomicznie bezsilną; kolejno – choć nasza definicja pozwala tutaj ledwie na domysł, to jednak konieczny domysł, że w kapitalizmie trwać będzie świadomy, bezpośredni i planowy *wyzysk* większości (wolnych obywateli pozbawionych własności) przez mniejszość posiadaczy. Ponieważ bogactwo trzeba wytwarzać: społeczeństwo musi żyć: posiadający zaś, są w stanie wymóc na nieposiadających takie warunki, dzięki którym znaczna część owoców pracy nieposiadających przypadnie posiadającym.

Społeczeństwo oparte na takich zasadach nie może przetrwać. Nie może przetrwać, ponieważ nieustannie pozostaje pod wpływem dwóch typów napięcia społecznego: napięcia, które zwiększa się tylko w miarę jak społeczeństwo owo staje się bardziej i bardziej kapitalistyczne. Pierwszy zatem typ napięcia bierze się z rozdźwięku pomiędzy teoriami moralnymi, stanowiącymi podstawę ustroju państwowego, a faktami społecznymi, nad którymi teorie owe usiłują zapanować. Drugi – z niepewności, na którą skazuje kapitalizm znaczne masy społeczne, i ogólny element niepokoju

i nieszczęścia, który odciska w kapitalizmie swoje piętno na wszystkich obywatelach, ale szczególnie na większości, złożonej – w kapitalistycznych warunkach – z pozbawionych własności wolnych ludzi.

Z tych dwóch typów napięcia społecznego, trudno powiedzieć, który jest gorszy. Każdy z osobna wystarczyłby – przy dłuższej obecności – do zniszczenia wszelkich urządzeń społecznych, które pozostawałyby w zasięgu jego wpływu. Ich fuzja stawia zniszczenie owo poza wszelką dyskusją; i nie może być już żadnej wątpliwości, że społeczeństwo kapitalistyczne musi przejść transformację i przybrać inną, bardziej stabilną formę. Cel zasadniczy niniejszych stron stanowi właśnie ustalenie, jak owa stabilna forma według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie się przedstawiać.

Twierdzimy, że istnieje obecnie wielkie napięcie moralne, które zwiększa się jeszcze z każdym krokiem na drodze kapitalistycznego rozwoju.

Owo napięcie wynika z rozdźwięku zachodzącego pomiędzy realiami społeczeństwa kapitalistycznego a fundamentem moralnym naszych praw i tradycji.

Moralny fundament, na którym opiera się funkcjonowanie naszych praw oraz treść naszych tradycji, zakłada państwo wolnych obywateli. Nasze prawo broni własności jako instytucji normalnej, znajomej wszystkim obywatelom – i przez wszystkich obywateli szanowanej. Karze kradzież jako rzecz nienormalną, zachodzącą wtedy, gdy – z niegodziwych motywów – jeden wolny obywatel przejmuje własność drugiego wbrew jego woli. Karze oszustwo jako rzecz nienormalną, zachodzącą wtedy, gdy – z niegodziwych motywów – jeden wolny obywatel zmusza drugiego do zrzeczenia się praw do swego majątku na podstawie fałszywych przesłanek. Wymusza społeczne zastosowanie instytucji umowy, której jedyną podstawę moralną stanowi wolność obydwu stron, i możliwość, by tak jedna jak druga – jeśli tak jej się spodoba – nie zawierała takiej umowy, której przestrzeganie, gdy zostanie zawarta, musi być wymuszane. Pozwala ona właścicielowi zapisywać swoje mienie w spadku – ewidentnie opierając się na założeniu, że własność i przekazywanie własności (z reguły dziedzicom naturalnym, w drodze wyjątku wszakże komuś innemu, którego spadkodawca ma wolność wskazać) to sprawy normalne w społeczeństwie zasadniczo zaznajomionym z tą sferą praktyki życiowej, i uznającym ją za naturalną część życia domowego masy obywatelskiej. Nakazuje człowiekowi płacić odszkodowanie, jeśli ten z własnej woli narazi kogoś innego na straty – ponieważ zakłada, że będzie on mógł zapłacić.

Sankcja, na której opiera się nasze życie społeczne – w teorii moralnej, rzecz jasna – to konsekwencje prawne możliwe do wyegzekwowania na drodze sądowej, zakładaną podstawą

bezpieczeństwa i materialnej szczęśliwości obywateli jest zaś tutaj posiadanie dóbr gwarantujących wolność od niepokoju i pozwalających na niezależność działania pośród naszych bliźnich.

Teraz, porównajmy to wszystko, ową teorię moralną, na podstawie której społeczeństwo nasze wciąż, na nasze wielkie nieszczęście, funkcjonuje, teorię moralną, do której sam kapitalizm do dziś ucieka się za każdym razem, gdy jest atakowany, porównajmy ją – rzeknę – jej formuły i presupozycje, z rzeczywistością społeczną państwa kapitalistycznego, choćby współczesnej Anglii.

Własność pozostaje instynktem być może i większości obywateli; jako doświadczenie i rzeczywistość zaś, zna ją ledwie jeden na dwudziestu z nich. Sto najróżniejszych form oszustwa, naturalnego *corollarium* niczym nieskrępowanej konkurencji między nielicznymi oraz uczynienia niczym nieskrępowanej chciwości motorem produkcji, nie są lub nie mogą być karalne: ze śmiesznostkami, drobnymi wybrykami złodziejskiej przemocy bądź oszukańczej przebiegłości, nasze prawa potrafią coś zrobić – ale tylko z nimi w ogóle są w stanie coś zrobić. Nasza maszyneria prawna została zredukowana do roli parawanu chroniącego garstkę posiadających przed potrzebami, żądaniami czy nienawiścią masy ich wywłaszczonych współobywateli. Miażdżąca większość tak zwanych „wolnych umów" to dziś lwie umowy: układy, w których jedna strona może wejść w coś lub wycofać się wedle uznania, druga wszakże nie może wejść lub wycofać się wedle uznania, bo alternatywą jest dla niej śmierć głodowa.

Przede wszystkim wszakże, fundamentalnym dla całego naszego rozwoju faktem społecznym, czymś znacznie istotniejszym, niż wszelka ochrona prawna, jest to, iż od woli posiadaczy zależą same *środki do życia*. Posiadający mogą zapewnić je nieposiadającym – a mogą ich nie zapewnić. Tak też prawdziwą sankcję w naszym społeczeństwie stanowi nie instytucja egzekwowanych sądownie kar, ale odebranie wywłaszczonym możliwości przeżycia. Większość ludzi boi się utraty pracy bardziej, niż konfliktu z prawem, narzędziem dyscypliny zbiorowej zaś, dzięki któremu przymusza się współczesnych Anglików do tych a nie innych form bycia i działania, jest strach przed zwolnieniem. Prawdziwym panem jest dziś dla Anglika nie suweren, nie urzędnik państwowy oraz nie – nawet tylko pośrednio – prawa; jego panem, prawdziwym panem, jest kapitalista.

Każdy zdaje sobie sprawę z tych podstawowych prawd; i ktokolwiek, kto próbuje im dzisiaj zaprzeczać, nie może uczynić tego bez podania w wątpliwość swojej uczciwości – albo inteligencji.

Gdyby spytano nas, dlaczego w takim razie sprawy stanęły na ostrzy noża dopiero tak późno (skoro kapitalizm rozwija się od tak długiego czasu), odpowiedzielibyśmy, że Anglia – nawet dziś kraj

najdoskonalej kapitalistyczny – pełnię kapitalizmu osiągnęła dopiero w tym pokoleniu. Niemal wszyscy żyjący dziś ludzie pamiętają Anglię jako kraj w połowie rolniczy, w którym relacje między czynnikami ludzkimi różnych gałęzi produkcji kształtowały się na zasadzie wzajemnej życzliwości rodaków, a nie konkurencji.

Napięcie moralne, zatem, wynikające z rozdźwięku pomiędzy tym, co symulują nasze prawa i moralne frazesy, a tym, czym nasze społeczeństwo jest w swej istocie, czyni owo społeczeństwo niestabilnym do granic możliwości.

Ta duchowej natury teza ma znacznie większy ciężar gatunkowy, niż mógłby to sobie wyobrazić ciasny materializm tego pokolenia, które w czasach obecnych odchodzi już do przeszłości. Konflikt duchowy wydaje z siebie znacznie większą obfitość niestabilności państwowej, niż jakikolwiek inny, konflikt duchowy zaś, nęka i niepokoi sumienie każdego pojedynczego człowieka i społeczności wziętej jako całość zawsze, gdy realia życia społecznego nie przystają do moralnego fundamentu jego instytucji.

Drugi rodzaj napięcia, jaki dostrzegliśmy w kapitalizmie, drugi element jego wrodzonej niestabilności, bierze się z faktu, że kapitalizm niszczy bezpieczeństwo życiowe.

Doświadczenie wystarczy, aby oszczędzić nam w tej kluczowej kwestii zbędnej zwłoki. Lecz nawet bez doświadczenia moglibyśmy z samej natury kapitalizmu z absolutną pewnością dedukować, że jego główny skutek stanowić będzie właśnie zniszczenie bezpieczeństwa ludzkiego życia.

Połączmy te dwa elementy: środki produkcji są własnością nielicznych; posiadający i nieposiadający mają taką samą wolność polityczną. Z połączenia owego, natychmiast poczynają się warunki rynkowe, w których praca nieposiadającego przynosi tyle, ile jest warta nie jako pełnowartościowa moc produkcyjna, ale jako moc produkcyjna z definicji mająca wytwarzać nadwyżkę dla kapitalisty. Gdy robotnik nie może pracować, nie przynosi ona nic, i dzieje się to coraz częściej proporcjonalnie do upływu czasu; tak też praca daje mniej pieniędzy w wieku średnim, niż w młodości; mniej w starości, niż w wieku średnim; nic zgoła w chorobie; i nic w rozpaczy.

Człowiek zdolny do gromadzenia bogactw (normalnego skutku ludzkiej pracy), człowiek, którego życie opiera się na fundamencie własności prywatnej, posiadanej w odpowiedniej ilości i formie, nie jest oczywiście w swych nieproduktywnych momentach mniej nieproduktywny, niż proletariusz;

niemniej, jego egzystencję równoważą i porządkują także np. przychody z dzierżawy czy odsetek, a nie tylko płaca. Dysponuje nadwartościami, które służą za koło zamachowe, pozwalające odnaleźć się w sytuacjach skrajnych i przetrwać ciężkie czasy. W wypadku proletariusza to zupełnie niemożliwe. Jedyny aspekt egzystencji dostrzegany w człowieku przez kapitał – mianowicie: praca, którą kapitał ów pragnie kupować – to ledwie jeden z wielu aspektów normalnego życia, przez pryzmat których rozumiemy nasze przywiązania, obowiązki oraz charakter. Człowiek myśli o sobie, o swoich perspektywach i bezpieczeństwie, z punktu widzenia własnego, indywidualnego istnienia od narodzin po śmierć. Kapitał, kupując ludzką pracę (ale nie człowieka jako takiego), kupuje ledwie jasno określoną część jego życia – to jest, momenty aktywności. Co do reszty, człowiek ów musi zadbać sam o siebie; ale dbać o siebie, nie mając nic, to tyle, co głodować.

Faktycznie zresztą, tam, gdzie środki produkcji należą do nielicznych, pełna wolność polityczna jest niemożliwa. Doskonałe państwo kapitalistyczne nie może istnieć, choć w Anglii zbliżyliśmy się do tego ideału tak bardzo, że innym, mającym więcej szczęścia narodom wydałoby się to zwyczajnie nierealne. W doskonałym państwie kapitalistycznym, nieposiadający nie miałby w ogóle dostępu do żywności, wyjąwszy te okresy, w których angażowałby się czynnie w produkcję, i ten absurdalny układ szybko, po prostu doprowadzając do śmierci wszystkich nieposiadających, zakończyłby sprawę. Gdyby ludzie w systemie kapitalistycznym byli zupełnie wolni, współczynnik śmierci głodowej stałby się niezmiernie wysoki – a źródło rąk do pracy błyskawicznie wyschło.

Wyobraźmy sobie, że każdy nieposiadający ucieleśniałby ideał tchórza, i posiadacze nie musieliby się martwić o nic, jak tylko o to, by kupić ich pracę za najniższa możliwą cenę – system i tak by się zawalił, ze względu na śmierć dzieci, bezrobotnych i kobiet. Nasze państwo nie znajdowałoby się w stanie stopniowego upadku, jak obecnie. Tylko faktycznie i widocznie zaczęłoby znikać.

W istocie rzeczy, oczywiście, kapitalizm nie może rozwinąć się aż do swej logicznej skrajności. Tak długo, jak długo gwarantuje wolność polityczną wszystkich obywateli (wolność właścicieli żywności by ją komuś dać, bądź by jej komuś odmówić, a także wolność wielu wywłaszczonych, by – w razie jej braku – móc się o nią targować bez żadnych jasnych regulacji): urzeczywistnienie podobnej wolności równa się zagłodzeniu dzieci, starców, niezdolnych do pracy i rozpaczających. Kapitalizm musi utrzymywać przy życiu – niekapitalistycznymi metodami – wielkie masy populacji, które w innym wypadku pomarłyby z głodu; i kapitalizm, istotnie, bardzo o to dbał, w miarę, jak jego kleszcze zaciskały się coraz ciaśniej wokół angielskiego narodu. Elżbietańskie prawo o ubogich, znaczące początek procesu, prawo o ubogich z 1834, znaczące moment, w którym niemal połowa Anglii wpadła

już w muskularne ramiona kapitalizmu, to źródłowe i prymitywne przykłady tego faktu: dzisiaj widać już całe setki innych.

Choć ten rodzaj niepewności – fakt, że posiadający nie mają żadnego bezpośredniego bodźca by utrzymywać ludzi przy życiu – jest zarówno najbardziej logiczny, jak i w warunkach kapitalistycznych niezmiennie najbardziej trwały, to występuje tu jeszcze inny czynnik, wywierający na ludzkie życie jeszcze bardziej dramatyczny wpływ. Owym innym czynnikiem jest anarchia kompetytywna w produkcji, z jaką zawsze wiąże się połączenie ograniczonego dostępu do własności z wolnością polityczną. Zastanówmy się, z czym w sposób konieczny łączy się proces produkcyjny, w którym narzędzia pracy i grunt znajdują się w rękach nielicznych, dla których naczelny motyw działania stanowi nie używanie wytworzonych dóbr, ale pozyskiwanie z nich tzw. nadwartości względnie „profitów", cieszących serce posiadacza.

Jeśli każdemu z takich posiadaczy narzędzi i zasobów zagwarantuje się pełną wolność polityczną, każdy z nich będzie czujnie monitorował swoją niszę rynkową, starał się przebić drugiego sprzedając po kosztach, uruchamiać nadprodukcję w czasach szczególnego zapotrzebowania na dane artykuły, a więc przesycać rynek i w konsekwencji wywołać depresję – i tak dalej. Kolejno, kapitalista, wolny i samodzielny dyrygent produkcji, czasem się pomyli; czasem fatalnie, a fabryki pójdą pod młotek. Kolejno, masa żyjących w kompletnej izolacji, niedouczonych i rywalizujących ze sobą permanentnie jednostek zwyczajnie nie może nie doprowadzać podczas swej zaciekłej walki do nieprawdopodobnego marnotrawstwa, to marnotrawstwo zaś, zawsze będzie fluktuować. Większość zleceń, większość reklam, większość prowizji stanowi jego znakomite przykłady. Gdyby to marnotrawstwo energii dało się uczynić czynnikiem stałym, pasożytnicze zatrudnienie, którego dostarcza, również byłoby czynnikiem stałym. Niemniej, z natury swej jest to rzecz jak najbardziej niestała, zatrudnienie więc, którego dostarcza, również jest z konieczności bardzo niepewne. Konkretną transpozycją tych relacji jest postać handlowego podróżnika, wędrownego akwizytora, agenta ubezpieczeniowego, i każda inna forma zawodu polegającego na fałszywych pochwałach i rozmyślnym oszustwie, które nieodłącznie wiążą się z kapitalistyczną konkurencją.

Tutaj również, podobnie jak w wypadku niepewności będącej owocem podeszłego wieku i chorób, kapitalizm nie może osiągnąć skrajności logicznej, i zawsze cierpi na tym element wolności. Konkurencję w rzeczywistości ogranicza coraz wyraźniej porozumienie między konkurującymi, któremu towarzyszy – szczególnie w tym kraju – ruina słabszego, wywoływana przez tajne konspiracje

możniejszych, i wspierana przez tajne siły polityczne państwa*. Słowem, kapitalizm – okazując się ustrojem tak niestabilnym dla posiadających, jak nieposiadających – dąży do stabilności przez utratę istotnego charakteru wolności politycznej. Lepszego dowodu na wrodzoną niestabilność kapitalizmu jako ustroju nie można by sobie wymarzyć.

Weźmy choćby jeden z niezliczonej ilości trustów, które sprawują obecnie kontrolę nad angielskim przemysłem i uczyniły z Anglii prawdziwy typ – słynny w całej Europie – tego, co nazywa się systemem sztucznych monopoli. Gdyby nasze sądy i przedstawiciele władzy wykonawczej naprawdę przyjmowali kapitalizm w formie czystej, każdy dowolny człowiek mógłby założyć konkurencyjny biznes, pobić te trusty ceną i rozbić w proch względną stabilność, jaką zapewniają swoim dziedzinom przemysłu. Powodem, dla którego nikt tak nie robi, jest właśnie to, że nasze sądy nie bronią wolności politycznej w sprawach gospodarczych. Ktokolwiek, kto próbowałby podjąć konkurencję z jednym z naszych wielkich trustów, błyskawicznie okazałby się najdroższym producentem w danej branży w kraju. Mógłby, zgodnie z duchem wiekowego prawa całej Europy, oskarżyć tych, którzy chcieliby go zrujnować, o zmowę cenową; szybko przekonałby się jednak, że zmowa ta niezmiernie przypadła do gustu zarówno sędziemu, jak i wszystkim politykom.

Zawsze trzeba wszakże pamiętać, że zmowy cenowe, będąc znakiem rozpoznawczym Anglii współczesnej, jako takie stanowią znak przejścia z jednej fazy kapitalizmu do drugiej.

W warunkach istotnie kapitalistycznych – w warunkach doskonałej wolności politycznej – podobne spiski karano by w sądach dokładnie za to, czym są: mianowicie, pogwałceniem fundamentalnych swobód politycznych. Jako iż doktryna owa, pozwalając każdemu producentowi zatrudniać każdego dowolnego pracownika i ustalać ceny na takim poziomie, jaki uzna za stosowny, łączy się także z bezwzględnym karaniem wszelkiej zmowy, mogącej zmierzać do ustanowienia monopolu. Jeśli kapitalizm porzuca dążenie do podobnie idealnej wolności, przyzwala na istnienie monopoli a wręcz je pielęgnuje, dzieje się tak niezmiennie dlatego, że nienaturalne napięcie, będące owocem powszechnej wolności połączonej z ograniczoną własnością środków produkcji, niepewność życia w warunkach czystej konkurencji, anarchia kapitalistycznych metod produkcyjnych – wszystko to stało się nie do zniesienia.

---

* Zanim uda się w tym kraju stworzyć jakikolwiek trust, pierwszym krokiem, który należy wykonać, jest „zdobycie zainteresowania" jakiegoś polityka. Telefony, trust węglowy południowej Walii, szczęśliwie niebyły trust mydlarski, to tego wymowne przykłady.

Zbyt długo zatrzymałem się w rozdziale niniejszym nad tematem przyczyn, dla których państwo kapitalistyczne z konieczności jest tworem niestabilnym.

Mogłem podejść do sprawy empirycznie, przyjmując za punkt wyjścia obserwację niechybnie poczynioną przez wszystkich moich czytelników: że kapitalizm skazany jest na klęskę, i że państwo kapitalistyczne weszło już w pierwszą fazę transformacji.

Niewątpliwie, nie mamy już owej doskonałej wolności politycznej, której prawdziwy kapitalizm bezwzględnie wymaga. Niepewność życia, w połączeniu z rozdźwiękiem pomiędzy naszą tradycyjną moralnością a faktami społecznymi, wydała już z siebie przeróżne nowinki, takie jak właśnie przyzwolenie na spiski – zarówno wśród posiadających, jak i nieposiadających – przymus zabezpieczenia socjalnego, egzekwowany przy użyciu instrumentów państwowych, i wszystkie nasze reformy – z ich przeróżnymi skutkami, tak jawnymi, jak ukrytymi – których zasadniczymi tendencjami zajmę się w następnym rozdziale.

Rozdział VI – Stabilne alternatywy dla niestabilności

Ponieważ państwo kapitalistycznej jest niestabilne z samej swej natury, z konieczności będzie do owej stabilności dążyć, tą lub inną drogą.

Bo z definicji ciało w stanie równowagi chwiejnej dąży do osiągnięcia równowagi statecznej. Na przykład, piramida postawiona na czubku znajduje się w stanie równowagi chwiejnej; co oznacza po prostu tyle, że wpływ nawet bardzo niewielkiej siły przewróci ją do stabilnej pozycji. Podobnie, o niektórych mieszankach chemicznych mówi się, że ich składniki wykazują tak wielkie powinowactwo, że nawet niewielki wstrząs może sprawić, że się zwiążą i zmienią strukturę całości. Do tego typu mieszanin należą choćby materiały wybuchowe.

Jeśli państwo kapitalistyczne znajduje się zatem w stanie równowagi chwiejnej, oznacza to tyle, że z natury dąży do osiągnięcia równowagi statecznej, i że kapitalizm z konieczności musi przejść transformację do innego rodzaju ustroju, gwarantującego spokój społeczny.

Kapitalizm zastąpić może jeden z trzech i tylko trzech ustrojów: niewolnictwo, socjalizm i własność.

Można sobie wyobrazić kompromis, polegający na połączeniu różnych elementów dwóch spośród nich, a kto wie, może i wszystkich trzech naraz – niemniej każdy z nich ma charakter typu dominującego, i z samej natury problemu żadne czwarte rozwiązanie zwyczajnie nie wchodzi w grę.

Pamiętajmy, że problem obraca się wokół kontroli nad środkami produkcji. Kapitalizm oznacza, że pozostają one w rękach nielicznych, podczas gdy wolność polityczna przysługuje wszystkim. Jeśli anomalia ta zacznie zanikać, ze względu na wrodzoną niestabilność i wewnętrzną sprzeczność z suponowanym fundamentem moralnym, jeden lub drugi z elementów, których połączenie okazało się praktycznie niemożliwe, musi ulec transformacji. Te dwa czynniki to (1) ograniczona społecznie własność środków produkcji i (2) powszechna wolność. Aby rozwiązać problem kapitalizmu, należy zatem pozbyć się albo ograniczeń w dostępie do własności, albo powszechnej wolności, albo obu tych rzeczy naraz.

Dla wolności istnieje tylko jedna alternatywa – brak wolności. Albo człowiek ma wolność pracować bądź nie pracować wedle własnego uznania, albo można go zmusić do pracy prawnie, i przy

pomocy aparatu państwowego. W pierwszym wypadku, jest człowiekiem wolnym; w drugim – z definicji niewolnikiem. W tym wypadku zatem, nie możemy wybierać między większą liczbą opcji, ale mamy tylko jedną – znieść wolność i zastąpić ją niewolnictwem. Takie rozwiązanie, bezpośrednia, natychmiastowa i świadoma restauracja ustroju niewolniczego, od ręki zaradziłoby wszystkim problemom kapitalizmu. Umożliwiłoby bowiem wprowadzenie wielu praktycznych regulacji, dzięki którym nieposiadający błyskawicznie zyskaliby upragnioną gwarancję przeżycia i stabilność życiową. Rozwiązanie to, jak później pokażę, prawdopodobnie stanowi ostateczny cel rozwoju naszego społeczeństwa. Niemniej, podjęcie takiej jednoznacznej i świadomej decyzji wiąże się z pewną trudnością.

Bo ze względu na wszystko, co przetrwało jeszcze w naszej cywilizacji z tradycji chrześcijaństwa, nie może prosta i bezpośrednia organizacja społeczeństwa na zasadzie niewolniczej jawić się umysłowi europejskiemu jako realna propozycja rozwiązania problemu kapitalistycznego. Żaden reformator nie włączy jej do swego programu; żaden prorok nie będzie mówił o niej jako o rzeczy nieuniknionej. Wszystkie teoretyczne projekty reformy społecznej – przynajmniej z początku – będą starały się zatem w pierwszym rzędzie zagwarantować nienaruszalność tego czynnika kapitalistycznego, jakim jest *wolność*, w konsekwencji skupiając się na próbie wywołania zmian w strukturze *własności*.

Jeśli próbuje się znaleźć lekarstwo na to zło kapitalizmu, jakie bierze się z niezdrowej dystrybucji własności, ma się dwa – i tylko dwa – wyjścia.

Jeśli fakt, że własność stanowi przywilej nielicznych, sprawia nam ból, możemy to zmienić *albo* przekazując ją w ręce wielu, *albo* odbierając wszystkim. Nie ma trzeciej drogi.

Konkretnie mówiąc, odebrać własność „wszystkim" oznacza przekazać ją w ręce funkcjonariuszy politycznych. Jeśli powie się, że zło kapitalizmu bierze się z instytucji własności prywatnej jako takiej, a nie z wywłaszczenia licznych przez nielicznych, wtedy należy zakazać prywatnego posiadania środków produkcji wszystkim prywatnym osobom bądź grupom społeczeństwa: ale ktoś musi mieć nad nimi kontrolę – inaczej nie będzie co jeść. W praktyce zatem, doktryna ta równa się nadzorowaniu środków produkcji przez tych, którzy pełnią w danej społeczności rolę zwierzchników politycznych. Czy owi zwierzchnicy sami mają nad sobą jakąś kontrolę społeczną, z punktu widzenia czystej ekonomii nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, by zrozumieć jeden

podstawowy fakt: że jedyną alternatywę dla własności prywatnej stanowi własność publiczna. Ktoś musi doglądać orki i lustrować pługi; inaczej, żadnej orki nie będzie.

Czymś równie oczywistym jest, że jeśli uzna się, że całe zło bierze się nie z własności prywatnej, ale z tego, że dostęp do niej ma tylko garstka wybranych, wtedy środkiem zaradczym musi stać się zwiększenie liczby wybranych.

Ustaliwszy to wszystko, możemy na wszelki wypadek powtórzyć: społeczeństwo takie jak nasze, któremu wciąż nie pasuje z różnych względów termin „niewolnictwo", i które wciąż unika jak może prostego i bezpośredniego powrotu do tej instytucji, z konieczności rozważać będzie reformę obecnego systemu, opartego na niezdrowej dystrybucji własności, stosownie do dwóch modeli. Pierwszy opiera się na braku własności prywatnej i ustanowieniu tego, co nazywa się kolektywizmem; to jest, powierzeniu nadzoru nad środkami produkcji urzędnikom politycznym danej społeczności. Drugi – na szerszej dystrybucji własności, trwającej dotąd, aż instytucja owa odciśnie się wyraźnie na strukturze całego państwa, i aż wszyscy wolni obywatele – w warunkach normalnych – staną się posiadaczami ziemi, kapitału, lub obydwu tych rzeczy.

Pierwszy model określamy mianem socjalizmu względnie państwa kolektywistycznego; drugi – państwa własnościowego względnie dystrybucjonistycznego.

Powiedziawszy tyle, w następnym rozdziale pokażę, dlaczego model drugi, łączący się z daleko idącą redystrybucją własności, odrzuca się w istniejącym społeczeństwie kapitalistycznym jako praktycznie niemożliwy, i czemu, zatem, reformatorzy nasi obierają model drugi – model państwa kolektywistycznego.

Potem zaś, przejdę do pokazania, jak w pierwszej fazie rozwoju każda reforma kolektywistyczna ulega zniekształceniu i wydaje z siebie, zamiast tego, co stanowiło przedmiot pierwotnego zamierzenia, nową jakość: społeczeństwo, w którym masa proletariacka zgadza się oddać wolność w zamian za bezpieczeństwo życiowe.

Czy wyraziłem się jasno?

Jeśli nie, powtórzę raz trzeci, i w możliwie jak najkrótszych słowach, formułę, która stanowi serce całej mojej tezy.

Państwo kapitalistyczne rodzi teorię kolektywizmu, która w *praktyce* wydaje z siebie coś zupełnie od kolektywizmu odmiennego: to jest, państwo niewolnicze.

Rozdział VII – Socjalizm to pozornie najprostsze rozwiązanie kryzysu kapitalistycznego

Twierdzę zatem, że idąc po linii najmniejszego oporu – jeśli istotnie po niej pójdzie – państwo kapitalistyczne przekształci się w państwo niewolnicze.

Zamierzam wykazać, że wynika to z faktu, iż najłatwiejsze dla państwa kapitalistycznego rozwiązanie jego wewnętrznych problemów stanowi nie projekt *dystrybucjonistyczny, a kolektywistyczny,* przy czym jakakolwiek próba ustanowienia *kolektywizmu* nigdy nie kończy się ustanowieniem kolektywizmu, ale ustroju opartego o poddaństwo większości, i jeszcze skuteczniej utrwalającego przywileje nielicznych w ich obecnej formie; to jest – państwa niewolniczego.

Ci, którym instytucja niewolnictwa jawi się jako coś obrzydliwego, proponują w charakterze środka zaradczego na kapitalistyczny kryzys jedną z dwóch reform.

Albo pragną przekazać własność w ręce wielu, a zatem: rozdzielić ziemię i kapitał w taki sposób, by decydująca liczba rodzin w państwie znajdowała się w posiadaniu środków produkcji; albo pragną przekazać je w ręce funkcjonariuszy politycznych danej społeczności, aby sprawowali nad nimi zarząd powierniczy dla dobra wspólnego.

Pierwsze rozwiązanie określić można jako próbę ustanowienia państwa dystrybucjonistycznego. Drugie – próbę ustanowienia państwa kolektywistycznego.

Ci, którzy opowiadają się za pierwszą opcją, to tradycjonaliści względnie konserwatyści. To ludzie, którzy szanują i, o ile to możliwe, chcieliby zachować w istnieniu, stare, chrześcijańskie formy życia europejskiego. Wiedzą, że szeroka dystrybucja własności miała już miejsce w czasach minionych, w najszczęśliwszych momentach naszych dziejów; a także, że gdzie jest ona dobrze rozdystrybuowana nawet i dziś, tam zawsze towarzyszą jej zdrowie i spokój społeczny, większe, niż w innych miejscach. Ogólnie mówiąc, ci, którzy pragnęliby – w miarę możliwości – odbudować państwo dystrybucjonistyczne, jako alternatywę dla – i remedium wobec – zła i niepokoju systemu kapitalistycznego, zajmują się przede wszystkim rzeczywistością znaną – i mają za swój cel formę społeczną, która okazała się już w doświadczeniu stabilna i dobra. Ci zatem właśnie – spomiędzy dwóch typów potencjalnych reformatorów – są bardziej *praktyczni, w* tym sensie, że bardziej niż kolektywiści (czy socjaliści, jak się ich nazywa) zajmują się czymś, co istnieje, względnie przynajmniej

istniało. W innym sensie wszakże (jak za chwilę zobaczymy) są zarazem i mniej praktyczni – ponieważ choroba, którą starają się uleczyć, jest niezwykle odporna na lekarstwo, jakie proponują.

Kolektywista, z drugiej strony, twierdzi, że należy przekazać ziemię i kapitał w ręce funkcjonariuszy politycznych danej społeczności – oczywiście, wyłącznie po to, aby zarządzali nimi w charakterze powierników, dla dobra wszystkich. Czyniąc to zaś, w ewidentny sposób zajmuje się stanem rzeczy do tej pory czysto fikcyjnym, jego ideał zaś, nie został póki co empirycznie wypróbowany, i ani nasza historia, ani rasa nie dostarczają ani jednego przykładu jego praktycznego urzeczywistnienia. W tym sensie zatem, jest on z dwójki reformatorów *mniej* praktyczny. Jego ideału nie można odnaleźć w przeszłości, w jakiejkolwiek znanej i zarejestrowanej fazie naszych dziejów. Nie da się zbadać praktycznego sposobu funkcjonowania socjalizmu, czy powiedzieć (jak można to zrobić w wypadku zdrowego podziału własności): „w taki to a taki sposób, w takim to a takim momencie europejskiej historii, kolektywizm został ustanowiony jako ustrój społeczny, przynosząc ludziom szczęście i bezpieczeństwo".

Dlatego w tym sensie kolektywista rozumuje znacznie mniej praktycznie, niż reformator pragnący zdrowego podziału własności.

Z drugiej strony, w innym sensie to socjalista jest *bardziej* praktyczny z dwóch omawianych tu typów reformatorów, co bierze się z faktu, że na tym etapie choroby, na jakim się znajdujemy, aplikacja proponowanego przezeń lekarstwa skończyłaby się dla nas znacznie mniejszym szokiem, niż próba przywrócenia zdrowego przykładu własności.

Na przykład: operacja wykupu jakiegoś znaczniejszego segmentu gospodarki prywatnej (choćby kompanii kolejowej czy morskiej) przy pomocy funduszy publicznych, podtrzymanie jego funkcjonowania przez zaangażowanie opłacanych z publicznych pieniędzy urzędników i skierowanie przychodów do budżetu, to coś, co bardzo dobrze znamy, i co – pozornie przynajmniej – można powtarzać w nieskończoność. Indywidualne przykłady tego rodzaju transformacji danej gałęzi gospodarki – wodociągów, sieci gazowej czy tramwajowej – z kapitalistycznej do kolektywistycznej zasady organizacji, to rzecz bardzo częsta, i zmiana ta nie zaburza żadnego istotnego elementu funkcjonowania naszego społeczeństwa. Gdy jakaś prywatna firma wodociągowa czy tramwajowa przechodzi w ręce miasta, i zaczyna przynosić zyski publiczne, przejście owo dokonuje się bez żadnego widzialnego tarcia, w żaden sposób nie niepokoi prywatnych obywateli, i społeczności, w której zachodzi, wydaje się czymś na wskroś normalnym.

Przeciwnie zaś, próba przekazania podobnych interesów w ręce znacznej liczby udziałowców, czy zastąpienia pierwotnej, nielicznej grupy właścicieli kapitału szerokim środowiskiem partnerów gospodarczych, rozrzuconych po całym ogóle populacji, wymagałaby niezmiernie dużo czasu i na każdy kroku napotykała opór, zaburzałaby funkcjonowanie społeczności, dokonywała się kosztem wielkich tarć, i dodatkowo cierpiała potężnie ze względu na jeden, zasadniczy problem: że wielu posiadaczy zawsze może na powrót sprzedać swój kapitał nielicznym.

Słowem, ktoś, kto pragnie przywrócenia własności statusu instytucji normalnej dla większości obywateli swojego państwa, w naszych obecnych warunkach społeczeństwa kapitalistycznego *idzie zupełnie pod prąd*, podczas gdy ktoś, kogo celem jest ustanowić socjalizm – to znaczy kolektywizm – przeciwnie: płynie z prądem ogólnych tendencji społecznych. Pierwszy przypomina lekarza, który mówiłby swemu pacjentowi, cierpiącemu na częściową atrofię kończyn, płynącą z nieużywania: „Proszę zrobić to czy tamto, wykonywać takie a takie ćwiczenia, a odzyska pan sprawność". Drugi: lekarza, który w takiej samej sytuacji powiedziałby mu: „Nie może pan dłużej żyć w ten sposób. Pańskie kończyny nie miały dość wysiłku, w związku z czym dotknęła je atrofia. Jeśli będzie pan dalej próbował udawać, że jest inaczej, sprawi pan sobie wiele bólu, i zupełnie bez potrzeby; polecam jak najszybciej podjąć odpowiedzialną decyzję i pozwolić się wozić na wózku, stosownie do stanu pańskiego zdrowia". Lekarz to, w tym wypadku, reformator, pacjent zaś – proletariat.

Książka niniejsza nie ma na celu pokazać, w jaki sposób i wobec jakich problemów system zdrowego podziału własności mógłby zostać przywrócony i zastąpić (nawet w Anglii) system kapitalistyczny, obecnie kompletnie rozchwiany i nie do zniesienia; ale by tym jaskrawiej unaocznić i lepiej ugruntować moją argumentację, pokażę teraz krótko, nim przejdę do wyjaśnienia co mam na myśli mówiąc, że kolektywiści nieświadomie przygotowują grunt pod państwo niewolnicze, jak wielkie trudności łączą się z rozwiązaniem dystrybucjonistycznym i że w związku z nimi rozwiązanie kolektywistyczne wydaje się ludziom żyjącym w warunkach kapitalizmu znacznie, ale to znacznie bardziej atrakcyjne.

Załóżmy, że w jakiejś konkretnej gałęzi przemysłu chciałbym zastąpić wąskie grono wielkich posiadaczy szerokim gronem małych posiadaczy – jak zabrać się do tej pracy?

Można, oczywiście, po prostu przeprowadzić błyskawiczną konfiskatę i redystrybucję – to da się zrobić jednym cięciem. Ale według jakich kryteriów wybiorę nowych właścicieli? Nawet przy

założeniu, że istniałaby jakaś maszyneria prawna, która byłaby w stanie zagwarantować sprawiedliwość nowej dystrybucji, w jaki sposób mógłbym zapobiec wielkich i niepoliczonym, pojedynczym aktom niesprawiedliwości, które na pewno zdarzałyby się podczas procesu redystrybucyjnego? Powiedzieć „nie będzie posiadaczy" i skonfiskować to jedna rzecz, ale powiedzieć: „wszyscy będą posiadaczami" i wyznaczyć proporcje, to druga. Podobna procedura tak radykalnie zaburzyłaby funkcjonowanie siatki relacji ekonomicznych, że skończyłoby się to ruiną całego społeczeństwa, szczególnie zaś – małych interesów, w które również dotkliwie by uderzyła, choć tylko pośrednio. W społeczeństwie takim jak nasze, katastrofa o źródłach zewnętrznych bardzo prawdopodobnie okazałaby się w ostatecznym rozrachunku całkiem korzystna, ponieważ uczyniłaby taką redystrybucję realną możliwością. Ale nikt, działając wewnątrz państwa, nie mógłby ściągnąć na nie podobnego kataklizmu nie kompromitując totalnie własnej sprawy.

Jeśli, zatem, zdecyduję się działać wolniej, i tak kanalizować życie gospodarcze społeczeństwa, by drobna własność prywatna stopniowo upowszechniała się pośród obywateli, zwróćmy uwagę, z jak potężnymi czynnikami bezwładu i obyczaju przyszłoby mi się dzisiaj, w kapitalistycznych warunkach społecznych, mierzyć!

Gdybym chciał, na przykład, faworyzować drobne oszczędności kosztem wielkich, musiałbym przewrócić do góry nogami cały współczesny system wypłacania odsetek od kapitału. Nieskończenie łatwiej oszczędzić £100 z £1000, niż £10 z £100. Nieskończenie łatwiej oszczędzić £10 z £100, niż £5 z £50. Wobec upadku mas w nędzę proletaryzmu, rozwój drobnej własności na drodze oszczędzania jest możliwy wyłącznie przy subsydiowaniu niewielkich depozytów bankowych – zaoferowaniu ich właścicielom korzyści, których – na drodze wolnej konkurencji – nigdy nie udałoby im się osiągnąć; to zaś, wymaga totalnego przepracowania systemu kredytowego. Albo, wprowadźmy blok ustaw, pozwalających zakładać nowe spółki wyłącznie od pewnej wyjściowej liczby właścicieli w górę, nakładających wysokie podatki na wielkie pakiety udziałowe, czy subsydiujących za pomocą pieniędzy lub towarów małych posiadaczy, odwrotnie proporcjonalnie – rzecz jasna – do wielkości majątku. I znów musielibyśmy mierzyć się z ogromną trudnością – bo znaczna większość społeczna nie załapałaby się do tego programu nawet na absolutne minimum.

Tego typu przykłady można by mnożyć w nieskończoność, niemniej najsilniejszy czynnik oporu wobec szerokiej dystrybucji własności w społeczeństwie przenikniętym już na wskroś kapitalistycznym sposobem myślenia, stanowi kwestia moralna: czy ludzie będą chcieli coś realnie mieć? Czy urzędnicy, pracownicy administracji, ustawodawcy będą w stanie rozbić tę władzę i ten autorytet,

które w warunkach kapitalistycznych wydają się normalnymi prerogatywami bogatych? Gdybym, na przykład, wziął na warsztat fabrykę jednego z naszych wielkich trustów, kupił ją za publiczne pieniądze i rozdał udziały – zupełnie bezpłatnie – pracownikom; czy mógłbym liczyć na to, że tradycja własnościowa uchroni ich przed roztrwonieniem nowego majątku? Czy zdołałbym obudzić w nich jakąkolwiek iskrę starego instynktu współpracy społecznej? Czy umiałbym zmusić menadżerów i organizatorów by traktowali grupę ludzi ubogich poważnie, czy też świadczyli jej swoje usługi tak samo skrupulatnie, jak świadczą je bogatym? Czy cała psychologia społeczeństwa kapitalistycznego nie opiera się dokładnie na podziale ludzi na dwie klasy: masę proletariacką, która myśli i czuje nie w kategoriach własności, ale „zatrudnienia", i wąską kastę posiadaczy, która jako jedyne potrafi radzić sobie z maszynerią aparatu administracyjnego państwa?

Zająłem się tym tematem bardzo pośpiesznie i powierzchownie, ale to dlatego, że nie wymaga on bardziej szczegółowego omówienia. Choć oczywistością jest, że przy odpowiedniej determinacji i odrobinie energii społecznej własność dałoby się sprawnie odbudować, czymś równie oczywistym jest i to, że w społeczeństwie kapitalistycznym takim jak nasze, wszystkie wysiłki zmierzające do tego odrodzenia nosiłyby piętno pewnej osobliwości, wątpliwego eksperymentu, rzeczy odstającej zupełnie od kontekstu – i to właśnie stanowi najpotężniejszą trudność, z jaką trzeba mierzyć się przy każdym tego typu przedsięwzięciu. To coś, jak gdyby polecać ćwiczenia rozciągające staruszkom.

Z drugiej strony, eksperyment kolektywistyczny doskonale odpowiada (z pozoru przynajmniej) nawykom społeczeństwa kapitalistycznego, które obiecuje zastąpić. Wykorzystuje istniejącą już maszynerię ustroju kapitalistycznego, mówi i myśli według istniejących już pojęć ustroju kapitalistycznego, odwołuje się do tych aspiracji, które obudził w ludziach ustrój kapitalistyczny, i wyśmiewa jako wyssane z palca dziecinne fantazje dokładnie wszystkie te rzeczy, których pamięć ustrój kapitalistyczny wyniszczył w duszach ludzkich wszędzie tam, gdzie tylko rozprzestrzeniła się jego zaraza.

Wszystko to jest tak bardzo prawdziwe, że co głupsi kolektywiści często mówią o „kapitalistycznej fazie" rozwoju społecznego jako koniecznego wstępu do „fazy kolektywistycznej". Trusty i monopole wita się z otwartymi ramionami, ponieważ „stanowią one formę przejściową między własnością prywatną a publiczną". Kolektywizm obiecuje zatrudnienie wielkim masom, które nie potrafią myśleć o produkcji inaczej, jak tylko według tej kategorii. Obiecuje pracownikom bezpieczeństwo, które wielkie, dobrze zorganizowane przedsiębiorstwo kapitalistyczne (jak nasze kolejowe, na przykład) zapewnić może im wprowadzając system emerytur, awansów itd. – ale znacznie

większego stopnia, bo to samo państwo, a nie ledwie jakaś instytucja w ramach państwa, ma stać się jego nowym gwarantem. W kolektywizmie byłby dokładnie taki sam typ administracji, uposażenia, awanse, emerytury, grzywny – i tym podobne – wszystko to, co istnieje już obecnie w państwie kapitalistycznym. Proletariusz gdy ktoś roztoczy przed nim obraz państwa kolektywistycznego, nie widzi żadnych zasadniczych różnic ze stanem obecnym, może pewną ogólną poprawą własnej sytuacji. I czy ktoś naprawdę myśli, że gdyby, powiedzmy, dwie wielkie gałęzie naszego przemysłu – górnictwo i koleje – zostały z dniem jutrzejszym przejęte przez państwo, armie ludzi, jakie znajdują w nich zatrudnienie, naprawdę doświadczyłyby jakiejś większej zmiany życiowej, poza delikatnym zwiększeniem stopnia bezpieczeństwa socjalnego i być może małą podwyżką?

Projekt kolektywistyczny ze wszystkimi szczegółami nie oferuje – patrząc z perspektywy masy proletariackiej państwa kapitalistycznego – żadnej nowości, ale tylko obietnicę umiarkowanego wzrostu płac oraz zdecydowanego wzrostu spokoju ducha.

Niewielkiej mniejszości, znajdującej się w posiadaniu środków produkcji, kolektywizm będzie się oczywiście jawił jako przeciwnik, ale nawet jeśli, to jest to przeciwnik, z którym mogą rozmawiać we wspólnym języku. Jeśli – na przykład – państwo pragnie przejąć dany trust, obecnie przynoszący 4 procent zysku, i wierzy, że pod zarządem publicznym zacznie on przynosić 5 procent zysku, wtedy transfer własności przybiera formę oferty biznesowej: państwo traktuje kapitalistę mniej więcej tak, jak pan Yerkes[14] potraktował metro. Kolejno, państwo – będąc instytucją pewniejszą i bardziej trwałą – może (tak by się przynajmniej wydawało)[*]„wykupić" każde istniejące przedsiębiorstwo kapitalistyczne na dobrych warunkach. I kolejno, dyscyplina, przy pomocy której państwo narzuciłoby proletariatowi reguły pracy i życia, byłaby zasadniczo zespołem tych samych reguł, których używa obecnie kapitalizm do narzucenia pracownikom dyscypliny niezbędnej do realizacji interesów posiadaczy.

W całym projekcie transformacji państwa kapitalistycznego w kolektywistyczne, nie ma ani jednego elementu reakcji, nie używa się w nim jednego pojęcia, które byłoby dla społeczeństwa kapitalistycznego obce, nie odwołuje się on do żadnego instynktu, który nie stanowiłby dla tego społeczeństwa chleba powszedniego – nieważne, czy chodzi o tchórzostwo, chciwość, apatię czy regulację mechaniczną.

---

14 Karol Yerkes (1837-1905) – amerykański finansista, biznesmen, „pasjonat" transportu publicznego; istotnie, przejął i rozbudował metro londyńskie. W swoich praktykach gospodarczych nieraz uciekał się do szantażu, przekupstwa i innych metod, stanowiących domenę ludzi, którzy „potrafią sobie radzić".

* To zresztą iluzja, co postaram się wykazać nieco dalej.

Ogólnie mówiąc, gdyby współczesna Anglia kapitalistyczna stała się mocą jakiejś magicznej sztuczki państwem drobnych gospodarzy, stanowiłoby to dla nas wszystkich gigantyczną wprost rewolucję. Niepomiernie dziwiłoby nas zuchwalstwo ubogich, zadowolenie leniwych, przedziwna różnorodność stanów życia, wyrazistość osobowości odciskająca piętno na każdym zakątku kraju. Ale gdyby owa współczesna Anglia kapitalistyczna przekształciła się na drodze procesu dość powolnego, aby pozwalał na stopniową reorientację interesów osobistych, w państwo kolektywistyczne, tej gruntownej przecież zmiany praktycznie nikt nawet by nie dostrzegał, i nie wywołałaby ona żadnych wstrząsów, jakie rozpoznaje się w teoriach społecznych. Żyjący w stanie ustawicznej niepewności i beznadziei margines poniżej regularnej opłacanej większości pracowników zniknąłby w odosobnionych zakładach o charakterze penitencjarnym: nikt by za nim nie płakał. Wiele dochodów obłożonych obecnie dużymi podatkami na rzecz państwa zastąpiono by dochodami równie wysokimi lub nawet większymi, podatki pozostały na tym samym poziomie, tylko wynagrodzenie zyskałoby nową nazwę tzw. „pensji". Wąska klasa sklepikarzy częściowo zostałaby wchłonięta przez projekty państwowe oparte na pensjach, częściowo zaś zachowała dawny status i pewność dochodu, gwarantowane przez starą dystrybucję; i takie niedobitki drobnych właścicieli czy to łodzi, czy gospodarstw, czy nawet maszyn produkcyjnych, nie dostrzegłyby w nowym stanie rzeczy niczego istotnie nowego, może poza pewnym uszczelnieniem irytującego systemu kontroli i delikatnym rozmnożeniem nieznośnej drobnicy podatkowej: ale obydwie te rzeczy znają przecież całkiem dobrze także i dziś.

Ten obraz naturalnego przejścia od kapitalizmu do kolektywizmu wydaje się z czymś tak oczywistym, że wielu kolektywistów z poprzedniego pokolenia wierzyło, że od urzeczywistnienia ich ideału nie dzieli nas zgoła nic, poza ogólną głupotą ludzkości. Jedyne, co musieli robić, to cierpliwie i systematycznie głosić i tłumaczyć, aby ta wielka transformacja stała się możliwa. I jeszcze trochę głosić, i jeszcze trochę tłumaczyć, aby stała się faktem.

Mówię „poprzedniego pokolenia". Dzisiaj to proste i powierzchowne przekonanie okazuje się boleśnie nieprawdziwe. Najszczersi i najbardziej jednoznaczni spośród kolektywistów nie mogą nie dostrzegać, że w wymiarze praktycznym propaganda ich nie przyczynia się wcale do budowy państwa kolektywistycznego, ale zupełnie innej jakości. Staje się coraz bardziej i bardziej jasne, że z każdą nową reformą – z których każdą promuje nieodmiennie ten lub inny socjalista, a z pewnym zakłopotaniem błogosławi całe środowisko – na naszych oczach powstaje zupełnie inny typ państwa, nabierający coraz bardziej konkretnych kształtów. Zyskujemy coraz większą pewność, że rezultatem próby

przekształcenia kapitalizmu w kolektywizm wcale nie jest kolektywizm, ale coś trzeciego, co nie śniło się nigdy ani kolektywistom, ani kapitalistom; i owo „coś", to państwo niewolnicze: to jest państwo, w którym masy społeczne będą *prawnie* obowiązane pracować na rzecz nielicznej mniejszości, ale – w zamian za przyjęcie tego przymusu – otrzymają gwarancję spokoju i bezpieczeństwa życiowego, którego stary kapitalizm nie był w stanie im zapewnić.

Dlaczego pozornie prosty i bezpośredni wpływ reform kolektywistycznych wynaturzył się w tak niespodziewany sposób? I jakie prawa oraz instytucje Anglii współczesnej w szczególności, a społeczeństwa przemysłowego w ogóle, świadczą o tym, że ta nowa forma państwowości jest już bardzo blisko?

Odpowiedź na te dwa pytania postaram się znaleźć w dwóch ostatnich rozdziałach niniejszej książki.

Rozdział VIII – Jak reformatorzy i reformowani wspólnymi siłami budują państwo niewolnicze

W tym rozdziale pragnę pokazać, jak trzy grupy interesów, pomiędzy którymi rozgrywa się obecnie cała zmiana społeczna Anglii współczesnej, z konieczności dryfują w kierunku państwa niewolniczego.

Z tych trzech grup, dwie reprezentują interesy reformatorów, trzecia – reformowanych.

Grupy owe to, po pierwsze, *socjaliści*, reformatorzy teoretyczni, idący po linii najmniejszego oporu; po drugie – *„ludzie praktyczni",* którzy jako „praktyczni" reformatorzy polegają głównie na własnej krótkowzroczności, w związku z czym odgrywają dzisiaj niebagatelną rolę; po trzecie zaś, wielka masa proletariacka, dla której przeprowadza się obecne zmiany – i której się je bezwzględnie narzuca. Co *oni* byliby najbardziej chętni przyjąć, jak *oni* zareagują na nowe instytucje, to rzecz o znaczeniu absolutnie kluczowym, ponieważ to oni właśnie stanowią materiał niezbędny do wykonania dzieła.

(1) O reformatorze *socjalistycznym*:

Twierdzę, że ci, którzy pragną ustanowić kolektywizm jako lekarstwo na zło ustroju kapitalistycznego, nieświadomie przykładają rękę nie do budowy państwa kolektywistycznego, ale właśnie niewolniczego.

Ruch socjalistyczny, pierwszy z trzech czynników tego ogólniejszego ruchu, sam w sobie składa się z dwóch rodzajów ludzi: (*a*) tych, którzy uważają publiczną własność środków produkcji (i wypływającego z niej w konsekwencji obowiązku wszystkich obywateli do pracy pod kierownictwem państwa) za jedyne realistyczne rozwiązanie naszych problemów społecznych. A także: (*b*) tych, którzy kochają ideał kolektywistyczny jako taki, którzy nie dążą do jego urzeczywistnienia dlatego, że to lekarstwo na współczesne zło kapitalizmu, ale dlatego, że proponuje on jasną i uporządkowaną formę społeczną, która jako taka bliska jest ich sercom. Uwielbiają rozmyślać o państwie idealnym, w którym ziemią i kapitałem zarządzać będą urzędnicy publiczni, rozkazujący ludziom w każdej dziedzinie życia i tak też broniący ich przed skutkami *własnej* niemoralności, ignorancji i głupoty.

Te dwa typy zasadniczo się od siebie różnią, pod wieloma względami pozostają w konflikcie, i wyczerpują zupełnie charakter ruchu socjalistycznego.

Wyobraźmy sobie teraz, że przedstawiciele obydwu z nich popadają w spór z istniejącymi obecnie warunkami kapitalistycznymi i starają się je zmienić. Po jakiej linii oporu będą przebiegać ich działania?

(*a*) Typ pierwszy zacznie domagając się odebrania środków produkcji ich obecnym właścicielom i przekazania ich w ręce państwa. Ale, ale – coś takiego niespotykanie trudno zrobić. Obecnych właścicieli broni przed konfiskatą gruby mur sentymentu moralnego. Sentyment ów to coś, co *większość* ludzi określiłaby mianem moralnego prawa do własności (a więc działa tu instynktowne przekonanie, że własność jest *prawem*), i co *wszyscy* ludzie uznawaliby przynajmniej za wielowiekową tradycję. I też, sprzyja im jeszcze nieogarniona złożoność współczesnych warunków posiadania.

Weźmy bardzo prosty przykład. Wydaje się dekret, że cała ziemia wspólna, ogrodzona po roku – powiedzmy – 1760 (czyli bardzo niedawno), zostanie zwrócona ludowi. To koncepcja bardzo umiarkowana i dająca się uzasadnić. Ale spróbujmy zastanowić się, ile drobnych majątków, jakiż łańcuch zobowiązań i zysków oplatający miliony ludzi, ileż transakcji dokonywanych przy użyciu z trudem ciułanych oszczędności „szaraczków" by to zrujnowało! Jest to zupełnie do pomyślenia, bo – z perspektywy moralności – społeczeństwo może zrobić społeczeństwu dosłownie wszystko; niemniej, akt taki przyniósłby straty dwudziestokrotnie przerastające bogactwo, o którym mówimy i zniszczył wszelkie bezpieczeństwo kredytowe. Słowem, jest to rzecz – w potocznym tego słowa znaczeniu – niemożliwa. A zatem, nasz socjalistyczny reformator musi uciec się do kompletnego erzacu, o którym w tym miejscu ledwie tylko wspomnę – jako iż należy mu, ze względu na jego kapitalne znaczenie, poświęcić znacznie więcej czasu nieco później – do próby *„wykupienia"* obecnego posiadacza.

Tutaj wystarczy powiedzieć tyle, że pomysł „wykupu" bez konfiskaty opiera się na błędzie ekonomicznym. Dowiodę tego w swoim czasie. Na tę chwilę przyjmuję to jako założenie i z pośpiechem przechodzę do omówienia pozostałych działań mojego reformatora.

A zatem, nie konfiskuje; jedyne, co mu pozostaje, to „wykupywać" (czy raczej tylko próbować „wykupywać") niektóre sekcje środków produkcji.

Niemniej, samo to przedsięwzięcie w żadnym wypadku nie wystarcza jego motywacji. Z definicji, człowiek ten pragnie uleczyć wszystko to, co w jego oczach stanowi najpoważniejsze choroby społeczeństwa kapitalistycznego. Postanowił uzdrowić kraj z nędzy, w jaką wpędza ono

wielkie masy ludzkie oraz nieznośnej niestabilności, w jaką wpędza wszystkich. Postanowił sobie zastąpić społeczeństwo kapitalistyczne takim, w którym wszyscy ludzie będą mieli co jeść, w co się ubrać, gdzie spać, i nie będą już – jak dzisiaj – żyć w bezustannym niepokoju o pokarm, odzienie czy dach nad głową.

No cóż, istnieje metoda osiągnięcia tego bez konfiskaty.

Ten typ reformatora słusznie mniema, że zastrzeżenie własności środków produkcji dla nielicznych stanowi prawdziwą przyczynę otaczającego go zewsząd zła, które obudziło w nim sprawiedliwy żal i gniew. Niemniej – zło owo pojawiło się wyłącznie ze względu na połączenie ograniczonego dostępu do środków produkcji z powszechną wolnością obywatelską. Połączenie tych dwóch czynników to przecież sama definicja państwa kapitalistycznego. Istotnie, wywłaszczenie wielkich właścicieli to trudne przedsięwzięcie. Natomiast zmiany polityczne (jak zobaczymy jeszcze później, gdy zajmiemy się masą proletariacką, której te zmiany dotkną przede wszystkim) nie nastręczą nawet względnie porównywalnych trudności.

Można powiedzieć kapitaliście: „Moim zamiarem jest cię wywłaszczyć – ale dopóki się to nie stanie, zadbam, by twoi pracownicy mieli znośne życie". Kapitalista odpowie: „Nie dam się wywłaszczyć, a zresztą, bez wywoływania katastrofy jest to niemożliwe. Ale jeśli relacje między mną a moim pracownikiem zostaną jasno określone, wywiążę się chętnie ze wszystkich zobowiązań. Obejmijcie proletariusza – jako proletariusza, dlatego, że jest proletariuszem – specjalnymi prawami. Obciążcie mnie, kapitalistę – jako kapitalistę, i dlatego, że jestem kapitalistą – specjalnymi obowiązkami, wynikającymi z tych praw. Zgodzę się na wszystko i dopilnuję, aby stało się im zadość; zmuszę moich pracowników, aby ich przestrzegali i z pełną świadomością wypełnię moją nową rolę społeczną, wyznaczoną mi przez państwo. Powiem więcej – powiem, że taki nowy układ bardzo mi odpowiada, ponieważ dzięki niemu moje własne profity staną się – być może nawet większe – a na pewno bardziej stabilne".

Tak też nasz reformator-idealista może nareszcie skanalizować swój program. Jeden jego element – konfiskata – uderzył w mur i jest nie do zrobienia; w wypadku drugiego wszakże, zabezpieczenia ludzkich warunków życia proletariatu, drzwi są otwarte. Połowa rzeki rozbija się o tamę – ale połowa ma przed sobą tylko śluzę, i śluzę ową łatwo można podnieść. A gdy się ją już podniesie, cały nurt korzystając ze sposobności popłynie przez nią z pełną siłą żywiołu; tam też wypłucze i pogłębi koryto; tam też z czasem zacznie płynąć główny prąd.

Porzućmy może już tę metaforę – jedno wszakże pozostaje pewne: że wszystkie te elementy prawdziwie socjalistycznego programu, które są do przyjęcia w państwie niewolniczym, z pewnością mogą zostać urzeczywistnione. Pierwsze kroki na drodze do tego urzeczywistnienia już zresztą wykonano. Mają one taką naturę, że stanowią doskonałą bazę do dalszych działań w tym samym kierunku, i całe państwo kapitalistyczne szybko i łatwo może zmienić się w państwo niewolnicze, spełniając tym samym bardziej powierzchowne żądania i bardziej palące postulaty reformatora społecznego, którego celem ostatecznym istotnie może być własność publiczna ziemi i kapitału, ale którego główną motywacją jest płomienna litość nad nędzą i nieszczęściem mas.

Gdy transformacja ta się wreszcie dokona, własność publiczna stanie się niemożliwa – zresztą także niechciana i niekonieczna. Reformator chciał użyć jej jako narzędzia zapewnienia ludowi wystarczalności i bezpieczeństwa: zamiar został osiągnięty.

Mamy wystarczalność i mamy bezpieczeństwo – osiągnięte zresztą innymi i znacznie łatwiejszymi metodami, zgodnymi z naturą bezpośrednio poprzedzającej je fazy kapitalistycznej: nie ma powodu, by iść dalej.

W ten sposób, socjalista, pragnący rzeczywiście ludzkiego dobra, a nie ledwie porządku społecznego, daje się mimo chęci wmotać w praktyki, które *oddalają* nas od ideału kolektywistycznego, a *przybliżają* do takiej formy społecznej, w której posiadacze pozostaną posiadaczami, wywłaszczeni pozostaną wywłaszczeni, w którym masy ludzkie wciąż pracować będą na rzecz nielicznych i w którym owi nieliczni wciąż spijać będą z ludzkiej pracy śmietankę nadwartości, ale w którym swoiste dla kapitalizmu zło, ustawiczna nędza i ustawiczna niepewność, w głównej mierze efekt powszechnej wolności politycznej, zostanie wyeliminowane dzięki zniesieniu tejże wolności.

Pod koniec tego procesu, obudzimy się w świecie zamieszkałym przez dwa rodzaje ludzi: posiadaczy, gospodarczo wolnych, i kontrolujących – dla własnego spokoju i bezpieczeństwa życiowego – byt gospodarczo zniewolonych nieposiadaczy. Ale to jest właśnie państwo niewolnicze.

(*b*) Z drugim typem reformatora socjalistycznego poradzimy sobie znacznie szybciej. W jego wypadku, wyzysk człowieka przez człowieka nie stanowi żadnego powodu do gniewu. Istotnie, to typ, któremu gniew – czy jakakolwiek inna żywa namiętność – jest kompletnie obcy. Tabelki, statystyki,

precyzyjny plan na życie – oto pokarm, który zaspokaja jego głód moralny; zajęcie, które najbardziej odpowiada jego naturze, to „zarządzanie ludźmi”: tak, jak zarządza się zespołem maszyn.

Takiemu człowiekowi ideał kolektywistyczny wydaje się szczególnie atrakcyjny.

Jest to wizja uporządkowana w stopniu absolutnie skrajnym. Cała owa ludzka i organiczna złożoność, jaka stanowi nieodłączną specyfikę każdej żywotnej społeczności, ze względu na swoją nieskończoną różnorodność dotyka tego człowieka niemalże osobiście. Wielość mąci mu spokój i perspektywa ustanowienia gigantycznej biurokracji, w ramach której całe życie sprowadzone zostanie do kilku prostych schematów opracowanych przez zespoły urzędników publicznych pod nadzorem odpowiednich ministrów, zapewnia jego skurczonemu żołądkowi ostateczne ukojenie.

Ten człowiek, podobnie jak poprzedni, wolałby zacząć od ustanowienia publicznej własności ziemi i kapitału i na tej podstawie wznieść ów formalistyczny system, który tak bardzo odpowiada jego naturze. (Nie trzeba chyba dodawać, że w swej wizji przyszłego kształtu społeczeństwa widzi siebie jako przynajmniej ministra, być może wprost głowę państwa – ale to ledwie dygresja). Ale choć wolałby zaczynać w sytuacji, w której kolektywistyczny system gospodarczy byłby gotowy do użytku, w praktyce przekonuje się, że to niemożliwe. Musi zatem konfiskować, podobnie jak wygląda to w wypadku socjalisty bardziej oddanego sprawie; a jeśli czyn ów jest niezmiernie trudny nawet w wypadku człowieka płonącego gniewem na widok ludzkich krzywd, o ile trudniejszy musi być w wypadku kogoś, komu brakuje zupełnie podobnej mocy poruszającej, i kogo pchają do działania impulsy nie silniejsze od zimnego, mechanicznego upodobania w regulacji?

Nie może konfiskować – nie może nawet zacząć konfiskować. Dlatego też, w najlepszym wypadku, zacznie „wykupywać” kapitalistę.

A jednak, w tym wypadku – podobnie jak w wypadku socjalisty o bardziej ludzkim sercu – „wykup” jest to system, jak pokażę na odpowiednim miejscu, którego nie da się powszechnie zastosować.

Wszystkie wszakże inne rzeczy, o które człowiek ów dba znacznie bardziej, niż o nacjonalizację środków produkcji – tabulacja, szczegółowy nadzór administracyjny nad ludnością, planowa koordynacja wielu przedsięwzięć, eliminacja wszelkiej prywatnej mocy sprzeciwu wobec decyzji jego ministerstwa – wszystko to można osiągnąć od zaraz, nie zaburzając przy tym obecnego

układy społecznego. W jego przypadku, podobnie jak w przypadku pierwszego typu socjalisty, wszystko czego pragnie wykonać można bez wywłaszczenia posiadających. Wystarczy, że wprowadzi system rejestracji dla proletariatu; potem zastosuje takie regulacje, by proletariat nie miał już wolności, posiadacz zaś – przy okazji robienia użytku ze swojej – nie mógł już narażać swoich pracowników na nędzę czy niestabilność życiową – i wszyscy zadowoleni. Wprowadźmy takie prawa, by zabezpieczenie proletariatu w kwestiach mieszkań, wyżywienia, odzieży i rekreacji stanowiło obowiązek klasy posiadającej, tych zaś, którym socjalista udaje, że chce pomóc, zmuśmy do przestrzegania odpowiednich reguł systemem kar i inspekcji – i wszystko, na czym mu zależy, stanie się faktem.

Człowiek ów, ściśle mówiąc, nie „dryfuje" wcale w kierunku państwa kolektywistycznego, ale raczej widzi je jako znośną alternatywę dla pierwotnego projektu idealnego, którą to alternatywę jest nader skłonny przyjąć i generalnie bardzo mu się one podoba. Już teraz przecież większość reformatorów, którzy w poprzednim pokoleniu nazywaliby siebie „socjalistami", mniej dba o jakikolwiek praktyczny projekt „socjalizacji" ziemi i kapitału, niż o niezliczone ilości istniejących już realnie projektów, z których pewne weszły już do naszego systemu prawnego, regulacji życia proletariatu, „zarządzania" nim i dyscyplinowania go bez ograniczenia choćby o cal przywilejów, jakimi cieszy się obecnie w kwestii własności narzędzi, zasobów i ziemi wąska klasa kapitalistyczna.

Tego rodzaju tak zwany „socjalista" nie wpadł w sidła państwa niewolniczego przez niewinny błąd w kalkulacjach. Jest on dla tego państwa ojcem; cieszy się na jego narodziny, widzi, że przyszłość ta należy do niego.

Tyle na temat ruchu socjalistycznego, który pokolenie temu obiecywał przekształcić nasze kapitalistyczne społeczeństwo w ustrój, w którym jedynym posiadaczem będzie społeczność jako taka – wszystkie jednostki zaś cieszyć się będą pod jej kuratelą równym stopniem gospodarczej wolności – lub niewoli. Dziś ideał ów upadł – i z dwóch źródeł, z których ruch socjalistyczny czerpał energię do działania, jedno niechętnie, a drugie z wielką radością, ale oba równie realistycznie witają nadejście nowej formy społecznej – nie socjalistycznej, a niewolniczej.

(2) O reformatorze *praktycznym*:

Istnieje inny typ reformatora: taki, który szczyci się niezmiernie dokładnie tym, że *nie* jest socjalistą, i ten właśnie odgrywa dzisiaj najistotniejszą rolę. On również pracuje ciężko na rzecz ustanowienia państwa niewolniczego. Ów drugi czynnik zmiany to tak zwany „człowiek praktyczny"

i głupcowi temu, ze względu na liczność jego gatunku i decydujący wpływ, jaki wywiera na szczegóły stanowienia prawa, musimy przyjrzeć się z wielką uwagą.

Gdy słyszymy rzeczy takie jak: „Cokolwiek mogliby sądzić o tym projekcie ustawy (który popieram) twoi ulubieni teoretycy i doktrynerzy, i choć ze względu na ten lub inny dogmat, który jest ci szczególnie drogi, abstrakcyjnie możesz się z nim nie zgadzać, to musisz przyznać jedno: w *praktyce* to się bardzo sprawdza. Gdybyś *praktycznie* doświadczył kiedyś tej biedy, w której żyje rodzina Jonesów, gdybyś samemu wykonał jakąś *praktyczną* pracę w mieście Pudsey, zobaczyłbyś, że ludzie *praktyczni*" i tak dalej, możemy mieć pewność, że mamy do czynienia z człowiekiem praktycznym.

Nietrudno zorientować się, że człowiek praktyczny to w dziedzinie reformy społecznej dokładnie takie samo zwierzę, jak w każdej innej dziedzinie ludzkiej aktywności, cierpiące – jak się zawsze niezmiernie łatwo okazuje – ze względu na dwa upośledzenia, nieomylnie charakteryzujące człowieka praktycznego wszędzie tam, gdzie się tylko pojawi: owe dwa upośledzenia to niezdolność do zdefiniowania swych pierwszych zasad oraz zachowania konsekwencji w działaniu. Obydwa te upośledzenia wynikają zaś z jednej prostej i żałosnej formy niedołęstwa: niezdolności do myślenia.

Wspomóżmy zatem człowieka praktycznego w jego słabości i pomyślmy nieco za niego.

Jako reformator społeczny ma on, rzecz jasna (choć o tym nie wie), pewien zbiór pierwszych zasad i dogmatów, jak wszyscy inni spośród nas i *jego* pierwsze zasady i dogmaty są zresztą dokładnie identyczne jak te, które wyznają w kwestii reformy społecznej ludzie stojący od niego wyżej intelektualnie. Dwie rzeczy, które jako przyzwoitemu obywatelowi (choć bardzo głupiej istocie ludzkiej) wydają mu się nie do zaakceptowania, to *brak środków do życia i brak bezpieczeństwa życiowego*. Gdy „pracował" w slumsach Pudsey czy też szturmował proletariacką klitką Jonesów z bezpiecznego przyczółka hali Toynbee[15], tym, co zszokowało tę wartościową jednostkę było przede wszystkim „bezrobocie" i „nędza"; to jest, brak środków do życia i brak bezpieczeństwa życiowego w całej okazałości.

Teraz: jeżeli socjalista, człowiek świadomy swojej sprawy – niezależnie, czy zwykły organizator z zamiłowania, czy ktoś, kto rzeczywiście łaknie i pragnie sprawiedliwości – daje się odciągnąć od

15 Duży budynek w Londynie, centrum akcji społecznej mającej prowadzić do „integracji" ubogich i bogatych (czyli ten sam nonsens, co dzisiaj). Nazwa pochodzi od imienia Alfreda Toynbee (1852-83), angielskiego historyka i działacza społecznego; nadano ją – rzecz jasna – ku pamięci (budynek wzniesiono rok po jego śmierci).

państwa kolektywistycznego w kierunku niewolniczego ze względu na siłę oddziaływania trendów społecznych nowoczesnej Anglii, o ile bardziej człowiek praktyczny – osioł na oślej łączce? Dla tych ociemniałych i krótkowidzących oczu szybkie rozwiązanie problemów, jakie państwo niewolnicze oferuje nawet w początkowej fazie swojego rozwoju, to coś takiego, jak równia pochyła dla bryły bezmózgiej materii. Bryła bezmózgiej materii toczy się swobodnie po równi pochyłej – i człowiek praktyczny turla się z kapitalizmu w państwo niewolnicze z podobną beztroską (w jego wypadku zresztą nieuniknioną). Jones nie ma na życie. Jeśli da się mu coś w akcie miłosierdzia, to „coś" szybko się skończy i Jones znów nie będzie miał na życie. Jones od siedmiu miesięcy nie może znaleźć pracy. Jeśli załatwi mu się takową „w warunkach naszego zdezorganizowanego i marnotrawczego systemu itd." straci ją tak szybko, jak poprzednie. Ludzie ze slumsów Pudsey, jak człowiek praktyczny dobrze wie – częstokroć z doświadczenia – są „niezatrudnialni". Prócz tego, są jeszcze „katastrofalne skutki picia": i więcej – jeszcze gorsze skutki owego straszliwego obyczaju ludzkości, jakim jest zakładanie rodzin i rodzenie dzieci. Nasza piękna dusza stwierdza zatem: „Fakty są takie: ci ludzie nie będą pracować, o ile się ich do tego nie zmusi".

Nie znajduje on – ponieważ nie potrafi – dla tych wszystkich rzeczy wspólnego mianownika. Nie ma pojęcia o społeczeństwie, w którym niegdyś wszyscy wolni ludzie byli właścicielami, ani o korporacyjnych i instynktownie formowanych instytucjach, które społeczeństwo takie spontanicznie wydaje z siebie celem ochrony podziału własności. „Przyjmuje świat taki jakim jest" – i w konsekwencji, podczas gdy inni reformatorzy akceptują zazwyczaj – z większym lub mniejszym wahaniem – ogólne zasady niewolniczej organizacji społecznej, *on*, człowiek praktyczny, autentycznie rozkoszuje się każdym najmniejszym detalem tego nowego ładu. I stopniowe zniesienie wolności (choć on sam nie dostrzega wcale, że to zniesienie wolności) wydaje mu się panaceum tak wspaniałym i tak oczywistym, że nie potrafi nadziwić się, dlaczego przeróżnym „doktrynerom" proces ten wydaje się podejrzany, albo wręcz zły.

Zmarnowałem na tę pożałowania godną jednostkę bardzo dużo czasu – ale to konieczne, ponieważ ogólny charakter naszego pokolenia sprawia, że dysponuje ona wielką władzą. Zasady współczesnego handlu zapewniają takiemu człowiekowi ogromną przewagę życiową. W żadnym wcześniejszym społeczeństwie obywatel tego typu nie miał tak wielkich bogactw i nie był tak ważnym czynnikiem życia politycznego. O historii i jej cennych naukach; o wielkich doktrynach filozoficznych i religijnych, o naturze ludzkiej jako takiej – nie wie nic, i nic nie chce wiedzieć.

Człowiek praktyczny, zostawiony samemu sobie, nie zbudowałby państwa niewolniczego. To ledwie sojusznik, względnie skrzydło znaczniejszych sił, którym się nie przeciwstawia, i konkretnych osób, zdolnych i przygotowanych do przeprowadzenia szerokiej zmiany, które posługują się nim instrumentalnie, choć z pewną dozą wdzięczności (wymieszaną z pewną dozą pogardy). Gdyby podobnych osobników nie było dziś w Anglii aż tak wiele i nie dysponowali oni – w nadzwyczajnych warunkach ekonomicznych kapitalizmu – tak wielką potęgą gospodarczą, zupełnie bym ich pominął. Jest wszakże jak jest – choć możemy pocieszać się, że nadejście państwa niewolniczego, z jego przemożną organizacją, wymagającą od rządzących niezwykłej jasności myśli, z konieczności wyeliminuje tego pana z życia społecznego.

Nasi reformatorzy zatem, zarówno ci, którzy myślą, jak i ci, którzy nie myślą, zarówno ci, którzy mają świadomość tego procesu, jak i ci, którzy jej nie mają, ciężko pracują na rzecz ustanowienia państwa niewolniczego.

(3) A co z czynnikiem trzecim? Co z ludźmi, którzy mają zostać objęci reformą? Co z owymi milionami, na zwłokach których pracują reformatorzy, i które mają stać się przedmiotem ich wielkiego eksperymentu? Czy jako materiał są oni bardziej skłonni zaakceptować czy odrzucić perspektywę przejścia z wolności proletaryzmu w stan jawnego poddaństwa, stanowiącą przedmiot niniejszej książki?

Rozstrzygnięcie tej kwestii to sprawa niezmiernej wagi, ponieważ od tego, czy dany materiał jest odpowiedni do wykonania zamierzonego dzieła, czy nie, zależy sukces bądź fiasko wszystkich eksperymentów z państwem niewolniczym.

Masy ludzkie mają w państwie kapitalistycznym status proletariacki. Tytułem definicji, warto dodać, że faktyczna liczba proletariuszy i jej proporcja do całkowitej liczby rodzin w danym państwie może się wahać, ale abyśmy mogli nazwać jakieś państwo kapitalistycznym musi być ona na tyle duża, by w zasadniczy sposób ważyć na jego naturze.

Niemniej, jak już zauważyliśmy, państwo kapitalistyczne nie stanowi stabilnej – a zatem trwałej – formy społecznej. Historia dowiodła jego efemeryczności; i z samego tego faktu proletariat każdego państwa kapitalistycznego zachowuje jeszcze – w mniejszym lub większym stopniu – pewną pamięć o czasach, w których przodkowie jego dysponowali własnością środków produkcji i cieszyli się wolnością gospodarczą.

Siła owej pamięci czy tradycji to pierwszy element, który musimy wziąć pod uwagę rozważając nasz problem, gdy staramy się ustalić, w jakim stopniu proletariat – na przykład proletariat angielski – gotów jest zgodzić się na ustanowienie państwa niewolniczego, w którym straciłby ostatecznie wszelkie resztki własności, a zatem i wszystkie nawyki prawdziwie wolnego człowieka, jakim pozwala się ona stać.

Kolejno, zważmy, że w warunkach powszechnej wolności co bardziej przebiegli proletariusze mogą przebić się do klasy kapitalistycznej. Pierwotnie, tego typu przepływ w pierwszej fazie kapitalizmu stanowił rzecz na tyle częstą, że miał charakter stały i wydatnie przemawiał do wyobraźni ogółu. Wciąż może się dokonywać. Proporcja grupy podobnych szczęśliwców do całości klasy proletariackiej i to, jak oceniać może swoje szanse na wyrwanie się z proletariackiej egzystencji każdy indywidualny proletariusz w obecnej fazie rozwoju kapitalizmu, to drugi istotny składnik problemu.

Składnik trzeci, zdecydowanie najistotniejszy, to stopień, w jakim wywłaszczone masy spragnione są wystarczalności i bezpieczeństwa, których kapitalizm – ze względu na swój nieodzowny element wolności politycznej – zupełnie ich pozbawił.

Rozważmy teraz wzajemne oddziaływanie tych trzech czynników w życiu i mentalności proletariatu angielskiego – takiego, jakim znamy go obecnie. Proletariat bezsprzecznie stanowi znaczną większość społeczną: około 95% populacji – jeśli nie brać pod uwagę Irlandii, gdzie – jak powiem o tym jeszcze kilka słów na ostatnich stronach – reakcja przeciwko kapitalizmowi, a zatem także i przeciwko ewolucji kapitalizmu w państwo niewolnicze, już zdołała osiągnąć sukces.

Czynnik pierwszy zmienia się w pamięci obecnego pokolenia bardzo dynamicznie. Angielscy ubodzy wciąż pamiętają jeszcze tradycyjne prawo własności. Czują wszystkie konotacje moralne, jakie z niego wynikają. Wiedzą, że kradzież jest złem; desperacko czepiają się każdego strzępu własności, jaki tylko mogą zdobyć. Wszyscy oni mogliby bez problem wyjaśnić, co to znaczy „posiadać coś", „dziedzictwo", „wymiana", „darowizna", nawet „kontrakt". Nie ma jednego, który nie potrafiłby postawić się mentalnie w sytuacji właściciela.

Niemniej, rzeczywiste doświadczenie posiadania, i skutek, jaki doświadczenie owo wywiera na ludzki charakter oraz pogląd na państwo, to zupełnie inne rzeczy. Pamięć obecnego pokolenia obejmuje czasy, w których ilość autentycznych właścicieli (drobnych rolników, majstrów i tak dalej) była na tyle duża, by sprawiać na mentalności ogółu bardzo duże wrażenie. Co więcej, istniała żywa

tradycja, głoszona ustami tych, którzy wciąż mogli dawać żywe świadectwo o reliktach lepszych czasów. Gdy byłem chłopcem, sam miałem okazję rozmawiać ze starymi robotnikami z okolic Oksfordu, którzy w latach młodości ryzykowali głową protestując przeciwko ogrodzeniu pewnych gruntów wspólnych, i – rzecz jasna – zostali w nagrodę za swe męstwo skazani przez jakiegoś bogatego sędziego na karę więzienia; rozmawiałem w Lancashire z grupą staruszków, którzy potrafili dokładnie opisać mi – albo, z własnego doświadczenia, ostatnie podrygi systemu drobnego kapitału w branży tekstylnej – albo, na podstawie opowieści swych ojców, czasy, w których zdrowy podział własności krosien domowych był czymś zupełnie normalnym.

To wszystko wszakże minęło. Ostatnia faza tej zmiany zaskakuje dynamizmem. Bardzo ogólnie mówiąc, pokolenie wzrastające w warunkach wyznaczonych przez ustawy edukacyjne [16] ostatnich czterdziestu lat weszło w dorosłość kompletnie i beznadzieje sproletaryzowane. Omawiany tu instynkt posiadania, pożytek i znaczenie własności prywatnej, to dla niego sprawy kompletnie stracone: i fakt ten ma dwa niezmiernie poważne skutki, z których każdy popycha naszych współczesnych najmitów do lekceważenia starych granic między niewolnictwem a wolnością. Pierwszy skutek przedstawia się następująco: że własność nie stanowi już ich celu życiowego, ani zdobycie jej nie wydaje im się realną perspektywą. Drugi: że w związku z tym uznają właścicieli za osobną klasę, której mogą zazdrościć, której czasami mogą nienawidzić, ale której zawsze winni są – w ostatecznym rozrachunku – posłuszeństwo; której prawa moralnego do tej wyjątkowej pozycji społecznej większość z nich raczej by nie uznała, które to prawo obecnie wielu z nich z gniewem neguje, ale mimo wszystko pozycja ta stanowi dla nich wszystkich pewien uznany i trwały fakt społeczny, którego genezy już nie pamiętają, i który uważają za coś odwiecznego.

Podsumowując: nastawienie, wykazywane dzisiaj przez proletariat angielski (a zatem przytłaczającą większość angielskich rodzin) w stosunku do własności i wolności, której jedynym źródłem jest i może być tylko własność, nie stanowi już ani kwestii doświadczenia, ani kwestii nadziei.

16 Wydawane od 1870 roku ustawy przygotowujące w Wielkiej Brytanii to, co my nazwalibyśmy „edukacją powszechną". Zaczęło się od przygotowania poziomu podstawowego, potem zajęto się stopniami wyższymi. Obecnie ustawy te przedstawia się jako dowód postępu i odpowiedzialności, jednak wielu angielskich liberałów (faktycznie tzw. „radykałów") krytykowało je (podobnie jak tak miażdżone przez Artura Penty'ego ustawy o „minimum narodowym") za przymus, brak wrażliwości na uwarunkowania lokalne oraz zbytnie wzmocnienie pozycji Kościoła Anglii kosztem wyznań dysydenckich (co osiągnęło apogeum w roku 1902, gdy szkoły anglikańskie zaczęto finansować z funduszy państwowych, jawnie upośledzając [i w wielu wypadkach faktycznie niszcząc] szkoły dysydenckie; akt z 1902 stał się zresztą przyczyną krótkiego, ale jednak rzeczywistego i – przede wszystkim – gigantycznego spadku poparcia dla Partii Konserwatywnej).

Proletariusz myśli o sobie jako o najmicie. Podwyżka tygodniówki najmity jest zatem zasadniczym celem, który do niego przemawia i który za wszelką cenę stara się osiągnąć. Gdyby ktoś zaoferował się uwolnić go od statusu najmity, wydałoby się mu to czymś kompletnie oderwanym od rzeczywistości.

A co z drugim czynnikiem, ową maleńką szansą na wyrwanie się z proletaryzmu, jaką ze względu na konieczny składnik wolności politycznej, teoretyczne prawo do wolności umowy i tak dalej, z konieczności daje proletariuszowi system kapitalistyczny?

O owej maleńkiej szansie i wpływie, jaki wywiera na wyobraźnię ogółu, możemy powiedzieć tyle, że choć nie zniknęła, to w ciągu ostatnich czterdziestu lat bardzo straciła na znaczeniu. Często spotyka się ludzi, którzy mówią – niezależnie, czy broniąc kapitalizmu, czy go atakując – że system ów czyni proletariusza ślepym na wspólną świadomość klasową, stawiając mu przed oczy różne przykłady osób, często znanych mu osobiście, które przebiły się jakoś (zazwyczaj dzięki przeróżnym formom niegodziwości) do klasy kapitalistycznej. Ale jeśli pójdzie się między robotników osobiście, niechybnie przekonać się można, że nadzieja na taką zmianę to dla nich rzecz ogromnie abstrakcyjna. Miliony ludzi pracujące w różnych gałęziach przemysłu – szczególnie w przemyśle transportowym i górniczym – kompletnie porzuciła marzenia o tym awansie. I choć szansa zawsze była po prostu mikroskopijna – i zawsze wyolbrzymiana, jak to wszelkie ludzkie nadzieje na loterii – obecnie w ogólnej opinii robotniczej stała się zwyczajnie żadna, a naturalne uniesienie, jakie budzi w człowieku gra o wielkie pieniądze, zupełnie zagasło. Proletariusz patrzy dziś na siebie jako na proletariusza *par excellence,* któremu nigdy nie przyjdzie żyć w warunkach innych, niż proletariackie.

Te dwa czynniki zatem, pamięć o starszych warunkach wolności gospodarczej oraz nadzieja, jaką poszczególne jednostki mogą żywić na wyrwanie się z egzystencji najmity, dwa czynniki, które w innych warunkach mogłyby stanowić najpotężniejsze punkty *oporu* wobec państwa niewolniczego, tak bardzo straciły na wartości, że nie potrafią w żaden sposób przeciwdziałać wpływowi trzeciego czynnika, który walnie przyczynić się może do *zgody* na państwo niewolnicze: koniecznej dla każdego człowieka potrzeby osiągnięcia wystarczalności i bezpieczeństwa życiowego. I to właśnie ów trzeci czynnik, jako jedyny, trzeba nam dzisiaj niezbędnie poddać dogłębnej analizie, jeśli naprawdę chcemy zbadać do jakiego stopnia materiał reformy społecznej – to jest lud – skłonny będzie zaakceptować nowe warunki.

Problem można sformułować na wiele sposobów; sformułuję go, jak mi się wydaje, możliwie najkonkretniej.

Gdybyśmy zwrócili się do owych milionów angielskich rodzin, obecnie pracujących za wynagrodzenie i zaproponowali im kontrakt, który wiązałby ich z miejscem pracy na cale życie, ale dawał gwarancję zatrudnienia za stawki, które każdy proletariusz uważałby za normalną, przyzwoitą pensję – ile by odmówiło?

Podobna umowa wiązałaby się, rzecz jasna, z utratą wolności: tego typu umowa na całe życie to, gwoli ścisłości, żadna umowa. To prosta negacja instytucji umowy i afirmacja instytucji statusu. Obarczałaby człowieka, który ją podpisał przymusem pracy – logicznie i nieodłącznie towarzyszącym jego zdolności do pracy. Oznaczałaby wieczyste zrzeczenie się prawa (jeśli takie prawo istnieje) do nadwartości z własnej pracy. Jeśli zapytamy, ilu ludzi, czy raczej ile rodzin wolałoby wolność (z nieodłącznie związanym z nią pewnym stopniem niepewności, i możliwą niewystarczalnością życiową) od tak skonstruowanego kontraktu, nikt nie będzie mógł zaprzeczyć, że odpowiedź brzmiałaby: „Bardzo niewiele". Oto właśnie klucz do rzeczy.

Jaka dokładnie część by odmówiła nie można po ludzku ustalić; twierdzę wszakże, że nawet w charakterze zwykłej oferty – nie prawnego nakazu – kontrakt tego rodzaju, kontrakt, który na dłuższą metę zniósłby instytucję kontraktu i przywrócił instytucję stałego statusu, większości proletariatu wydawałby się dzisiaj prawdziwym błogosławieństwem.

Spójrzmy teraz na inny aspekt tej prawdy – bo spoglądając na nią najpierw z jednego, a potem z drugiego punktu widzenia, najlepiej możemy zrozumieć jej doniosłość – i zapytajmy: czego masy ludzkie boją się teraz – w państwie kapitalistycznym – najbardziej? Nie żadnej oficjalnej kary, określanej przez prawo, ale „wylania".

Moglibyśmy zapytać dowolnego pracownika, dlaczego nie protestuje przeciw takiej to a takiej niegodziwości, choć prawo jest po jego stronie; dlaczego pozwala swemu pracodawcy obarczać go grzywnami i potrąceniami, jasno zakazanymi przez ustawy anty-barterowe[17]; dlaczego nie może wyrazić swojej opinii w taki czy inny sposób; dlaczego zaakceptował, nie oddając, taką czy inną obelgę.

17 Oryg. *Truck Acts*, zespół ustaw angielskich z różnych lat (Belloc mówi o tej z 1896) zakazujący stosowania umów barterowych w zatrudnieniu. Umowa barterowa polega na tym, że pracownik otrzymywał równoważność swojej pensji w określonych towarach. *Witz w* tym, według opisów niezastąpionego Williama Cobbetta, może i ktoś go zna, że pracodawcy częstokroć określali cenę owych towarów znacznie wyżej dla pracowników, niż dla klientów, w związku

Kilka pokoleń temu, gdybyśmy spytali dowolnego mężczyznę, dlaczego w danej sytuacji nie zachował się jak mężczyzna, usłyszelibyśmy że przyczynę stanowiła obawa przed prawem; dziś – że obawa przed utratą pracy.

Prawo prywatne po raz drugi w naszej długiej europejskiej historii stało się zatem ważniejsze niż prawo publiczne i sankcje, które prywatny kapitalista może według prywatnej chęci egzekwować celem utrzymania swej prywatnej pozycji są znacznie bardziej skuteczne niż te, które może nałożyć na kogoś sąd publiczny.

W wieku siedemnastym, ludzie nie chodzili na mszę, bo bali się procesu. Dzisiaj ludzie boją się powiedzieć kilka słów na obronę jakieś teorii społecznej, którą uważają za sprawiedliwą i prawdziwą, ze strachu przed karą ze strony pana. Sprzeciw wobec władzy publicznej oznaczał niegdyś publiczny wyrok, którego większość bardzo się bała – choć zdarzały się wyjątki. Sprzeciw wobec władzy prywatnej oznacza zaś dzisiaj wyrok prywatny, którego boją się właściwie wszyscy – i wyjątki prawie się nie zdarzają.

Spójrzmy na problem z jeszcze innej perspektywy. Przyjmuje się prawo (załóżmy), zwiększając całkowity przychód współczesnego najmity, albo zabezpieczające go częściowo przed wrodzoną niestabilnością jego położenia. Stosowanie tego prawa wymaga z jednej strony ścisłego monitorowania sytuacji życiowej tego człowieka przez urzędników publicznych, a z drugiej wywiązywania się z wynikających z niej zobowiązań przez każdego konkretnego kapitalistę czy grupę kapitalistów, którzy bogacą się dzięki jego pracy. Czy niewolnicze warunki życia, jakie łączą się z tą materialną korzyścią, skłonią dziś angielskiego proletariusza do wyrzeczenia się jej w imię wolności? Wiadomo przecież aż za dobrze, że nie.

Nieważne, z jakiego punktu widzenia rozpatrywalibyśmy tę sprawę, prawda jest zawsze niezmienna. Wielka masa najmitów, podstawa naszego życia społecznego, uważa za swoje dobro wszystko to, co przyczyni się nieco do podwyżki jej wynagrodzeń oraz zmniejszy nieustannie wiszącą nad nimi groźbę nędzy. Rozumieją to dobro, bardzo go oczekują i z wielką chęcią zapłaciliby za nie każdą cenę w postaci kontroli i dyscypliny sprawowanej nad nimi – i to coraz ściślej – przez tych, którzy im płacą.

---

z czym faktycznie oszukiwali i pracownicy dostawali czasem śmiesznie mało. Problem, jak widać, był tak duży, że należało interweniować prawnie.

Łatwo byłoby uciec z rozmowy o sprawach fundamentalnych w rozmowę o sprawach powierzchownych, albo nawet zastępując pewne utarte zwroty i sformułowania zestawem nowych zwrotów i sformułowań – łatwo byłoby, jak mniemam, przy pomocy podobnych metod ośmieszyć lub zanegować kluczowe prawdy, o których tu piszę. Prawdy te jednak pozostaną prawdami.

Zastąpmy zatem w naszych nowych prawach słowo „pracownik" słowem „kmieć", a nawet – przecież to naprawdę nic wielkiego – termin „pracodawca" tradycyjnym terminem „pan" i same puste słowa okażą się być może zdolne do wzniecenia rewolucji. Zróbmy z Anglii współczesnej państwo niewolnicze w pełnej krasie, a rewolucja wybuchnie na pewno. Chodzi mi jednak wszakże dokładnie o to, że gdy kładzie się fundament tej zmiany i czyni pierwsze kroki, żadna rewolucja nie następuje; przeciwnie, ubodzy zazwyczaj w pełni to popierają i czują do rządzących niemałą wdzięczność. Po długich latach okropieństw, jakie generuje wolność pozbawiona własności, stają nareszcie przed bardzo realną perspektywą, że – rezygnując z czysto oficjalnego statusu wolnych ludzi – *będą mieli na życie i* tego przynajmniej *nikt im nie odbierze.*

Wszystkie siły społeczne zatem pracują teraz – w ostatniej fazie rozwoju naszego złego społeczeństwa angielskiego kapitalizmu – na rzecz ustanowienia państwa niewolniczego. Godziwy reformator musi zaakceptować je chcąc nie chcąc; niegodziwy dostrzega w nim faktycznie lustrzane odbicie swego ideału; stada ludzi „praktycznych" na każdym etapie jego budowy rozpoznają z wielką radością pewne „praktyczne" działania, których się spodziewali i których się domagali; proletariackie masy zaś, przedmiot tego eksperymentu, dawno już straciły wszelkie tradycje własności i wolności, które mogłyby stać się czynnikiem oporu, i patrzą na tę transformację coraz bardziej życzliwie ze względu na realne korzyści, jakie z niej dla nich wypłyną.

Można powiedzieć, że jakkolwiek byłoby to wszystko prawdziwe, nie da się – na gruncie czysto teoretycznym – jednoznacznie stwierdzić, że państwo niewolnicze rzeczywiście jest coraz bliżej. Nie musimy dawać wiary tym przepowiedniom (jak się nam mówi), dopóki na własne oczy nie zobaczymy pierwszych symptomów jego istnienia.

Na to odpowiadam, że pierwsze symptomy są obecnie aż nadto widoczne. Państwo niewolnicze to, w przemysłowej Anglii naszych dni, nie tyle groźba, co fakt. Jest w trakcie budowy. Plan ogólny już nakreślono; położono kamień węgielny.

Aby unaocznić prawdziwość tego twierdzenia, wystarczy rozważyć nasze prawa, czy projekty praw, z których pierwsze już musimy znosić, drugie zaś, przejdą z fazy projektu w fazę przepisu w bardzo niedługim czasie.

DODATEK: O METODZIE „WYKUPU”

Tym, którzy głoszą konieczność wywłaszczenia kapitalistów dla dobra państwowego, dostrzegając jednak przy tym problemy łączące się z procedurą bezpośredniej konfiskaty, powszechnie wydaje się, że rozłożenie tego procesu na odpowiednią liczbę lat i przeprowadzenie go odpowiednimi metodami, noszącymi wszelkie zewnętrzne znamiona wymiany, pozwoli dokonać owego wywłaszczenia bez prokurowania rzeczonych problemów łączących się z procedurą bezpośredniej konfiskaty. Innymi słowy – wydaje im się, że państwo może „wykupić” klasę kapitalistyczną tak, żeby o tym nie wiedziała, i że w ten właśnie, całkiem bezbolesny i cudowny sposób, da się wyczarować świat, w którym jej nie będzie.

Niestety, większość wyznawców tego średnio logicznego przekonania uważa je za swoje szczególne osiągnięcie i za nic nie chce poddać go rzeczowym analizom.

Żadne sztuczki nie pozwolą „wykupić” wszystkich środków produkcji bez konfiskaty.

By to udowodnić, zastanówmy się nad konkretnym wypadkiem, dzięki któremu można postawić problem w najprostszy możliwy sposób:

Społeczność złożona z dwudziestu dwóch rodzin żyje z tego, co urodzi się na dwóch gospodarstwach, stanowiących własność ledwie dwóch rodzin spośród tych dwudziestu dwóch.

Pozostałe dwadzieścia zatem, to „proletariusze”. Dwie rodziny, z zespołem swych pługów, zasobów kapitału, ziemią itd., to „kapitaliści”.

Praca rodzin proletariackich zastosowana do ziemi i kapitału rodzin kapitalistycznych daje 300 miar pszenicy, z czego 200 – czyli 10 na głowę – stanowi roczne utrzymanie pracowników; pozostałe 100 miar to nadwartość pozyskiwana w formie czynszu, odsetek i profitów przez dwie rodziny kapitalistyczne, tak że roczny dochód każdej z osobna wynosi 50 miar.

Na scenę wchodzi państwo i proponuje urządzić rzecz w taki sposób, by nadwartość nie trafiała już w ręce dwóch rodzin kapitalistycznych, lecz była rozdzielana między całą społeczność, ono zaś, to jest państwo, stało się szczęśliwym posiadaczem obydwu gospodarstw.

Otóż, kapitał gromadzi się po to, by się w jakiś sposób zwrócił. Zamiast wydawać, człowiek oszczędza – licząc, że skutkiem tego oszczędzania zapewni sobie pewien roczny dochód. W konkretnym społeczeństwie konkretnego czasu, wysokość tego dochodu nie spada poniżej pewnego względnie stałego poziomu. Innymi słowy: jeśli oszczędzanie nie zwraca pewnego określonego minimum, ludzie będą wydawać.

To, co w ekonomii nazywa się „prawem malejących przychodów", sprowadza się do obserwacji, że stały przyrost kapitału i brak równoległych zmian w innych czynnikach (to jest, pozostawieniem metod produkcji na tym samym poziomie), nie generuje proporcjonalnego zwiększenia dochodów. Zastosowanie tysiąca miar kapitału do sił naturalnych jakiegoś danego obszaru przyniesie, na przykład 40 miar rocznie – czyli 4% procent zysku; ale zastosowanie dwóch tysięcy w dokładnie ten sam sposób, nie przyniesie 80. Oczywiście i tak przyniesie więcej, niż zastosowanie tysiąca, ale nie w takiej samej proporcji; nie *dwa razy* więcej. 60 miar, powiedzmy, 3% zysku. Owa uniwersalnie obowiązująca zasada automatycznie niejako wstrzymuje akumulację kapitału w momencie, w którym osiągnie on poziom generujący minimum zysków, na które przeciętny człowiek może się zgodzić. Jeśli zyski spadną poniżej tego poziomu, człowiek taki prawdopodobnie przestanie oszczędzać, a zacznie wydawać. Poziom owego minimum w każdym konkretnym społeczeństwie determinuje to, co określa się mianem *„skutecznej pobudki do akumulacji"* (S.P.A.). We współczesnej Anglii to nieco ponad 3%. Minimum ograniczające przyrost kapitału to zatem minimum około jednej trzydziestej zysku w skali roku – i tę właśnie wielkość możemy, gwoli zwięzłości, nazwać S.P.A. naszego obecnego społeczeństwa.

Kiedy zatem kapitalista ocenia realną wartość swego majątku, liczy ją w „rocznych stopach zwrotu"[*]. To zaś oznacza, że gotów jest odstąpić swoją własność za ryczałt o wartości stanowiącej

[*] Ze względu na jedną ze współczesnych iluzji, którą biegły polityk może skutecznie wykorzystać dla dobra całej wspólnoty, kapitalista wylicza wartość sił natury, które wchodzą w zakres jego majątku (i które nie wymagają akumulacji, tylko są zawsze obecne) analogicznie do wartości kapitału, i gotów jest rozstać się z nimi za „taki to a ataki iloczyn rocznej stopy zwrotu". Dokładnie dzięki sprytnemu wykorzystaniu tego złudzenia, projekty wykupu ziemi (jak choćby w Irlandii) sprawdzają się tak dobrze i przynoszą ubogim tak wielkie korzyści.

określony iloczyn wartości rocznego zysku, na który obecnie może liczyć. Jeśli jego S.P.A. wynosi jedną trzydziestą, ustali wysokość ryczałtu na poziomie trzydziestokrotności tegoż rocznego zysku.

Jak dotąd wszystko dobrze. Załóżmy zatem, że S.P.A. dwóch kapitalistów z naszej przykładowej sytuacji wynosi właśnie jedną trzydziestą. A więc sprzedadzą swoją własność państwu pod warunkiem, że będzie ono w stanie zapłacić im trzydziestokrotność ich rocznej nadwyżki lub „przychodu", to jest 3000 miar pszenicy.

Rzecz jasna, państwa nie stać na coś podobnego. Zasoby pszenicy są w rękach kapitalistów i do tego ich wartość wynosi znacznie mniej, niż 3000 miar; wydaje się zatem, że mamy impas.

Jeśli wszakże kapitalista jest głupcem, to impasu nie ma. Państwo może zwrócić się do niego i zaproponować: „Odstąp swoje gospodarstwa, a będziemy wypłacać ci (i to jest oficjalne zobowiązanie) *więcej* niż 100 miar pszenicy na rok przez trzydzieści lat. Ściśle mówiąc, połowę więcej – dopóki łączna wartość tych dodatkowych wpłat nie osiągnie poziomu pierwotnej wartości twojego majątku".

Skąd się wziął ten dodatek? Z potężnego narzędzia akcji państwowej, jakim są podatki.

Państwo może opodatkować dochody kapitalisty A i kapitalisty B, i wypłacić im bonus z ich własnych pieniędzy.

Ten prosty przykład nie pozostawia złudzeń, że potencjalne ofiary natychmiast zorientowałyby się, na czym dokładnie mają polegać te „małe kroczki", i uruchomiłyby przeciwko nim dokładnie te same siły, jakie uruchomiłyby także przeciwko prostszej i bardziej jednoznacznej procedurze konfiskaty.

Mówi się jednak nieraz, że w skomplikowanych warunkach współczesnego życia społecznego, gdy chodzi o całe miriady kapitalistów i tysiące przeróżnych form zysku, proces ten da się zamaskować.

Istnieją dwie metody, którymi może posłużyć się państwo celem ukrycia swoich rzeczywistych zamiarów (realizując ten konkretny projekt, rzecz jasna). Może zatem wykupić po prostu na tyle małą ilość ziemi i kapitału, aby podwyżka podatków nie była konieczna – a potem kolejną, podobną, i kolejną, i kolejną, aż do przeprowadzenia całkowitej nacjonalizacji; albo może też obłożyć szczególnie wysokimi podatkami pewne określone gałęzie gospodarki, tak by reszta – nie chcąc ponosić

dodatkowych kosztów – pozwoliła im zbankrutować, a potem po prostu je wykupić za pieniądze z podatków powszechnych i nowych podatków specjalnych, szczególnie że wobec tak gwałtownej ofensywy ich wartość gwałtownie spadnie.

Drugi z tych podstępów wyjdzie na jaw bardzo szybko w każdych, nawet najbardziej złożonych warunkach społecznych; bo po wykupieniu w ten sposób jednej, nieszczególnie popularnej gałęzi gospodarki, każda próba przeprowadzenia tej samej procedury w wypadku gałęzi bardziej popularnych, w naturalny sposób zrodzi podejrzenia*.

Pierwsza metoda wszakże mogłaby mieć jakieś szanse powodzenia, przynajmniej w dłuższej perspektywie czasowej, szczególnie w społeczeństwie bardzo licznym i o bardzo złożonej strukturze, gdyby nie pewien problem, który zresztą sama prokuruje. Kapitalista bowiem bierze od państwa *więcej*, niż wyniosłaby jego roczna stopa zwrotu, dokładnie po to, by reinwestować zarobioną nadwyżkę.

Mam warte tysiąc funtów udziały w przedsiębiorstwie kolejowym z Brighton, które przynoszą mi rocznie 3% zysku: £30. Rząd proponuje mi wymianę tego świstka papieru na inny świstek papieru, gwarantujący mi roczną wypłatę £50 – to znaczy: stawki podstawowej ze znacznym dodatkiem – przez pewną określoną liczbę lat: tak, by spłacić moje akcje ze sporą górką. Powiedzmy, że na papierku rządowym liczba ta wynosi trzydzieści osiem. Oczywiście, natychmiast się zgadzam – ale nie dlatego, że jestem dość głupi by cieszyć się z perspektywy utraty majątku po trzydziestu ośmiu latach, ale dlatego, że mam nadzieję reinwestować dodatkowe £20 w coś, co przyniesie mi kolejne 3% rocznie. Tak też nie tylko zarobię na tej transakcji (dla siebie bądź moich dzieci) spore pieniądze, to jeszcze przez trzydzieści osiem lat nie stracę z wyjściowych £30 ani pensa.

Państwo rzeczywiście może prowadzić taki mały wykup, nie podnosząc podatków. Na małą skalę zatem i na krótką metę podstęp ów naprawdę ma szanse powodzenia. Niemniej, w momencie w którym akcja państwowa zatoczy choćby minimalnie zbyt duży krąg, „rynek inwestycji" zacznie się kurczyć, kapitał wpadnie w popłoch i państwo nie będzie już mogło oferować swoich papierowych gwarancji, chyba że oferując sporo większe pieniądze. Jeśli zaś spróbuje odwrócić sytuację podnosząc obciążenia podatkowe do poziomu uznawanego przez kapitał za „złodziejski", rozpocznie się dokładnie taka sama reakcja, jaka zaczęłaby się w wypadku prostego i bezpośredniego wywłaszczenia.

---

* Tak też można, na przykład, złupić w społeczeństwie pół-purytańskim przemysł browarniczy, bo wielu ludzi uważa browarnictwo za rzecz niemoralną, ale przejdźmy choćby do kolejnictwa, i będzie to wyglądać zupełnie inaczej.

To kwestia czystej arytmetyki i nawet najbardziej zaawansowana dywersja, zorganizowana z wykorzystaniem najbardziej skomplikowanej maszynerii tak zwanych „finansów", ani o jotę nie zmieni podstawowych zasad arytmetycznych jakie tutaj działają, podobnie jak mnożenie trójkątów na planie kartograficznym nie sprawi, że łączne wymiary kątów wewnętrznych któregokolwiek z nich, nawet największego, będą wynosić mniej niż 180 stopni*. Krótko mówiąc: *jeśli chce się konfiskować, trzeba konfiskować.*

Nie da się oszukać przeciwnika, jak oszukują prostszych spośród nas przeróżni finansiści i kanciarze naszej rasy, czy też przeprowadzić systematycznego wywłaszczenia opierając się wyłącznie na idiotycznym przekonaniu, że nagle i niespodziewanie coś powstanie z niczego i wszystko dobrze się skończy.

Istnieją natomiast, istotnie, dwie metody, którymi państwo mogłoby przeprowadzić wywłaszczenie kapitalistów nie budząc takich sprzeciwów, jakie koniecznie muszą pojawić się przy próbach konfiskaty. Niemniej, pierwsza z nich jest bardzo ryzykowna, a druga nieskuteczna.

Przedstawiają się one jak następuje:

(1) Państwo może obiecać kapitaliście zwiększenie jego dochodu rocznego jeśli uważa, że potrafi – to jest ono, państwo – poprowadzić jego interesy lepiej, niż on sam, albo że zdoła rozwinąć je w przyszłości na tyle, by wywiązać się ze zobowiązań. Innymi słowy, jeśli państwo zarobi na danym interesie więcej niż kapitalista, może wykupić go dokładnie tak, jak mógłby wykupić go każdy inny przedsiębiorca; może złożyć mu ofertę biznesową.

Druga strona medalu jest jednak taka, że jeśli państwo pomyli się w kalkulacjach, albo zabraknie mu szczęścia, w ostatecznym rozrachunku *wzmocni* klasę kapitalistyczną, zamiast stopniowo ją zlikwidować.

I tak, gdyby nasze państwo pięćdziesiąt lat temu zdecydowało się rozpocząć „socjalizację" kolei i obiecało właścicielom w zamian większe zyski, niewątpliwie odniosłoby pełny sukces. Gdyby wszakże w latach dziewięćdziesiątych zdecydowało się zsocjalizować transport dorożkarski, dzisiaj

* Uciekłszy się do tej metafory śpieszę bezzwłocznie złożyć najszczersze przeprosiny wszystkim wyznawcom wszechświata eliptycznego i hiperbolicznego. Przyznaję ze wstydem, że mówię z pozycji staromodnego parabolisty. Prócz tego: oczywiście, rzeczone trójkąty są sferyczne.

musiałoby bez końca i ze szkodą dla całej społeczności dopłacać do utrzymania dorożkarzy – rodzaju niezmiernie wartościowego, ale obecnie już na kompletnym wymarciu.

Druga metoda, dzięki której państwo mogłoby przeprowadzić wywłaszczenie bez konieczności uciekania się do konfiskaty polega na przyznawaniu wykupywanym kapitalistom dożywotniej renty. Państwo może powiedzieć kapitaliście: „Życie nie wieczność, £30 za grobem się nie przyda; a powiedz, nie chciałbyś przypadkiem odtąd aż do śmierci otrzymywać co roku dodatkowych £50?" Jeśli kapitalista zgodzi się na ten układ, państwo stanie się z czasem – choć nie od razu po śmierci rencisty – szczęśliwym posiadaczem jego udziału w środkach produkcji. Ale sfera gospodarki, w której można ową metodą zastosować, jest bardzo niewielka. Procedura ta nie stanowi zatem – sama w sobie – odpowiedniego narzędzia wywłaszczenia na jakąkolwiek szerszą skalę.

Nie muszę chyba dodawać, że w rzeczywistości podobne, tak zwane „socjalistyczne" metody konfiskaty naszego czasu nie mają z omawianym w niniejszej książce problemem żadnego związku. Państwu istotnie zdarza się konfiskować – to jest, nakładać na podatnika takie obciążenia, które miast ograniczać indywidualne zyski powodują raczej indywidualne zubożenie i odarcie z kapitału. Ale państwo nigdy nie inwestuje uzyskanych w ten sposób pieniędzy w środki produkcji. Albo przeznacza je do natychmiastowej konsumpcji, na przykład w formie pensji dla nowych urzędników, albo przekazuje w ręce innych kapitalistów*.

Ale podobne, praktyczne rozważania na temat sposobu, w jaki funkcjonują w naszym społeczeństwie tego typu „podobno socjalistyczne" eksperymenty, to temat raczej na następny rozdział, w którym zajmę się pierwszymi symptomami świadczącymi o tym, że państwo niewolnicze istnieje, a jego instytucje są wśród nas.

---

* Tak też pieniądze uzyskane w związku ze śmiercią jakiegoś średnio bogatego lorda, w formie – powiedzmy – argentyńskich lokomotyw, zamieniają się nagle – z wydaniem ustaw nietrzeźwościowych [ustawy z 1898 roku, wprowadzające możliwość przymusowego leczenia „notorycznie nietrzeźwych" – wyj. tłumacza] – w dwie mile parkanu na ogrodzenie dla ustronnych ogródków tysiąca nowych urzędników administracji, albo też idzie wprost do kieszeni udziałowców Prudentiala (ustawa ubezpieczeniowa [z 1911, wprowadzona przez rząd Lloyd George'a, lidera Partii Liberalnej; chodziło o ubezpieczenia zdrowotne dla robotników; w swoim czasie wywołała ogromne protesty – wyj. tłumacza]). W pierwszym wypadku, argentyńskie lokomotywy oddaje się na powrót Argentynie i po długiej serii transakcji wymienia ostatecznie na określoną ilość desek z rejonu Bałtyku – bogactwo niekoniecznie najbardziej produktywne. W drugim, lokomotywy rzeczonego lorda – lub też ich ekwiwalent – stają się środkiem produkcji w biznesie rodu Sassoonów.

Rozdział IX – Państwo niewolnicze nadeszło

W tym, ostatnim już rozdziale niniejszej książki zamierzam zająć się kwestią faktycznego przejawiania się państwa niewolniczego w niektórych spośród praw i projektów dobrze znanych obecnie Anglii przemysłowej. Oto właśnie – „prawa i projekty praw" – najbardziej bezsporne przykłady, dostarczające treści mojej tezie i jasno dowodzące, że nie opiera się ona na abstrakcyjnej dedukcji, ale konkretnej obserwacji świata.

Istnieją dwie formy tego typu dowodów, niepozostawiających żadnych wątpliwości: po pierwsze, prawa i projekty jawnie wprowadzające do proletariackiego bytu elementy niewolnictwa; po drugie fakt, że kapitalista, bynajmniej nie wywłaszczony przez nasze nowe „socjalistyczne" eksperymenta, staje się w swej roli społecznej coraz pewniejszy.

Zajmę się nimi w stosownym porządku – a zatem, najpierw pytam, jakie statuty czy projekty prawa jako pierwsze wprowadziły do naszego wspólnego życia elementy państwa niewolniczego.

Błędne pojęcie naszego przedmiotu mogłoby doprowadzić kogoś do upatrywania początków państwa niewolniczego w ograniczeniach nakładanych na pewne formy wytwórczości manufakturowej oraz związanych z nimi różnorakich opłatach, które kapitaliści zobowiązani zostali uiszczać z korzyścią dla robotników. Z tego zatem, błędnego i powierzchownego punktu widzenia, początek ów stanowiłyby prawa fabryczne[18], w takiej formie przynajmniej, jaką otrzymały w tym kraju. Nie mają one z tą kwestią nic wspólnego; i ten punkt widzenia naprawdę *jest* błędny i powierzchowny, ponieważ opiera się na niezrozumieniu spraw fundamentalnych. Tym bowiem, co wyróżnia państwo niewolnicze spośród innych typów państwowości, nie jest ingerencja prawa w działania jakiegokolwiek indywidualnego obywatela w obszarze produkcji przemysłowej. Podobna ingerencja może świadczyć o istnieniu w społeczeństwie statusu niewolniczego, a może o nim nie świadczyć. Na pewno jednak nie świadczy o jego istnieniu tylko z tego względu, że zabrania podejmowania pewnych działań obywatelom jako obywatelom.

18 Zespół ustaw regulujący zasady pracy w fabrykach, wydawany w latach 1802-1961 (sic!). Oczywiście, największą doniosłość dziejową mają pierwsze spośród nich. Belloc i GKC niezmiernie doceniali tę inicjatywę, przedsiębraną zazwyczaj przez bardzo odważnych ludzi przeciwko potężnym koalicjom różnorakich „lobby", istotnie przyczyniającą się do poprawy losów angielskiej klasy robotniczej.

Ustawodawca powie na przykład: „Wolno ci zrywać róże; ale ponieważ zaobserwowałem, że zdarza ci się podczas tej czynności skaleczyć się w palec, wsadzę cię do więzienia o ile nie będziesz ścinał ich nożyczkami o długości przynajmniej 122 milimetrów i wyznaczę tysiąc nowych inspektorów by przeczesywali kraj w poszukiwaniu nadużyć. Szefem nowego urzędu zostanie mój szwagier, człowiek pełen poświęcenia, gotów pracować za marne £2.000 w skali roku"[19].

Wszyscy znamy ten typ ustawodawstwa. Wszyscy znamy argumenty, przy użyciu których broni się go lub atakuje, bo w każdym wypadku są mniej-więcej takie same. Zależnie od temperamentu, możemy widzieć to zjawisko jako uciążliwe, daremne, korzystne, czy w jakimkolwiek innym świetle. Nie podpada wszakże ono na pewno pod kategorię legislacji niewolniczej, ponieważ nie dzieli obywateli na dwie odrębne klasy i nie wprowadza żadnych oficjalnych rozróżnień związanych z kryterium dochodu, czy pracy fizycznej.

Jest to prawdziwe nawet w wypadku regulacji zobowiązujących np. zakład tkacki do zapewnienia pracownikowi tylu a tylu metrów kwadratowych przestrzeni, celem minimalizowania ryzyka związanego z niebezpieczną pracą przy wielkich maszynach. Takie prawa kompletnie nie dotykają kwestii natury, długości, czy nawet samego istnienia takiej czy innej umowy między dwojgiem ludzi. Celem prawa nakazującego ustawienie ogrodzenia wokół niektórych typów maszynerii jest po prostu ochrona życia ludzkiego, niezależnie, czy to życie ubogiego czy bogacza, proletariusza czy kapitalisty. Prawo takie może oczywiście zadziałać w jakiejś sytuacji tak, że kapitalista stanie się odpowiedzialny za byt proletariusza, ale odpowiedzialności tej nie będzie wymagać się od niego *qua* kapitalisty, podobnie jak proletariusza nie będzie chronić się *qua* proletariusza.

Podobnie, prawo może zobowiązać mnie – jeśli zdarzy mi się mieć nieruchomość nad brzegiem rzeki – postawić murek określonych w ustawie wymiarów wszędzie tam, gdzie poziom wody przekracza ustaloną w ustawie wysokość. Nie może tego zrobić, o ile nie jestem właścicielem ziemi. W pewnym sensie zatem, można powiedzieć, że to oficjalne uznanie odrębności statusu, bo z samej natury rzeczy podpadają pod to prawo wyłącznie właściciele gruntowi i zmusza ich ono do troszczenia się nie tylko o swoje życie, ale i wszystkich innych, czy owi inni również mają jakieś grunty, czy nie.

Niemniej, obecna tu kategoryzacja miałaby charakter czysto przygodny. Właściwy przedmiot i metoda tego prawa nie mają żadnego związku z kwestią statusu prawnego różnych klas obywateli.

19 Jak się można domyśleć: wtedy to było „bardzo sporo".

Uważny obserwator może wszakże odszukać w ustawach fabrycznych takie elementy – szczegóły, pewne sformułowania – w których oficjalne rozróżnienie między klasą kapitalistyczną a proletariacką jednak się zaznacza, i to dosyć wyraźnie. Niemniej, musimy patrzeć na te statuty całościowo, znając porządek, w jakim je wydawano, a także – i to przede wszystkim – rozumiejąc główny motyw i cechy stylu każdego z osobna, by należycie osądzić, czy te pojedyncze przykłady rzeczywiście nazwać można w pełnym sensie tego słowa „początkami" państwa niewolniczego, czy nie.

Odpowiedź będzie negatywna. Podobna legislacja może być w dowolnym stopniu opresyjna albo w dowolnym stopniu konieczna, ale na pewno nie zastępuje ona instytucji umowy instytucją statusu, nie ma – zatem – charakteru niewolniczego.

Charakteru niewolniczego nie mają również te prawa, które co prawda obowiązują tylko ubogich – ale wyłącznie w *praktyce*. Przymus edukacyjny w teorii dotyczy wszystkich, każdego obywatela mającego dzieci. Mentalność dominująca w ustroju plutokratycznym zwalnia z niego, rzecz jasna, tych powyżej pewnego standardu bogactwa, niemniej teoretycznie obowiązuje ono w całej wspólnocie państwowej i wszystkie rodziny Wielkiej Brytanii (Irlandii już nie) mają obowiązek stosować się do jego wymagań.

Nie jest to zatem początek procesu, o którym mówimy. Trzeba go szukać później. I tak, pierwszy przykład ustawodawstwa rzeczywiście niewolniczego stanowi zbiór praw, wprowadzający pojęcie tzw. *odpowiedzialności pracodawcy*[20].

Nie twierdzę rzecz jasna, że prawo to wprowadzono – jak zaczyna się już wprowadzać niektóre nasze obecne prawa – z jednoznaczną intencją przywrócenia instytucji statusu; choć na pewno ustawodawca działał z połowiczną przynajmniej świadomością, że taki status istnieje już jako fakt społeczny. Motywy były czysto etyczne, ogólna poprawa bytu zaś, jaką ustawa ta przyniosła robotnikom, wydawała się wtedy niczym innym, jak kwestią absolutnej konieczności; niemniej – niestety – jest to znakomity przykład tego, jak drobne odchylenie od ścisłości doktryny i minimum tolerancji dla anomalii może spowodować w dłużej perspektywie potężne zmiany życia państwowego.

W każdej społeczności od niepamiętnych czasów istniała, wzniesiona na trwałym fundamencie zdrowego rozsądku, doktryna, wedle której jeśli jeden obywatel zobowiąże się w wyniku wolnej umowy do wyświadczenia pewnych usług drugiemu obywatelowi, to tak też musi uczynić, aby umowę można

20 Ang. *employer's liability*; mowa o *Employer's Liability Act* z 1880 roku.

było uznać za wypełnioną, jeśli zaś świadczenie tych usług pociągnie za sobą jakąś przypadkową szkodę strony trzeciej, odpowiedzialność za nią ponosi nie faktyczny sprawca owej szkody, ale ten, kto zaplanował całą operację.

Jest to kwestia bardzo subtelna, ale – jak rzekłem – absolutnie fundamentalna. Nie implikuje bowiem żadnej różnicy statusu między pracodawcą a pracownikiem.

Obywatel A zaoferował obywatelowi B worek pszenicy, jeśli ten zaorze dla niego określony kawałek ziemi, na którym może urodzić się więcej pszenicy, niż na ten worek – ale nie musi.

Oczywiście obywatel A spodziewał się większego urodzaju i nadwyżki – inaczej nie podpisałby takiej umowy z obywatelem B. Tak czy inaczej, obywatel B podpisał kontrakt imieniem i nazwiskiem, i jako wolny człowiek, zdolny do świadomego zawierania umów, obowiązany był go wypełnić.

Podczas wykonywania zlecenia, lemiesz prowadzony przez obywatela B niszczy rurę doprowadzającą wodę przez ziemię obywatela A i za jego zgodą, do gospodarstwa obywatela C. C zatem ponosi szkodę i – zgodnie z zasadami sprawiedliwości i zdrowego rozsądku – może domagać się zadośćuczynienia wyłącznie od A, bo B ledwie wcielał w życie plan opracowany przez swego zleceniodawcę. C to strona trzecia, niemająca z owym kontraktem zgoła nic wspólnego i nie mógłby on domagać się wyrównania strat od kogokolwiek innego, niż właśnie od A, autora planu pracy, a więc i prawdziwego sprawcy tej niezamierzonej szkody.

Niemniej, gdy szkodę poniesie podczas tej pracy nie obywatel C, a obywatel B, człowiek, który z własnej woli zgodził się wykonać tę pracę, a zatem także zaakceptował łączące się z nią ryzyko, to już zupełnie inna sprawa.

Obywatel A zawiera z B umowę, że rzeczony obywatel B, w zamian za worek pszenicy, zaorze mu kawałek ziemi. Z takim przedsięwzięciem zawsze musi łączyć się pewne ryzyko. Obywatel B, jeśli jest wolnym człowiekiem, godzi się na to ryzyko z pełną świadomością. Zgadza się zatem na ewentualność, że – na przykład – operując pługiem skręci sobie nadgarstek, albo koń kopnie go w brzuch podczas przerwy na chleb z serem. Jeśli w podobnym wypadku A jest obowiązany wypłacić B jakieś odszkodowanie, równa się to faktycznemu uznaniu różnicy statusu. B podjął się pracy, która – według wszelkiej możliwej teorii wolnej umowy – stanowiła, z całym swoim ryzykiem i całym

wysiłkiem potrzebnym do jej wykonania, w *oczach samego B*, ekwiwalent worka pszenicy; niemniej, według prawa, B może otrzymać więcej, niż worek zboża – jeśli coś mu się stanie.

Nie ma tutaj wzajemności. Jeśli ze względu na taki wypadek pracownika pracodawca poniesie jakieś szkody, *nie może* zatrzymać worka pszenicy dla siebie, choć w myśl zawartej umowy miał on stanowić ekwiwalent pewnej pracy, która przecież nie została – ściśle mówiąc – wykonana. I w ogóle nie może podjąć żadnych działań, o ile B *umyślnie* nie pracował w sposób niedbały czy niesumienny. Innymi słowy, prawo to opiera się na gołym fakcie, że jedna ze stron *pracuje,* druga zaś nie, stąd też mówi ono: „Nie jesteś wolnym człowiekiem, zdolnym zawierać wolne umowy ze wszystkimi konsekwencjami. Jesteś robotnikiem, a więc i kimś gorszym: jesteś *pracownikiem*; i ten *status* zapewnia ci pewną ochronę, która nie przysługuje drugiej stronie kontraktu".

Dalszym krokiem na drodze stosowania powyższej zasady są przepisy obarczające pracodawcę odpowiedzialnością za szkody poniesione przez jednego pracownika z ręki drugiego pracownika.

Obywatel A obiecuje dać worek pszenicy obywatelom B i D, jeśli wspólnie wykopią dla niego studnię. Wszystkie strony znają ryzyko i podpisują kontrakt z pełną świadomością. B, spuszczając D na linie na moment się traci koncentrację i D spada. Gdyby wszyscy ci trzej mężczyźni byli równego statusu, w oczywisty sposób D powinien dochodzi sprawiedliwości u B. Ale w Anglii współczesnej, ewidentnie jednak nie są równego statusu. B i D to *pracownicy*, a zatem w oczach prawa ludzie o pozycji specjalnej i niższej niż ich pracodawca, A. Mocą nowych zasad, D nie domaga się już zadośćuczynienia od B, który go przecież faktycznie – choć bez premedytacji – uszkodził, ale od A, który nie miał z całą sprawą absolutnie nic wspólnego.

I teraz: jasne przecież, że A ma te wszystkie szczególne obowiązki nie jako obywatel, ale jako ktoś więcej niż obywatel: *pracodawca*; B i D zaś, mogą wnosić wszystkie te specjalne roszczenia również nie jako obywatele, ale jako mniej niż obywatele: *mianowicie, pracownicy*. Mogą domagać się od A *ochrony* – jako przedstawiciele klasy niższej od przedstawiciela klasy wyższej, państwo zaś, otwarcie nadaje temu rozróżnieniu i zależności egzystencję prawną.

Czytelnik natychmiast zorientuje się, że w naszych obecnych warunkach społecznych każdy pracownik przyjąłby takie ustawodawstwo z pocałowaniem ręki. Jeden robotnik nie może domagać się sprawiedliwości od drugiego robotnika – z tego prostego powodu, że ów drugi robotnik nie dysponuje

żadnymi dobrami, z których mógłby wyrównać straty. Niech zatem ciężar ten spadnie na barki bogatych!

Doskonale. Tylko że to nic nie zmienia. Argumentować w ten sposób to tyle, co stwierdzić, że legislacja niewolnicza stanowi konieczny środek zaradczy wobec problemów kapitalizmu. Niemniej, pozostaje ona niewolnicza mimo to. W społeczeństwie, w którym istniałby zdrowy podział własności i każdy obywatel w normalnych warunkach mógłby pokryć szkodę, którą spowodował, takie rozwiązania zwyczajnie nie miałyby racji bytu*.

Wszakże ten pierwszy kamyczek toczący się po zboczu, choć jak każdy punkt wyjścia z historycznego punktu widzenia niezwykle interesujący, w porównaniu z całą lawiną projektów ustaw, którą miał wywołać, nie ma dla naszego tematu większego znaczenia. Niektóre z tych projektów zyskały już status praw, niektóre zaraz go uzyskają, wszystkie zaś bezspornie implikują ustanowienie państwa niewolniczego, zastępują instytucję umowy instytucją statusu i wprowadzają uniwersalny podział społeczny na dwie kategorie: pracowników i pracodawców.

Te najnowsze prawa wymagają osobnego zupełnie namysłu, ponieważ w przyszłości będą znaczyć w oczach historyków moment świadomego i planowego wprowadzenia elementów niewolnictwa w stare struktury państwa chrześcijańskiego. To już nie „początki", maleńkie sygnały nadchodzących zmian, ciekawostki odkrywane przez historyków w toku długich i bolesnych badań. To jawne fundamenty nowego porządku, z wielką starannością zaprojektowane przez nielicznych i z wielką niechęcią zaakceptowane przez wielu jako podstawa, na której oprze się nowe, stabilne społeczeństwo przyszłości, zastępując ostatecznie przejściową i chwiejną formę kapitalizmu.

Można je ogólnie pogrupować w trzy kategorie:

---

* Jak bardzo prawdziwa jest teza o kluczowej roli statusu w podobnych ustawach można sprawdzić zestawiając ze sobą porównywalne wypadki, jeden dotyczący klasy robotniczej, drugi – innej grupy zawodowej. Jeśli podpiszę z wydawcą umowę, w której zobowiążę się do napisania wyczerpującej historii hrabstwa Rutland [wschód Anglii Środkowej – wyj. tłumacza], i w trakcie przygotowań do pracy – dokonując oględzin, powiedzmy, jakiegoś historycznego obiektu – wpadnę do dołu, nie będę mógł domagać się od wydawcy pensa odszkodowania. Jeśli wszakże ubiorę się w łachmany, i wydawca mój – nie przejrzawszy oszustwa – zatrudni mnie na miesiąc przy czyszczeniu akwarium, i w trakcie tej czynności ugryzie mnie jakaś drapieżna ryba, będzie musiał zapłacić – i to słono.

(1) Prawa poprawiające nieco warunki życia proletariatu, czy to za pośrednictwem działań klasy pracodawczej, czy to za pośrednictwem działań samego proletariatu, narzuconych mu przez przymus państwowy,

(2) Prawa zobowiązujące pracodawców do ustalania wynagrodzeń nie mniejszych niż pewne określone ustawowo minimum i

(3) Prawa nakładające na ludzi nieposiadających środków produkcji obowiązek pracy, nawet jeśli nie zobowiązaliby się do niej w żadnym kontrakcie.

Dwie ostatnie kategorie, jak się za moment okaże, są w stosunku do siebie komplementarne.

Co do kategorii pierwszej: praw mających złagodzić nieco niepewność życia proletariatu.

Angielski system prawny dostarcza nam obecnie znakomitego i powszechnie znanego przykładu tej legislacji. I prawo to – ustawy ubezpieczeniowe[21] – (których motywy polityczne i źródło to zupełnie inny temat na inną okazję), w każdym swoim szczególe stanowi urzeczywistnienie istotnych zasad, na których opiera się państwo niewolnicze.

(*a*) Kryterium fundamentalnym jest tutaj zatrudnienie. Innymi słowy: obowiązany jestem wejść w system mający zabezpieczać mnie na wypadek choroby czy innego rodzaju nieszczęść nie jako obywatel, ale tylko w wypadku, w którym:

(1) Wymieniam usługi na dobra; i albo

(2) Otrzymuję za świadczone usługi mniej niż pewne określone minimum dóbr albo

(3) Jestem człowiekiem prostym i zarabiam na siebie pracą fizyczną.

Przy czym z wielką starannością pomija się w tym nowym prawie wszelkie odniesienia do tych form pracy, jakimi zajmują się klasy wykształcone, a więc podmiotowe, a także wszystkich tych, którzy – na tę chwilę – zarabiają dość, by można ich uznać za ekonomicznie wolnych. Jako autor książek

---

21 Chodzi o *Insurance Act* z 1911, autorstwa Lloyd George'a (1863-1945), polityka liberalnego (żeby było śmieszniej), wzorowany na ustawodawstwie niemieckim. Zarówno Belloc jak i GKC pałali do tego prawa (i rządu) śmiertelną odrazą.

mógłbym przecież ciężko zachorować i dla mojej rodziny oznaczałoby to katastrofę. Gdyby ustawodawcy chodziło o ogólną moralność obywatelską, bez wątpienia i ja zostałbym objęty tym prawem i musiał co miesiąc dopłacać do podatku dochodowego jeszcze obowiązkową składkę na ubezpieczenie. Niemniej, ludzie mojego pokroju ewidentnie ustawodawcy nie obchodzą. Interesuje go wyłącznie nowym status społeczny – który zupełnie świadomie uznaje – mianowicie: proletariat. W nieco mętny sposób identyfikuje proletariat jako ludzi ubogich – a jeśli nie ubogich, to przynajmniej zarabiających na życie pracą rąk – i pisze stosownie do tego pojęcia.

(*b*) Czymś jeszcze bardziej uderzającym – i tym dobitniej świadczącym o zastępowaniu instytucji umowy instytucją statusu – jest fakt, że w myśl tych nowych ustaw obowiązek sprawowania kontroli nad proletariatem i pilnowania, by prawo było przestrzegane, spada nie na sam proletariat, ale na *klasę kapitalistyczną*.

Znaczenia tej kwestii nie da się przecenić.

Historyk przyszłości, nawet jeśli średnio będzie interesował się pierwszymi symptomami tej wielkiej rewolucji, która przechodzi obecnie przez ten kraj niczym huragan, tutaj nie będzie miał żadnych wątpliwości: oto właśnie kamień węgielny nowych czasów. Ustawodawca, badając bolączki państwa kapitalistycznego proponuje w charakterze remedium na niektóre z nich podział społeczeństwa na dwie kategorie, tworzy dla kategorii niższej system przymusowej rejestracji, nakłada na nią nowy podatek (i tak dalej), po czym zobowiązuje klasę wyższą do pełnienia roli stróża i poborcy. Nikt mający pewną świadomość tego, w jaki sposób dokonywały się wielkie zmiany społeczne przeszłości, zastąpienie rzymskiego prawa ziemskiego systemem czynszowym, czy transformacja klasy kmieci wieków średnich w średniowieczną klasę chłopską, nie może nie rozumieć, że to naprawdę punkt zwrotny naszej historii.

Czy projekt ten zwycięży i osiągnie dojrzałość, czy przeciwnie – wywoła reakcję, która go zniszczy, to już zupełnie inna rzecz. Dla tych badań, które tu prowadzimy, samo wysunięcie podobnej propozycji ma kapitalnie znaczenie.

Co do następnych dwóch kategorii, praw wprowadzających płacę minimalną oraz przymus pracy (w stosunku do siebie, jak powiedziałem – i zaraz pokażę – komplementarnych); żadne z nich nie zostało jeszcze oficjalnie wprowadzone, ale obydwa są już w fazie projektów, o obydwóch się myśli,

obydwa mają bardzo wpływowych orędowników i ogółem są o włos od wejścia w system prawa pozytywnego.

Ustalenie płacy minimalnej – w formie stałej, ustawowo ustalonej sumy – póki co[*] nie zostało jeszcze w naszym kraju przeprowadzone, ale pierwsze kroki do osiągnięcia tego celu już wykonano, przede wszystkim zapewniając sankcję prawną instytucji swego rodzaju hipotetycznej, czy „elastycznej" płacy minimalnej dla jednej gałęzi przemysłu. Chodzi rzecz jasna o przemysł górniczy. Prawo to nie mówi, rzecz jasna: „Żaden kapitalista nie może zapłacić górnikowi za tyle a tyle godzin pracy mniej niż tyle a tyle szylingów". Ale: „Po uczynieniu odpowiednich ustaleń i przeprowadzeniu potrzebnych obliczeń, odpowiednie organa administracji lokalnej mogą ustalić wysokość płacy minimalnej, obowiązującą prawnie na obszarze ich jurysdykcji" – już tak. Jasne przecież, że przejście z tego etapu do następnego – ustalenia progresywnej skali minimalnych wynagrodzeń za pracę, zależnych od stosunku cen i profitów kapitału – to rzecz niezmiernie łatwa i zupełnie naturalna. Obie strony dostaną to, czego im obecnie najbardziej brakuje: kapitał – gwarancję stabilności; praca – wystarczalność i bezpieczeństwo. Cała sprawa to znakomita lekcja poglądowa, dająca wgląd w niektóre elementy owego większego ruchu społecznego, zmierzającego do zastąpienia instytucji wolnej umowy instytucją statusu, znaku naszych czasów.

Lekceważenie starych zasad jako abstrakcyjnego doktrynerstwa; dążność do natychmiastowego zaspokojenia najważniejszych potrzeb zainteresowanych; konieczne (lecz nieprzewidziane) konsekwencje zaspokajania takich właśnie potrzeb w taki właśnie sposób – wszystkie te czynniki, jawnie obecne w procesie reformy rozpoczętej w przemyśle górniczym, to typowe przykłady sił społecznych, których jedynym realnym skutkiem może być nie co innego, jak tylko państwo niewolnicze.

Przyjrzyjmy się najważniejszym aspektom tej proponowanej reformy.

Proletariusz godzi się na układ, w którym wytwarzając dla kapitalisty pewną określoną wartość ekonomiczną, sam ma prawo ledwie do części tej wartości i musi odstąpić nadwyżkę. Kapitalista ze swej strony otrzymuje gwarancję stałego wpływu rzeczonej nadwyżki, pomimo wszystkich wstrząsów nieodmiennie związanych z zawiścią społeczną; proletariusz otrzymuje gwarancję wystarczalności i związanego z nią bezpieczeństwa życiowego; niemniej, dokładnie ze względu na podobną gwarancję,

* Wrzesień 1912.

traci zupełnie możliwość odmowy wykonania danej pracy – a zatem i wszelkie szanse na wywalczenie sobie udziału w środkach produkcji.

Podobne projekty w ewidentny sposób dzielą społeczeństwo na dwie klasy: kapitalistyczną i proletariacką. Odbierają drugiej możliwość walki z przywilejami pierwszej. Nadają oficjalną sankcję naszych praw pozytywnych faktom społecznym, odpowiedzialnym za nieoficjalny podział Anglików na grupę ekonomicznie bardziej wolnych i ekonomicznie bardziej zniewolonych i mocą autorytetu państwowego pieczętują tę nową konstytucję społeczną. Społeczeństwo zatem, przestaje być według litery prawa zrzeszeniem ludzi wolnych, mogących swobodnie ustalać zasady wymiany swej pracy czy jakiegokolwiek innego dobra, które posiadają, na inne dobro, którego nie posiadają, a staje się hierarchią dwóch odrębnych statusów: posiadaczy i nieposiadaczy. Pierwsza nie może zostawić drugiej bez środków do życia; druga nie może rościć sobie prawa do udziału w kontroli nad środkami produkcji, stanowiącej wyłączny przywilej pierwszej. Prawda, że póki co jest to eksperyment raczej niewielkiej skali i niepełnej konsekwencji ale by właściwie osądzić ten ruch jako całość trzeba nam patrzeć nie tylko na doraźne środki wyrazu, jakie dla siebie znalazł, lecz także na ducha czasów.

Gdy płaca minimalna dyskutowana była w parlamencie, co najbardziej zaznaczyło się w owej dyskusji? Przy czym najbardziej płomienni spośród reformistów obstawali najmocniej? *Nie* przy tym, że powinno się otworzyć dla górników oficjalne kanały przejęcia własności kopalń; nie przy tym nawet, że państwu powinno się je otworzyć; *ale że powinno się ustalić płacę minimalną, na satysfakcjonującym dla wszystkich poziomie!* To właśnie, jak świadczy o tym bezbłędnie doświadczenie nas wszystkich, stanowiło sedno problemu. I że taka propozycja mogła w ogóle stanowić sedno czegokolwiek – nie projekt socjalizacji kopalni, nie kwestia dostępu proletariatu do własności środków produkcji – ale tylko *to*: określenie zadowalającej wysokości płacy minimalnej, dobitnie świadczy o realności i obecności wszystkich tych nieodpartych być może sił społecznych, których działanie staram się tutaj opisać.

Kapitaliści nie musieli wprowadzać niewolnictwa siłą, proletariat zaś wcale mu się nie opierał. Panowała w tej sprawie imponująca zgodność. Spory toczyły się wyłącznie o to, jaka wysokość płacy minimalnej będzie bezpieczna dla gospodarki – a nie *czy w* ogóle ją wprowadzać; w tej kwestii wszystko zostało przesądzone.

Kolejno, zwróćmy uwagę na fakt (niezmiernie istotny dla drugiej części mojego wywodu), że takie projekty oznaczają tylko podtrzymanie chaosu i fragmentaryzmu naszej akcji politycznej. Nie ma żadnych szans – z ludzkich słów i poczynań sądząc – na opracowanie ogólnego planu

wprowadzającego płacę minimalną w całym społeczeństwie. Taki plan ogólny w równiej mierze, rzecz jasna, przyczyniałby się do budowy państwa niewolniczego, jak obecne plany cząstkowe. Niemniej, jak zaraz zobaczymy, podtrzymanie zasady fragmentaryzmu może mieć niezmiernie znaczący wpływ na potencjalne formy przymusu państwowego.

Przyczyną wprowadzenia pierwszej, „wyrywkowej" płacy minimalnej do naszego systemu praw był strajk górników i wszystkie owe histeryczne reakcje, jakie wywołał. W warunkach normalnych kapitał preferuje korzystanie z wolnej pracy, z jej konicznym marginesem nędzy; bo podobna anarchia, choć z natury swej efemeryczna, ma – póki trwa – jeden przynajmniej skutek: że praca jest *tania*; z najbardziej prymitywnego zatem punktu widzenia, te obszary gospodarki kapitalistycznej, w których utrzymano zasadę nieskrępowanej konkurencji, powinny zarabiać więcej, niż te, w których ją zniesiono.

Ale w miarę jak jedna grupa pracowników za drugą – szczególnie w gałęziach gospodarki niezbędnych dla życia narodu, a zatem takich, które mogą zatrzymać się tylko na krótką chwilę bez wywoływania powszechnej katastrofy – zacznie rozumieć, jak wielką siłę zapewnia jej wspólne działanie, ustawodawca (zajmujący się przede wszystkim dostarczaniem doraźnych rozwiązań doraźnych problemów) w nieunikniony sposób zacznie wprowadzać płacę minimalną do wszystkich innych obszarów gospodarczych po kolei.

Nie ma więc żadnych wątpliwości, że obszar po obszarze, zakres obowiązywania tej zasady będzie się zwiększał. Na przykład, do otrzymywania zasiłku dla bezrobotnych uprawionych jest obecnie dwa i pół miliona ludzi; oczywiste, że zasiłek ten musi przyjąć formę pewnej tygodniówki, której wysokość oblicza się w stosunku do prawdopodobnego poziomu wynagrodzenia danego typu pracowników.

Krótka droga od kalkulacji wysokości zasiłku dla bezrobotnych (regulowanej ustawowo i mającej odzwierciedlać to, co uważa się w wypadku danego zawodu za sprawiedliwą zapłatę); krótka, powiadam, droga od tego do ustawowej regulacji wysokości wynagrodzenia.

Państwo mówi współczesnemu kmieciowi: „Zadbaliśmy, abyś w okresie bezrobocia otrzymywał tyle to a tyle pieniędzy. I co się okazuje: że w pewnych rzadkich wypadkach zarabiasz jako bezrobotny więcej, niż jako pracownik. Na tym nie koniec: okazuje się bowiem także, że w wielu wypadkach, choć jako pracownik zarabiasz więcej niż jako bezrobotny, różnica ta nie jest dostatecznie

duża, aby zmusić lenia by poszedł do pracy, a przynajmniej zaczął się o to starać. O nie nie, tak nie może być – zaraz się tym zajmiemy".

Wypłacanie zatem bezrobotnym stałego zasiłku zawsze prowadzić musi do wymyślenia, określenia, a ostatecznie także i wprowadzenia instytucji płacy minimalnej; i każda przymusowa składka na taki zasiłek to kolejne ziarenko na zasiew.

Znacznie większy skutek wywiera w takiej kwestii sama obecność regulacji państwowych. Sam fakt, że państwo zaczęło prowadzić statystyczne pomiary wynagrodzeń w tak ogromnych obszarach przemysłu i to z pobudek wcale nie informacyjnych, ale praktycznych – i fakt, że zaczęło ono łączyć stary system wolnych negocjacji z bezpośrednim wpływem prawa pozytywnego oraz ograniczeń urzędowych świadczy jasno, że akcja państwowa jednoznacznie sprzyja regulacji. Nie jest zatem niczym pochopnym przewidywać, że społeczeństwo nasze ujrzy w niedalekiej przyszłości dynamiczny przyrost ilości tych dziedzin gospodarki, w których zjawisko ustawowego określania wysokości pensji jednak się pojawi i to ze względu na dwa różne, działające – by tak rzec – z dwóch różnych stron, czynniki. Pierwszym będzie państwowy nadzór nad warunkami pracy, jaki nieodłącznie łączyć się musi z wszelką próbą zapewnienia pracownikom wystarczalności i bezpieczeństwa przez podpięcie ich pod system ubezpieczeń społecznych. Drugim – zupełnie rozsądne propozycje, aby spory kontraktowe przedstawicieli pracy i przedstawicieli kapitału rozwiązywały sądy.

Tyle zatem na temat instytucji płacy minimalnej. Jest już ona obecna w naszym systemie prawnym. Jej obecność z całą pewnością się zwiększy. Ale w jaki sposób wprowadzenie płacy minimalnej włącza się w ogólny ruch w kierunku państwa niewolniczego?

Stwierdziłem, że instytucja płacy minimalnej wymaga – jako swego dopełnienia – instytucji pracy przymusowej. Istotnie, płaca minimalna interesuje nas w tych rozważaniach w głównej mierze ze względu na jej konieczny związek ze zjawiskiem poniekąd zupełnie odwrotnym – właśnie: pracą przymusową.

Ale ponieważ związek ten może wydać się na pierwszy rzut oka daleki od oczywistości, musimy zrobić więcej, niż tylko o nim mówić. Musimy podjąć wysiłek myślenia i go zrozumieć.

Polityka zapewniania proletariatowi wystarczalności i bezpieczeństwa na drodze rozporządzeń prawnych przyczynia się do wprowadzenia pracy przymusowej ze względu na dwa czynniki.

Pierwszy to przymus, który sądy będą z konieczności musiały czasem wywierać na jedną bądź drugą stronę zaangażowaną w pobieranie bądź wypłacanie minimalnej stawki wynagrodzenia. Drugi – fakt, że prędzej czy później po powszechnym wprowadzeniu płacy minimalnej, jeszcze takiej, która będzie zapewniać ludziom wystarczalność i bezpieczeństwo, społeczeństwo będzie musiało objąć ścisłą kontrolą wszystkich tych, których płaca taka wyklucza z obszaru normalnego zatrudnienia.

Co do czynnika pierwszego:

Grupa proletariuszy dobiła z grupą kapitalistów targu, który przedstawia się jak następuje: proletariusze wytworzą dla kapitału dziesięć danych jednostek wartości na rok, zatrzymają sobie sześć, a cztery zostawią pracodawcom. Umowa jest zatwierdzona i sądy będą mogły wymuszać jej przestrzeganie. Jeśli kapitaliści stosując jakieś finansowe sztuczki, czy też zupełnie otwarcie łamiąc słowo, płacą mniej niż sześć jednostek wynagrodzeń, sądy muszą mieć możliwość interwencji. Innymi słowy, prawo musi dysponować sankcjami. Musi być element kary – czyli, pośrednio, element przymusu. I odwrotnie: jeśli pracownicy, dobiwszy targu złamią dane słowo; jeśli pewne jednostki lub pewne grupy spośród nich odmówią pracy i zaczną domagać się siedmiu danych jednostek wartości zamiast sześciu, sądy muszą mieć możliwość ukarać także *ich*. W wypadkach, w których umowa jest krótka, czy w każdym razie obejmuje jakiś względnie rozsądny przedział czasowy, przesadą zapewne byłoby powiedzieć, że każde zastosowanie przymusu wobec pracowników implikowałoby jakieś potężne konsekwencje systemowe. Niemniej, rozciągnijmy to na więcej lat, uczyńmy normalną zasadą organizacji przemysłu i częścią codzienności pracowników, do której będą musieli dostosować swoje życie, a z tej słusznej zupełnie metody naprawdę zrobi się system – system pracy przymusowej. Jest to nieuniknione, szczególnie w wypadku tych sfer gospodarki, w których płace wykazują niski stopień fluktuacji. „Wy, pracownicy rolni tego hrabstwa, braliście piętnaście szylingów na tydzień przez bardzo, bardzo długi czas. Wszystko działało bez zarzutu. Nie ma żadnego powodu, abyście mieli dostawać więcej. Ba – przecież sami, za pośrednictwem swoich demokratycznie wybranych przedstawicieli w roku takim to a takim potwierdziliście, że tyle wystarczy. Niektórzy z was odmawiają obecnie wywiązania się z tego, co w oczach sądu stanowi ważnie zawarty kontrakt. Osoby te muszą wrócić do swych obowiązków, albo zostaną spotkają ich surowe konsekwencje".

Pamiętajmy, jak wielką władzę ma nad ludzką myślą analogia, i że – w związku z tym właśnie – jeśli podobny system zaprowadzony zostanie w wielu dziedzinach gospodarki, z konieczności zacznie pełnić on funkcję punktu odniesienia dla całej gospodarki. Pamiętajmy również, że w naszym

przemysłowym społeczeństwie, aby kontrolować pracowników potrzeba bardzo niewiele, ponieważ masa proletariacka, która przywykła do życia z tygodnia na tydzień w permanentnym strachu przed bezrobociem, zgodzi się na wszystko, jeśli tylko zagrozi się jej choćby najmniejszą obniżką tych śmiesznie małych wynagrodzeń, które i tak ledwie starczają na przeżycie.

Wszakże sądowne wymuszanie podobnych umów, czy quasi-umów (jak zacznie się je kiedyś postrzegać) to nie jedyny bodziec, jaki tutaj działa.

Pewien człowiek pod przymusem prawnym odprowadzał od swojego wynagrodzenia składki na ubezpieczenie w razie bezrobocia. Nie ma jednak żadnego wpływu na to, jak składki te zostaną wykorzystane. Nie stanowią one jego własności; nawet nie jakiegoś stowarzyszenia, którego poczynania mógłby kontrolować. Są w rękach urzędników państwowych. „Zaoferowano ci pracę za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo. Jeśli jej nie przyjmiesz, pozbawisz się prawa do wszystkich pieniędzy, które pod przymusem oszczędzałeś. Jeśli zaś przyjmiesz, nadal się będą odkładać i gdy zdarzy się taki wypadek, w którym w *mojej opinii* fakt, że nie możesz znaleźć pracy, nie będzie wynikał z twojej osobistej niesubordynacji czy uporczywej odmowy, wtedy – i tylko wtedy – trochę ci wypłacę". Ta kolosalna maszyneria przymusu nie może obyć się także bez całych gór rejestrów i kwitów wyrastających obecnie pod niebo w każdym urzędzie pracy. Urzędnicy nie tylko będą mieć prawo wymusić zawarcie tej lub innej umowy, albo wysłać kogoś do pracy pod groźbą grzywny, ale zaczną dysponować – jak powiadam – całymi górami przeróżnych *dossiers*, z wykazem wszystkich niezbędnych informacji na temat każdego dowolnego robotnika. Nikt z tych, którzy dali się zbadać i zarejestrować, się już nie wymknie; a z samej natury systemu, liczby które wpadły w sieć muszą pomalutku rosnąć, dopóki cała masa pracownicza nie zostanie starannie prześwietlona i poddana pełnej kontroli.

Istotnie, to ogromnie potężne instrumenty przymusu. Już istniejące. Już uświęcone przez nasz system prawny.

Na koniec, jest jeszcze przecież inny bat społeczny, w postaci tzw. „obligatoryjnego arbitrażu": bat tak oczywisty, że brzydzi się nim nawet angielski proletariat. Istotnie, według mojej wiedzy żaden kraj cywilizowanej Europy nie upadł póki co równie nisko. Bo to byłoby już zupełnie jawne niewolnictwo, wprowadzone jak gdyby nigdy nic, jednym prostym ruchem – i na dobre – a tego nasza kultura jeszcze nie potrafi przełknąć[*].

---

[*] Choć przecież dwukrotnie już głosowano nad tym projektem w naszym parlamencie!

Tyle, zatem, na temat mojego pierwszego argumentu i sposobu, w jaki ustanowienie płacy minimalnej oraz związanego z nią systemu rejestracji robotników prowadzić musi w prostej linii do wprowadzenia przymusu pracy.

Druga kwestia jest równie jasna. W procesie wytwarzania bogactw, zdrowy i biegły robotnik, będący w stanie wyprodukować dziesięć miar pszenicy, zostaje zmuszony do pracy za sześć miar, kapitalista zaś – do przyjęcia czterech miar nadwartości, nie mniej nie więcej. Jeśli kapitalista spróbuje wykręcić się ze swoich zobowiązań i zapłacić pracownikowi mniej niż sześć miar pszenicy za rok, spotkają go surowe konsekwencje prawne. Ale co z człowiekiem nie dość silnym czy biegłym, by mógł wyprodukować choćby sześć miar pszenicy? Czy kapitalista będzie musiał zapłacić mu więcej niż jest on w stanie wytworzyć? Oczywiście, że nie. Nowe prawa i obyczaje nie zakwestionowały, nie dotknęły nawet zasadniczych zrębów struktury produkcyjnej, jaka wytworzyła się w naszym kraju w czasach kapitalizmu. Zysk nadal jest koniecznością. Gdyby *to* się zmieniło – tym bardziej, gdyby pewne straty zaczęto wymuszać prawnie – zmiana taka stałaby w jaskrawej sprzeczności z ogólnym duchem wszystkich przeprowadzonych dotychczas reform. Opracowuje się je właściwie w dwóch celach: zaprowadzenia stabilności tam, gdzie teraz jest niestabilność oraz, według często używanej i bardzo ironicznej frazy, „pogodzenia interesów pracy i kapitału". Nie da się po prostu bez wywoływania społecznej katastrofy zmusić kapitału aby *stracił* nieco z powodu jakiegoś szaraczka, który nie umie zapracować nawet na płacę minimalną. Jest to wyraźne niebezpieczeństwo i element niestabilności; jak go wyeliminować? Dawać komuś dodatkowe pieniądze tylko dlatego, że nie umie zarobić nawet płacy gwarantowanej, którą musi zadowolić się reszta narodu to po prostu premiować niezdolność i lenistwo. Tego człowieka trzeba zatem zmusić do pracy. Trzeba przyuczyć go, jeśli to możliwe, by wytwarzał przynajmniej taką wartość ekonomiczną, jaką uznaje się za minimum życiowe. Trzeba zatrzymać go w pracy nawet jeśli nie umie jej wytworzyć, ponieważ w innym wypadku stałby się wolnym pracownikiem – czynnikiem destabilizacyjnym i wyraźnym zagrożeniem dla misternej konstrukcji systemu. Stąd też w konieczny sposób obecność takiej jednostki staje się doskonałym pretekstem do wprowadzenia przymusu pracy. W Anglii póki co, przynajmniej w formie oficjalnego prawa pozytywnego, taki przymus nie istnieje, niemniej stanowi on naturalną konsekwencję wszystkich reform, które przed chwilą omówiliśmy. Zbuduje się zatem „kolonie pracy" (czyli więzienia, ale każda transformacja potrzebuje eufemizmów), które przyjmą cały ten nadmiar siły roboczej – i ta najwyższa i ostateczna forma przymusu będzie jak gdyby koroną wieńczącą całą naszą dotychczasową politykę społeczną. Reformy owe zatem osiągną kompletność przynajmniej w odniesieniu do klas pracujących i choć nawet ta konkretna instytucja, „kolonia pracy" (logicznie ostatnia spośród wszystkich form przymusu), pojawi się *przed* innymi formami przymusu, oczyści im ona przedpole, dzięki czemu

wprowadzenie ich, i tak nieuniknione, będzie procesem bardzo łatwym do przeprowadzenia, i bardzo krótkim.

Pozostaje zatem jeszcze jedna ledwie uwaga, którą poczynić muszę w odniesieniu do konkretnej strony tematu, jaki poruszam w tej książce. Otóż pokazałem w tym, ostatnim już rozdziale, że do budowy państwa niewolniczego przyczyniają się między innymi istniejące obecnie i znane powszechnie mieszkańcom Anglii przemysłowej prawa czy projekty praw i udowodniłem, że wszystkie one, co do jednego, stanowią po prostu kolejne etapy nadawania naszym proletariuszom nowego – lecz dla nich samych bardzo satysfakcjonującego – statusu: statusu niewolników.

Pozostaje zatem tylko dowieść, dosłownie w kilku zadaniach, komplementarnej prawdy, że to, co powinno stanowić samą istotę państwa kolektywistycznego, mianowicie: operacja przekazania środków produkcji z rąk prywatnych posiadaczy w ręce urzędników publicznych, nigdzie nie doczekało się do dzisiaj nawet próby urzeczywistnienia. A i to mało powiedziane, ponieważ póki co wszystkie eksperymenty z municypalizacją czy nacjonalizacją różnych przedsiębiorstw pogłębiają po prostu zależność całego społeczeństwa od klasy kapitalistycznej. Aby tego dowieść, wystarczy zauważyć, że fundusze na każdy z tych eksperymentów pochodzą z kredytu.

I teraz, jakie znaczenie mają w gospodarczej rzeczywistości wszystkie te municypalne czy narodowe pożyczki, zaciągane celem wykupu pewnych niewielkich sekcji ogółu środków produkcji?

Pewna grupa kapitalistów dysponuje określonymi zasobami infrastruktury tramwajowej, samych tramwajów itd. Do pracy przy nich zatrudniają grupę proletariuszy i w rezultacie otrzymują pewną łączną wartość ekonomiczną. Powiedzmy, że nadwartość zgarniania przez kapitalistów po zapewnieniu proletariatowi środków do życia wynosi £10.000 rocznie. Wszyscy wiemy, w jaki sposób przebiega „municypalizacja” takiego systemu. Miasto zaciąga pożyczkę. Płaci „odsetki”. Prócz tego, dochodzi tu jeszcze dodatkowe obciążenie w postaci tak zwanego „funduszu amortyzacyjnego”.

Pożyczki tej natomiast nie zaciąga się w pieniądzach, chociaż na papierze tak to właśnie wygląda. Tak naprawdę jest to tylko bardzo skomplikowana umowa dzierżawy: miasto dzierżawi po prostu od kapitalistów tory, tramwaje itd. Kapitaliści zaś, godzą się na taki układ wyłącznie pod warunkiem, że miasto zobowiąże się w zamian do wypłacania im rocznego dochodu, jaki dotychczas uzyskiwali, plus pewnej określonej sumy, tak by po takim to a takim czasie łączna wartość tych dodatkowych wpłat odpowiadała wartości przedstawianej przez ich koncern w momencie podpisania

umowy. Owe dodatkowe wpłaty to właśnie „fundusz amortyzacyjny", dochód roczny wypłacany kapitalistom zaś to nasze „odsetki".

W teorii przejęcie w ten sposób pewnego ograniczonego zespołu środków produkcji jest najzupełniej możliwe. Zespół ten zostałby zatem „zsocjalizowany". Pieniądze na „fundusz amortyzacyjny" (to jest, zakup danego interesu w formie ratalnej) dałoby się znaleźć w przychodach z podatków powszechnych, szczególnie biorąc pod uwagę jak niewielkie są w sumie koszty podobnych eksperymentów. „Odsetki" natomiast można by (przy dobrym zarządzie) pokrywać z dochodów przedsiębiorstwa. Po upływie określonej liczby lat, miasto stanie się właścicielem sieci tramwajowej, pozbędzie się – przynajmniej w tym konkretnym obszarze gospodarki – kapitalistycznego wyzysku, „wykupi" kapitalizm nie podnosząc podatków i przy założeniu, że kapitaliści zarobione na tej umowie pieniądze wydadzą na konsumpcję, a nie zaoszczędzą czy zainwestują, ta miniaturowa „socjalizacja" zakończy się pełnym sukcesem.

Faktycznie jednak, okoliczności nigdy nie są tak sprzyjające.

W praktyce, do oporu wobec nawet tak mikroskopijnych eksperymentów z wywłaszczeniem skłaniać mogą trzy czynniki: fakt, że przy tego rodzaju transakcjach wszystkie dobra kupuje się zawsze po cenach znacznie przewyższających ich realną wartość; fakt, że zakup obejmuje także dobra nieprodukcyjne; wreszcie fakt, że tempo zaciągania nowych kredytów jest znacznie szybsze, niż tempo spłaty starych kredytów. Te zatem trzy niekorzystne czynniki sprawiają, że w praktyce dzięki operacji „wykupu" macki kapitalizmu zaczynają sięgać jeszcze dalej i tym silniej oplatać struktury państwowe.

Bo za co tak naprawdę płaci się przy przejęciu, powiedzmy, sieci tramwajowej? Czy tylko za realny kapitał, przedsiębiorstwo, choćby kupowało się je po bardzo wygórowanej cenie? Ależ skąd! Prócz „gołej" infrastruktury i taboru trzeba doliczyć tutaj jeszcze koszty wszystkich możliwych prowizji, lunchów przy dobrym szampanie, zapłatę dla wynajętych prawników, odszkodowania dla kogoś tam i jeszcze kogoś tam, wszystkie łapówki… A i na tym nie koniec. Sieć tramwajowa to dobro produkcyjne. Co z parkiem, pralnią, basenem, biblioteką, pomnikiem i całą resztą tym podobnych rzeczy? W większej części zbudowano je „na kredyt". Gdy buduje się jakąś nieruchomość publiczną, trzeba pożyczyć cegły, zaprawę, stal, drewno czy kafelki od kapitalistów, *oraz zobowiązać się do spłaty odsetek i rat amortyzacyjnych, zupełnie jak gdyby ratusz czy basen stanowiły zestaw maszyn produkcyjnych.*

Dochodzi do tego jeszcze przykra niedogodność, że znaczna liczba takich przedsięwzięć to kompletne porażki: że częstokroć wykupuje się coś, co zaraz wypierają z runku nowe odkrycia technologiczne; no i przede wszystkim, niebagatelną rolę gra w całej sprawie ten jeden prosty fakt: że zaciąganie nowych kredytów następuje znacznie szybciej, niż spłata starych.

Słowem, wszelkie tego typu eksperymenty municypalizacji i nacjonalizacji, przeprowadzane jak Europa długa i szeroka zaowocowały tym, że tempo przyrostu zadłużenia instytucji publicznych u kapitału ponad dwukrotnie (ale mniej niż trzykrotnie) przewyższa tempo spłaty tego zadłużenia. Odsetki, których kapitał domaga się niezależnie od tego czy pożyczka ma naturę produkcyjną czy nie, wynoszą już nieco ponad 1,5% *więcej* niż całkowite dochody z tych najróżniejszej maści eksperymentalnych przedsięwzięć, nawet jeśli wliczyć także najbardziej udane spośród nich, takie jak choćby koleje państwowe wielu krajów, czy świetnie działające spółki miejskie wielu nowoczesnych aglomeracji naszego kontynentu.

Kapitaliści zadbali, by to *oni* właśnie okazali się w ostatecznym rozrachunku zwycięzcą – a nie przegranym – eksperymentów z tego rodzaju fałszywą formą socjalizmu, jak zresztą i z każdą inną. I te same siły, które w praktyce uniemożliwiają przeprowadzenie konfiskaty, dbają również i o to, by wszelkie próby ukrycia jej pod płaszczykiem wykupu nie tylko że spełzły na niczym, to jeszcze obróciły się przeciwko tym, którym zabrakło odwagi do frontalnej ofensywy przeciw przywilejom.

Opisem tych trzech konkretnych przypadków, unaoczniających sposoby, jak praktyczne próby reformy kolektywistycznej umacniają jedynie system kapitalistyczny i jasno dowodzących, że niektóre z naszych praw rozpoczęły już proces transformacji proletariatu w klasę niewolniczą, kończę część argumentacyjną niniejszej książki.

Wydaje mi się, że dowiodłem swego.

Przyszłość społeczeństwa przemysłowego, szczególnie angielskiego społeczeństwa przemysłowego, jeśli zostawi się sprawy własnemu biegowi, to przyszłość, w której proletariat zyska nareszcie wystarczalność i bezpieczeństwo życiowe – ale zyska je kosztem starej wolności politycznej i faktycznego, choć nie nominalnego, sprowadzenia tegoż proletariatu do roli klasy niewolniczej. Jednocześnie, posiadacze otrzymają gwarancję stałości zysków, wielka machina produkcji będzie pracować gładko i bez szmeru, a stabilność społeczna, stracona w kapitalistycznej fazie rozwoju, zostanie odzyskana.

Napięcie wewnętrzne nękające społeczeństwo w czasach kapitalizmu zmniejszy się, a potem całkiem ustąpi, i życie wspólne oprze się znów na trwałej gospodarczej podstawie niewolnictwa, które stanowiło jego fundament przed nadejściem wiary chrześcijańskiej, z którego wiara ta powoli je oczyściła, a do którego wraz z upadkiem tej wiary w naturalny sposób powraca.

Zakończenie

Opisanie wielkiego ruchu społecznego przeszłości z odpowiednią precyzją i uwzględnieniem odpowiedniej liczby szczegółów to rzecz możliwa do wykonania pod warunkiem, że dysponuje się wystarczająco dużą ilością czasu do przeprowadzenia badań oraz pewną zdolnością syntezy, pozwalającą zintegrować surowy materiał w uporządkowaną całość.

Po prawdzie, z rzadka tylko udaje się tego dokonać, niemniej nie przekracza to możliwości nauk historycznych.

Wszakże jeśli chodzi o przyszłość wygląda to zupełnie inaczej. Nikt nie może z całkowitą pewnością powiedzieć, jak będzie ona wyglądać, nawet co do najbardziej zasadniczych aspektów, czy najbardziej podstawowych zrębów swej struktury. Jedyne, co może zrobić tutaj historyk, to pokazać zasadnicze tendencje swojego czasu: ustalić równanie łuku i założyć, że nie zmieni się ono za bardzo w toku dalszych wydarzeń.

Na ile potrafię osądzić, te społeczeństwa, które w wieku szesnastym straciły łączność z nieprzerwanym przekazem cywilizacji chrześcijańskiej – czyli, najogólniej mówiąc, Północne Niemcy i Wielka Brytania – zmierzają obecnie wyraźnie w kierunku restauracji niewolnictwa. Jego forma będzie różnić się w zależności od biegu wypadków, uwarunkowań lokalnych, będzie ukryta pod płaszczykiem pozorów i pretekstów. Ale niewolnictwo nadejdzie.

Że kapitalistyczna anarchia nie może przetrwać, to rzecz dla wszystkich dostatecznie oczywista. Czymś równie oczywistym powinno być dla nas i to, że ilość potencjalnych rozwiązań jest niezmiernie ograniczona. Osobiście, jak napisałem już zresztą na stronach tej książki, nie uważam, abyśmy dysponowali więcej niż dwoma: reakcją ku zdrowemu podziałowi własności oraz restauracją ustroju niewolniczego. Nie sądzę, by kolektywizm teoretyczny, obecnie w stanie rozkładu, kiedykolwiek był w stanie uformować żywe i realne społeczeństwo.

Niemniej, w moim twierdzeniu, że restauracja ustroju niewolniczego już się wśród nas rozpoczęła, nie chodzi bynajmniej o jakieś miałkie czy mechaniczne proroctwa na temat przyszłości Europy. Siła, o której pisałem nie działa w izolacji. Życie każdego, niegdyś chrześcijańskiego narodu wypływa z węzła różnorodnych energii; płomień przeszłości, choć tli się ledwie to jeszcze nie wygasł.

Co więcej, można wskazać przynajmniej kilka europejskich społeczeństw, które z całą pewnością nie zgodzą się na wszelkie tego typu propozycje, podobnie jak nie zgodziły się już w przeszłości na system przemysłowy, do niedawna jeszcze stanowiący w oczach swych piewców synonim „postępu" i dobrobytu narodowego, a przynajmniej zachowały wobec niego daleko idącą nieufność.

Społeczeństwa te, to po większej części te same, które podczas szalejących burz wieku szesnastego – epoki o kluczowym znaczeniu dla dziejów chrześcijaństwa – zachowały starszą tradycję i ciągłość moralną. Najważniejsze spośród nich obecnie, to naród francuski i naród irlandzki.

Tytułem pewnego wrażenia (i niczego więcej) chciałbym nadmienić tutaj, że w mojej opinii państwo niewolnicze, choć sprzyjają mu obecnie w Prusach i Anglii ogromne siły, zostanie zmuszone do wysiłku, zaatakowane, być może nawet pokonane w zmaganiach wojennych, a na pewno przynajmniej zatrzymane przed osiągnięciem pełni, właśnie mocą tych silnych reakcji, jakie zawsze będą budzić się przeciw niemu na jego flance w owych narodach bardziej przywiązanych do wolności.

Irlandia zdecydowała się bronić wolnego chłopstwa i na własne oczy ujrzeliśmy, jak mocny to fundament. We Francji, wiele eksperymentów, które w innych krajach z powodzeniem położyły podwaliny pod państwo niewolnicze, ogół społeczny odrzucił od siebie z gniewem i wstrętem, a (co jest niezmiernie wymowne!) ostatnia próba rejestracji i „ubezpieczenia" rzemieślników jako osobnej klasy społecznej załamała się kompletnie w obliczu fali powszechnej i męskiej pogardy, jaką wywołała.

Czy wpływ i obecność tego drugiego czynnika, wolnych społeczeństw, położy tamę tendencjom do restauracji państwa niewolniczego także i w innych krajach – nie wiem, niemniej na pewno zdoła je w znacznym stopniu zmienić, czy to mocą przykładu, czy bezpośredniego uderzenia. I tak jak ufam, że w ostatecznym rozrachunku wiara odzyska właściwe sobie, intymne i centralne miejsce w sercu Europy, ufam również, że ten ruch powrotu do naszych pogańskich korzeni (bo tendencje do przywrócenia niewolnictwa to nic innego, jak właśnie taki ruch) w swoim czasie uda się zatrzymać – i odwrócić.

Videat Deus.

KONIEC